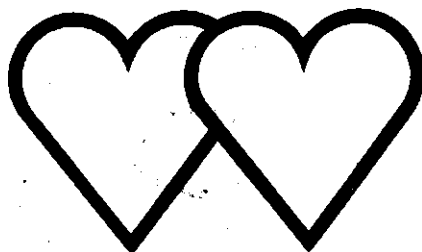


JADWIGA COURTHS-MAHLER

Przybrana córka

Tytuł oryginalny:

Die Adoptivtochter



I

Doktor Herman Frensen i pani Klaudyna Steinbrecht siedzieli na przeciw siebie przy dużym, czworokątnym stole. Doktor Frensen wyjął z teki małą kopertę.

– Oto fotografie pań do wyboru. Moim zdaniem, spośród czterdziestu kandydatek tylko te cztery mają odpowiednie kwalifikacje. Zechce pani obejrzeć ich podobizny.

Pani Klaudyna wzięła z jego rąk kopertę i westchnęła. Potem spojrzała przenikliwie na notariusza Frensena, który od wielu lat był jej doradcą prawnym.

– Więc tylko cztery? Wybór jest mały... Mam wrażenie, że znowu nic z tego nie będzie...

– Ależ, łaskawa pani! Jeżeli pani z góry jest o tym przekonana, wówczas...

Pani Klaudyna machnęła ręką.

– Ach, drogi doktorze, pan nie może mnie zrozumieć. Wydaje się panu kaprysem, że nie mogę się przyzwycząić do nowej towarzyszki... Czyż ktokolwiek odpowiada za swoje usposobienie? Przecież z Elzą Grabów żyłam przez trzy lata w zgodzie. Mogła pozostać u mnie do końca życia.

– Cóż z tego, kiedy ta sympatyczna dziewczyna wyszła za mąż! A jej trzy następczynie? Nie potrafiłam jakoś nawiązać z nimi kontaktu... Zwolniłam je szybko i szukam znowu. Muszę w końcu znaleźć towarzyszkę, która byłaby tak miła, żebym mogła zatrzymać ją przy sobie na stałe...

Doktor Frensen wzruszył ramionami.

– W ten sposób może pani jeszcze długo robić doświadczenia, zanim znajdzie pani wreszcie osobę, która będzie jej odpowiadała. Gdyby pani miała więcej cierpliwości! Przecież z czasem można się do każdego przyzwycząić, a wtedy nie zwraca się uwagi na rozmaite drobnostki...

- Nie o to chodzi! Zależy mi jedynie na tym, aby moja towarzyszka była sympatyczna - rzekła żywo pani Klaudyna.

Frensen spojrzał na nią z uśmiechem.

- Zdaje się, że te trzy młode osoby również wydawały się pani z początku sympatyczne...

Teraz i pani Klaudyna musiała się uśmiechnąć.

- No, tak, zapewne... Przez jeden dzień potrafiłam z każdą wytrzymać, a one ze mną. Potem jednak rozmaite rzeczy zaczęły mnie razić... Być może, iż mam więcej wad, niż te trzy panie razem wzięte. Do dziś dnia nie nauczyłam się przecież panować nad sobą, jestem w dalszym ciągu tak gwałtowna i popędliwa jak byłam, chociaż tyle cierpiałam w życiu z tego powodu...

Ostatnie słowa pani Klaudyna wypowiedziała półgłosem, bardziej do siebie, niż do swego towarzysza. Gdy umilkła, obrzuciła przenikliwym spojrzeniem poważną twarz doktora Frensena, który pochylił głowę, zatopiwszy wzrok w leżących przed nim papierach.

Znał on od wielu lat swoją klientkę i wiedział, że najlepiej będzie w tym wypadku udać, że nie dosłyszał jej uwagi.

Klaudyna Sternbrecht była jedyną córką i spadkobierczynią zmarłego dawno multimilionera, Klaudiusza Steinbrechta. Należał on do najbogatszych ludzi w mieście. Właściwie nazwisko Klaudyny brzmiało Lossen, gdyż wyszła ona za mąż za malarza Henryka Lossena. Małżeństwo to jednak trwało zaledwie dwa lata, po czym Klaudyna rozwiodła się z mężem, pomimo że go namiętnie i gorąco kochała.

Wbrew woli ojca poślubiła nieznanego malarza. Klaudiusz Steinbrecht pragnął bowiem takiego zięcia, który mógłby prowadzić jego przedsiębiorstwo. Kochał jednak bardzo swoją jedynaczkę i nie potrafił się oprzeć jej gorącym prośbom, toteż w końcu zezwolił na związek z Lossenem.

Na wysokim pagórku, znajdującym się naprzeciw jego domu, kazał wybudować dla młodej pary prześliczną willę.

Klaudyna i jej małżonek zamieszkali tam po powrocie z podróży poślubnej.

Posiadłości Steinbrechtów były bardzo rozległe. Od wieków już rodzina ta skupowała obszary ziemi. Część placów zajmowały gmachy i zabu-

dowania fabryczne. W dawniejszym domu rodziny Steinbrechtów mieszkał obecnie dyrektor akcyjnego towarzystwa. Klaudiusz bowiem przeprowadził reorganizację swego przedsiębiorstwa, zamieniając je w spółkę akcyjną. Wybudował on potem nowy dom, do którego należało także sporo gruntu i otoczył go wysokim murem, oddzielającym budowlę od terenów fabrycznych. Od czasu śmierci swego ojca pani Klaudyna mieszkała w tym domu sama.

W pięknej willi na pagórku mieszkała ze swoim mężem zaledwie przez dwa lata. Potem, pewnego dnia jej małżonek wyjechał.

Krażyły wówczas najrozmaitsze pogłoski o poróżnieniu się młodej pary. Nikt nie znał szczegółów tej sprawy, wiedzano jedynie, że Henryk Lossen znikł, a jego młoda żona, blada i nieszczęśliwa, powróciła do domu swego ojca. Od tego czasu prześliczna willa stała pusta.

Klaudyna czekała na próżno na powrót męża, aż wreszcie wdrożyła kroki rozwodowe. Proces rozwodowy prowadził Frensen; był on jedynym człowiekiem, który znał szczegóły sprawy. Klaudyna powróciła do pannieńskiego nazwiska, ludzie powoli o wszystkim zapomnieli i przestali myśleć o Henryku Lossenie, byłym mężu panny Steinbrecht.

Klaudiusz Steinbrecht, zmęczony prowadzeniem zawiłych interesów, założył wtedy spółkę akcyjną i wycofał się z przedsiębiorstwa.

Nowy dom Steinbrechtów wybudowany został na terenach leśnych, które przekształcono w przepyszny park; ciągnął się on na południu aż do najdalszych krańców miasta, na północy graniczył z fabryką. Na wschodzie wznosiły się wspaniałe góry, u których stóp położone było miasto, na zachodzie granicę jego stanowiła mała rzeczka.

Park ten był chlubą miasta. W pewnych godzinach bywał otwarty i dostępny dla publiczności. Nie brakło wówczas ludzi, którzy go chętnie zwiedzali.

Miasto wciąż się rozrastało, zwłaszcza w kierunku gór, toteż w końcu zaszła potrzeba przeprowadzenia ulicy przez park Steinbrechtów. Rada miejska zgłosiła się z tym projektem do Klaudiusza Steinbrechta, który po dłuższej naradzie z córką, oznajmił magistratowi swoje postanowienie. Pozwolił on nie tylko na przeprowadzenie ulicy, lecz ponadto podarował miastu część parku.

Uczylił to jednakże pod tym warunkiem, żeby tereny leśne nie zostały zabudowane, lecz w dalszym ciągu stanowiły ogród miejski.

Ojcowie miasta z radością przyjęli dar wspaniałomyślnego ofiarodawcy. Aleję, ciągnącą się wzdłuż brzegów rzeki, nazwali Aleją Steinbrechta, a nową ulicę – ulicą Klaudiusza.

Ulica ta odgradzała od miasta obecny park, okalający willę Steinbrechtów. Prywatna posiadłość została ogrodzona sztachetami, a furka zamknięta na klucz; dla publiczności zaś otworzono park miejski.

W rok później Klaudiusz Steinbrecht zakończył życie, a wdzięczne miasto postawiło mu pośrodku parku piękny pomnik.

Klaudyna po dziś dzień pamiętała o ubogich i składała hojne ofiary na rozmaite cele dobroczynne, a że była przy tym najbogatszą kobietą w mieście, więc też cieszyła się powszechnym szacunkiem.

Do domu jej przychodziło mnóstwo gości. Tylko willa na pagórku od wielu lat była niezamieszкана.

Pani Stange, gospodyni Klaudyny, kilka razy do roku otwierała drzwi willi, gdzie z całym sztabem pomocnic robiła gruntowne porządki, sprzątała, zamiatała, wietrzyła i usuwała na pewien czas pył i pajęczyny.

Dawniej, w takie dni, pani Klaudyna krążyła niespokojnie wokoło willi, lecz nigdy nie przestępowała jej progu. O ile na ogół była sprawiedliwą i wyrozumiałą chlebodawczynią, o tyle podczas tych dni nikt nie potrafił jej dogodzić. Pani Stange kiwała wówczas głową i mówiła do służby:

– Nie bierzcie jej tego za złe. Pani ma znowu swoje „humory”, ale to przejdzie.

Powoli służba przywykła do „humorów” pani Klaudyny. Służący przebywali długie lata w jej domu i czuli się dobrze, chociaż pani Klaudyna była bardzo energiczna, surowa i wymagająca.

Pani Klaudyna włożyła binokle, przyglądając się uważnie czterem fotografiom. Wszystkie przedstawiały młode, ładne twarzyczki.

Uwagę pani Klaudyny przykuła od razu druga fotografia. Przypatrywała się jej badawczo i odłożyła ją oddzielnie na stole. Gdy obejrzała trzy pozostałe, wzięła ją znowu do ręki i rzekła z wrodzoną sobie żywością:

- Wybieram tę, kochany doktorze.
- Wiedziałem, że tak będzie – odparł pan Frensen.

- Tak? Dlaczego?

- Bo ta młoda osóbka jest bezwarunkowo najładniejsza. A wiem, że pani jest bardzo wrażliwa na piękno i dużą wagę przywiązuje do powierzchowności.

Pani Klaudyna wzruszyła ramionami.

- Można łatwo popełnić omyłkę. Fotografia jest ładna, a oryginał może mnie prędko rozczarować.

- Czy mam zaangażować tę młodą panienkę?

- Tak, proszę pana. Wymieni jej pan zwykłe warunki. Jeżeli mi się nie spodoba, będę mogła natychmiast zwolnić ją z posady. Tytułem odškodowania otrzyma trzymiesięczną pensję oraz koszty utrzymania za ten okres.

- Właściwie te panie robią doskonały interes – zauważył notariusz.

Pani Klaudyna potrząsnęła głową.

- Nie chciałabym nikogo krzywdzić. Żadna z nich nie odpowiada za to, że nie wywarła na mnie sympatycznego wrażenia.

Frensen skłonił się.

- Wiem, że pod szorstką powłoką ukrywa pani szlachetne serce – rzekł ciepło.

Pani Klaudyna zarumieniła się i wyglądała w tej chwili bardzo młodo i ładnie.

- Oj, doktorze, tacy starzy znajomi jak my nie powinni prawić sobie komplementów – rzekła – wiem, niestety, o tym, że mam nieznośne usposobienie.

- Nie powiedziałem pani komplementu, lecz skonstatowałem fakt – odpowiedział spokojnie. Szorstki ton pani Klaudyny bynajmniej go nie zraził. Kobieta owa była naturą skrytą i zamkniętą w sobie, niekiedy jednak zdradzała mimo woli tajniki swojej duszy. Doktor Frensen znał ją na wskroś.

- Tak więc zaangażujemy tę młodą osobę. Zdaje się, że fotografia jest oznaczona numerem drugim? – mówił, wyjmując z teki jakąś kopertę. Jeżeli pani pozwoli, to przeczytam ofertę tej kandydatki. Ja sam przeglądałem tylko pobieżnie wszystkie zgłoszenia, które przestudiował za to dokładnie kierownik mojego biura.

- Niech mi pan tego oszczędzi. Jestem pewna, że pański urzędnik załatwił wszystko jak najlepiej. Nie interesują mnie szczegóły, chodzi mi wyłącznie o to, by moja nowa towarzyszka okazała się znośną.

Pan Frensen czytał tymczasem notatki, które ołówkiem nakreślił na kopercie jego pomocnik.

- Ta panna jest sierotą zupełnie niezależną, a tego pani sobie przecież życzyła. Posiada ona doskonale świadectwo od swojej poprzedniej chlebodawczyni, która zwolniła ją tylko dlatego, że zmuszona była przyjąć do domu jakąś ubogą krewną, wobec czego towarzyszka stała się zbyt zbyteczna.

- Dobrze, dobrze, to mi wystarcza. Niech pan do niej napisze, żeby jak najprędzej przyjechała.

Pani Klaudyna podniosła się z miejsca.

- A więc sprawa została załatwiona. A teraz muszę pana pożegnać, gdyż jadę do miasta po sprawunki, a mój powóz czeka już na dole. Do widzenia! Spodziewam się, że państwo w sobotę mnie odwiedzą. Liczę na pańską małżonkę i obydwu bratanków.

- Naturalnie że skorzystamy wszyscy z miłego zaproszenia – odparł doktor Frensen, podnosząc się również i wkładając rozmaite papiery do teki.

- Jeszcze raz do widzenia! Proszę pozdrowić wszystkich w domu.

Z tymi słowami pani Klaudyna opuściła pokój. Frensen spokojnie uporządkował dokumenty w tece, po czym wyszedł energicznym krokiem.

W przedsionku lokaj pomógł mu przy wkładaniu płaszcza. Na dole przed domem stał już powóz pani Klaudyny. Brama wjazdowa była otwarta na oścież.

Frensen wyszedł pierwszy, za nim ukazała się pani Steinbrecht. Gdy ujrzała starego prawnika, zawołała:

- Niech pan wsiądzie ze mną do powozu. Zatrzymamy się przed pańskim domem.

Frensen odwrócił się i spełnił jej życzenie.

Powóz potoczył się przez szeroką drogę, wysypaną drobnym żwirem, zmierzając w stronę miasta. Zatrzymał się dopiero przed domem doktora Frensena.

Kancelaria starego notariusza mieściła się na parterze, mieszkanie zaś na pierwszym piętrze. Doktor wszedł przede wszystkim do biura, podał swemu urzędnikowi tekę i rzekł:

- Wybrany został numer drugi. Zechce pan natychmiast załatwić tę sprawę. Pragnę, aby ta pani stawiała się u mnie jak najprędzej. Ja sam przedstawię ją przyszłej chlebodawczyni.

Po czym Frensen udał się na górę do mieszkania, aby powitać swoją małżonkę.

II

W trzy dni później, w czwartek po południu, pan Frensen w towarzystwie wysokiej, wysmukłej panienki stanął przed furtką, prowadzącą do parku Steinbrechtów. Nacisnął mosiężny guzik i natychmiast drzwiczki stanęły otworem.

Notariusz przepuścił najpierw młodą osobę. Przeszli razem przez szeroką, wysypaną żwirem drogę, która wiodła do domu.

Młoda panna, ubrana w skromną lecz doskonale skrojoną suknię, podniosła wielkie, ciemne oczy na piękny, dwupiętrowy budynek. W spojrzeniu jej malowało się jakby pytanie.

- Ciekawe, czy też długo pozostanę tutaj? - myślała, pełna niepokojem. Ogarnęło ją przy tym dziwne, dręczące uczucie, jakie odczuwa każdy człowiek, mający objąć nowe stanowisko wśród obcych, od których będzie zależny.

Doktor Frensen wpatrywał się nieznacznie w młodą, piękną twarzyczkę o wdzięcznych rysach.

Panienka ogarnęła spojrzeniem dom i park. Z zachwytem wodziła oczami po malowniczej okolicy.

- Jak tu pięknie! - rzekła z błyszczącymi oczami do swego towarzysza.

Frensen z uśmiechem skinął głową, spoglądając z przyjemnością w piękne, lśniące oczy dziewczyny.

- Tak, to wspaniała posiadłość - odpowiedział.

- Prześliczna! Ach! gdybym tu mogła pozostać - rzekła cichutko panienska.

- Życzę pani tego z całego serca! Wprawdzie pani tego domu ma swoje dziwactwa i kaprysy, lecz poza tym posada jest bardzo dobra. Mądry człowiek potrafi z łatwością zastosować się do cudzych nawyków, chociażby mu się wydawały najdziwniejsze. Aczkolwiek znam panią krótko, to jednak mam wrażenie, że jest pani osobką bardzo rozumną...

Poważną twarzyczkę dziewczyny opromienił słoneczny uśmiech.

- Dziękuję za dobre mniemanie, drogi panie doktorze. Jestem panu w ogóle ogromnie wdzięczna, że spośród tylu kandydatek polecił pan właśnie mnie na to stanowisko - rzekła ciepło.

- Och, ja przecież tylko przedstawiłem fotografie do wyboru. Pani Steinbrecht sama zdecydowała się wybrać panią - odparł Frensen.

Dziewczyna spojrzała na doktora.

- O ile mi się zdaje, to wspomniał pan, że pani Steinbrecht pozostawiła panu załatwienie tej całej sprawy?

- Zapewne! Jednak ona sama wybrała pani podobiznę. To również jedno z jej dziwactw. Chciałaby, żeby wyłącznie indywidualność danej osoby wywierała na nią wpływ. W każdym razie twarz pani przypadła jej do gustu.

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się.

Frensen obserwował z upodobaniem swoją towarzyszkę, myśląc przy tym, że jeszcze godzinę temu miał ogromne wątpliwości, czy w ogóle powinien wprowadzić młodą osobkę do domu swej klientki. Przed godziną bowiem posłyszał po raz pierwszy nazwisko panienki i nie był pewny, czy nie urazi ono pani Klaudyny. Przy jej wrażliwości nie było to wcale wykluczone. Piękne oczy dziewczyny wywierały jednak na niego magiczny wpływ i postanowił mimo wszystko przedstawić ją przyszłej chlebodawczyni.

- Wiele będzie zależało od pani postępowania. Pani Steinbrecht przywiązuje dużą wagę do rozmaitych drobnostek. Powinna się pani postarać, żeby wzbudzić w niej sympatię.

Na twarzy młodej dziewczyny odmalował się smutek.

- Czyż można się umyślnie zachowywać w ten sposób, aby pozyskać czyjaś sympatię? - spytała cicho.

Doktor Frensen pogładził gładko wygolony podbródek.

- Sądzę, że można. Niech pani w każdym razie nie traci nadziei.

- Och, mam najlepsze chęci i jestem odważna. Ale to tak trudno znaleźć odpowiednią posadę, zwłaszcza kiedy się nie ma czasu na czekanie.

- Spodziewam się, że pani Steinbrecht będzie z pani zadowolona. Gdyby się jednak stało inaczej, to chętnie postaram się dla pani o inną posadę. Zarówno moja żona jak i ja mamy dość rozległe stosunki.

Młoda panienska spojrzała z wdzięcznością w poczciwe oczy starego pana.

- Ach, jaki pan dobry! A pańska żona również przyjęła mnie tak uprzejmie, kiedy czekałam na pana w jego mieszkaniu. Nie szczędziła mi dobrych rad i wskazówek, jak się mam zachowywać wobec pani Steinbrecht.

Doktor Frensen zaśmiał się.

- Ho, ho! Więc moja żona udzielała pani wskazówek? Czy pani wie, że to pewnego rodzaju sukces? Moja żona zazwyczaj nie obdarza tak prędko zaufaniem ludzi, których zna zaledwie godzinę.

- Tym bardziej doceniam jej dobroć. Jestem jej szczerze wdzięczna za tyle względów.

W tej chwili oboje doszli do celu i stanęli przed wspartym na kolumnach domem.

- Przybyliśmy na miejsce - rzekł Frensen. Drzwi wejściowe były już otwarte, a w przedsionku stał w wyczekującej postawie służący.

Już sam przedsionek sprawiał imponujące wrażenie. Posadzka była wyłożona artystyczną mozaiką. Pośrodku znajdował się marmurowy basen, który okalały rośliny o szerokich liściach. W kątach były poroz-

stawiane grupy mebli, przed którymi leżały puszyste kobierce. Z wysoko umieszczonych, kolorowych okien, płynęły potoki barwnego światła.

Młoda dziewczyna zawahała się na chwilę. Odniosła wrażenie, jakby w tych murach miało się spełnić jej przeznaczenie. Potem postąpiła kilka kroków naprzód.

W głębi przedsionka znajdowały się szerokie, pokryte dywanem schody, które wiodły do szerokiego podestu. Stamtąd prowadziły schody na pierwsze piętro. Pomieszczenia gospodarskie oraz kuchnia znajdowały się w suterenie. Na parterze mieściła się jadalnia, kilka gabinetów, sala muzyczna oraz wielki salon, w którym odbywały się wszelkie uroczystości.

Pierwsze piętro składało się z sypialni, buduaru i gabinetu właścicielki. Na drugim piętrze znajdowały się pokoje gościnne, dwa pokoiki, przeznaczone dla panny do towarzystwa oraz pokój pani Stange.

Doktor Frensen zwrócił się do służącego, prosząc, by oznajmił pani Steinbrecht jego przybycie. Ten obrzucił przelotnym, ciekawym spojrzeniem młodą osobę, po czym rzekł uprzejmie:

- Pani wyjechała i mówiła, żebym przeprosił w jej imieniu pana doktora. Musiała być w mieście, na jakimś bardzo ważnym posiedzeniu. Pani kazała, żebym zaprowadził panienkę do pani Stange i zapytał o życzenia. Nasza pani powróci dopiero na herbatę.

Frensen spojrział z wahaniem na młodą dziewczynę.

- Nie mogę, niestety, tak długo czekać. Żałuję bardzo, gdyż byłbym chętnie przedstawił panią osobiście. Trudno, pani Stange zajmie się tymczasem panią. Życzę pani powodzenia! Fryderyku, proszę zaprowadzić panią do pani Stange.

Skłonił się przed młodą panną, uścisnął jej rękę i wyszedł. Fryderyk zwrócił się z poufałym uśmiechem do panienki.

- Chodźmy na górę - rzekł.

Szła obok niego, nie zwracając uwagi na jego poufałość. Gdy weszli na schody, wybiegła im naprzeciw starsza, tęga kobieta, średniego wzrostu. Nosila gładką, czarną suknię i biały fartuszek. Szpakowate, starannie przyczesane włosy nakrywał śnieżny czepeczek. W ręku trzymała koszyczek, w którym pobrzękiwały klucze:

Była to gospodyni, pani Stange. Spojrzała badawczo na młodą dziewczynę.

- O, to zapewne nowa towarzyszka naszej pani? - spytała z uśmiechem.

Młoda dziewczyna odetchnęła z ulgą. Poczciwa, uśmiechnięta twarz staruszki sprawiła na niej miłe wrażenie. Uważała to spotkanie na schodach za dobry omen.

- Tak, proszę pani - odpowiedział służący - pan Frensen przypro-wadził panienkę. Nie mógł jednak czekać, więc zaraz odszedł.

- Doskonale! Fryderyk może już odejść. Ja sama zaprowadzę panią do jej pokoju.

Panienka zaczęła znowu wstępować na schody. Pani Stange prowa-dziła ją na drugie piętro.

Gdy przybyli na górę, gospodyni wprowadziła młodą dziewczynę do dużego, jasnego pokoju. Stały w nim białe, lakierowane meble, obite barwnym kretonem. Portiery i zasłony były z tej samej tkaniny. Obok znajdowała się sypialnia, urządzona podobnie. Wszystko tchnęło tu smakiem i prostotą, a przy tym lśniło od czystości.

Nowo przybyłej ogromnie spodobały się oba pokoiki.

- Ach, gdybym tu mogła pozostać - myślała, przestępując próg, po czym wykrzyknęła, pełna podziwu:

- Jak ślicznie! Jak prześlicznie!

Pani Stange spojrzała z uśmiechem w młodą, piękną twarzyczkę.

- Prawda, że pokoiki są ładne? Tutaj wstawiono już także pani rze-czy. Ale na razie może się pani jeszcze wstrzymać z rozpakowaniem wa-lizek...

Ostatnie wyrazy wymówiła ze szczególnym naciskiem. Dziewczyna zwróciła na nią pytające spojrzenie brązowych, aksamitnych oczu. Pod wpływem tego wzroku, zawiadnęło panią Stange dziwne uczucie.

- Chciałam tylko powiedzieć, że może panienka na razie troszkę się odświeży z drogi. Nasza pani wkrótce powróci i będzie z panienką piła herbatę. Potem któraś ze służących może rozpakować walizki panienki.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno i szepnęła:

- Miała pani zamiar powiedzieć, żebym lepiej poczekała, czy się w ogóle opłaci rozpakować rzeczy...

Gospodyni oblała się rumieńcem, potem jednak podniosła stanowczym ruchem głowę i powiedziała:

- Przyznaję, że coś takiego miałam na myśli, chociaż nie mogę sobie wyobrazić, żeby się panienka miała naszej pani nie spodobać. Mnie się panienka podoba o wiele lepiej, niż wszystkie te, co tu już były - oświadczyła rezolutnie.

Panienka ujęła jej małą, pulchną rączkę.

- To pewnego rodzaju pociecha - rzekła z uśmiechem - wiem od pana Frensena, że moje poprzedniczki przebywały w tym domu zaledwie po kilka dni... Obawiam się, że mnie również spotka ich los.

- Może nie! Co prawda, to nasza pani ma swój odrębny gust. Nie może zapomnieć panny Floy, która wyszła za mąż. Pani trudno przyzwyczajają się do nowych twarzy. Kto wie, może panienka będzie mieć więcej szczęścia niż tamte.

Dziewczyna z ciężkim westchnieniem zdjęła kapelusz i rękawiczki.

- Czy mam pani przysłać herbatę na górę? - spytała pani Stange.

- Dziękuję bardzo. Na razie nie czuję głodu ani pragnienia.

- Potem panienka napije się herbaty z panią. Ja teraz pójdę, żeby się panienka mogła przebrać. Zawiadomię panienkę, gdy nasza pani zechce ją zobaczyć.

- Dziękuję, dziękuję pani za wszystko - rzekła serdecznie młoda dziewczyna.

- Nie ma za co, panienczko. Wiem z doświadczenia, jak to się człowiek czuje w nowym otoczeniu. Służę już od dwudziestu lat w tym domu, lecz dawniej często zmieniałam miejsce. Uszy do góry! Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie jak najlepiej.

I pani Stange wyszła z pokoju.

W godzinę później gospodyni weszła znowu. Młoda dziewczyna stała przy oknie, spoglądając na błyszczący dach willi „Klaudyna”. Gdy usłyszała kroki pani Stange, odwróciła się natychmiast.

Pani Stange z zadowoleniem skinęła głową, jednocześnie obrzuciła baczny spojrzeniem wysmukłą, zręczną postać młodej dziewczyny.

Panienka była świeżo uczesana, a do sukni przypięła wąski, biały kołnierzyk.

Wyglądała bardzo ładnie i wytwornie.

Pani Stange z zadowoleniem skinęła głową.

– Dobrze panienka zrobiła. Nasza pani lubi białe wypustki wokół szyi. Radzę panience nie mówić zbyt wiele. Tego pani nie lubi. I proszę się nie certować przy jedzeniu i picciu. W ogóle niech panienka zachowuje się swobodnie i nie okazuje lęku. Pani pije dwie filiżanki herbaty z jednym kawałkiem cukru. Proszę także przysunąć naszej pani podnózek. Na fotelu wisi jedwabna chustka. Gdy pani usiądzie, proszę jej tę chustkę zarzucić na ramiona. Niech panienka także uważa, żeby słońce nie raziło naszej pani w oczy. O tej porze świeci ono bardzo silnie. Trzeba zaciągnąć do połowy zasłonę na oknie. Tylko tyle, żeby nie padało wprost na twarz, bo na ogół pani lubi jak w pokoju jest słońce. I niech panienka przypadkiem nie stara się chodzić na palcach i cicho zachowywać. Swobodne, naturalne obejście najwięcej wskóra...

Pocziwa pani Stange nie szczędziła młodej pannie dobrych rad. Gdy stanęły obie na pierwszym piętrze, gdzie pani Steinbrecht czekała już z herbatą na swoją nową towarzyszkę, gospodyni zamilkła.

Panienka uściśnęła z wdzięcznością rękę dobrej kobiety, starając się zapamiętać każde słowo.

Po chwili znalazła się w pięknym, wspaniale urządzonej pokoju, wysłanym grubym, szarym dywanem. Stół znajdował się w zagłębieniu przy oknie i był bardzo ładnie nakryty. Obok stał mały wózek z całkowitą zastawą do herbaty.

Pani Klaudyna przechadzała się po pokoju. Teraz przystanęła i obrzuciła wzrokiem nowo przybyłą. Pani domu nosiła suknię z szarego jedwabiu, przybraną czarnymi koronkami. Układała się ona w szerokie fałdy wokół wysokiej, kształtnej postaci. Pani Steinbrecht miała włosy gęste i ciemne, w których połyskiwało zaledwie kilka srebrnych nitek. Uczesana była z wielką prostotą, lecz bardzo wykwiłtnie.

Pani Stange postąpiła kilka kroków naprzód.

- Oto nowa panienka, proszę pani. Pani Steinbrecht skinęła głową.
- Dobrze, Stange! Możesz odejść – rzekła.

Nazywała ona starą gospodynię zawsze „Stange” i mówiła jej „ty”. Pani Stange była bardzo dumna, uważając tę poufałość za wielkie wyróżnienie. Skłoniła się i wyszła. Obie panie pozostały same w pokoju.

Panienka złożyła wdzięczny ukłon swojej chlebodawczyni. Serce jej biło mocno, lecz nie dawała poznać po sobie, że odczuwa obawę. Spokojnie wytrzymała badawcze spojrzenie pani Klaudyny.

Ciemne oczy milionerki spoglądały przenikliwie na młodą dziewczynę.

– Jaka śliczna dziewczyna – myślała, mile zaskoczona, – a zwłaszcza te oczy... Jakie dziwne oczy. Gdzież ja widziałam podobne?

I znajdując się pod urokiem cudnych, poważnych oczu dziewczęcych, zbliżyła się do swojej nowej towarzyszki. Na jej uprzejmy ukłon odpowiedziała krótkim skinieniem głowy.

– Podobno doktor Frensen osobiście przyprowadził panią tutaj?

– Pan Frensen w istocie był tak uprzejmy.

– Wszak pani przybywa z Berlina, o ile się nie mylę?

– Tak jest, proszę pani.

– Czy pani tam ostatnio zajmowała posadę?

– Tak, u pana generała Feldheima.

– A czemu to przypisać, że mogła pani przyjechać zaraz na moje wezwanie?

– Byłam właściwie już bez posady, lecz pani Feldheimowa pozwoliła mi tak długo przebywać u siebie, dopóki nie znajdę innego zatrudnienia.

Pani Klaudyna nie spuszczała wzroku z młodej panny, przy czym bezustannie zastanawiała się, kogo przypominają jej te cudne, brązowe oczy, oczy, w których zapalały się złote światełka. Wyglądało to, jak gdyby słońce rzucało złociste refleksy na brunatny aksamit.

– Doktor Frensen poinformował panią zapewne o tym, że posada u mnie na razie nie jest stała.

Dziewczyna zarumieniła się. Usta jej drgnęły, jakby starała się stłumić wewnętrzne wzruszenie. Odparła jednak na pozór zupełnie spokojnie.

– Tak, proszę pani. Pan Frensen uprzedził mnie o tym.

– Czy nie popełniła pani lekkomyślnego kroku, opuszczając dom generała Feldheima, aby objąć tak niepewne stanowisko?

- Nie, proszę pani - odpowiedziała młoda dziewczyna, wytrzymując badawcze spojrzenie pani Klaudyny - nie chciałam dłużej korzystać z dobroci pani generałowej. Moja chlebodawczyni nie potrzebowała mnie. Jestem chwała Bogu młoda i zdrowa i przykro mi było siedzieć u kogoś na łaskawym chlebie.

- Zapewne jest pani także bardzo dumna? - spytała pani Klaudyna.

Młoda dziewczyna mimo woli podniosła głowę a w jej brązowych oczach zapaliły się złote ogniki.

- Tak, jestem dumna - odparła szczerze.

Znowu wpiło się w nią badawcze spojrzenie. Pani Klaudyna wciąż jeszcze wysilała pamięć, starając się sobie przypomnieć, gdzie i u kogo widziała takie same brązowe oczy o złotym połysku.

- Napijemy się herbaty - rzekła, podchodząc do stołu i zajęła miejsce na fotelu.

Jednocześnie wyciągnęła rękę w stronę poręczy, na której wisiała jedwabna chustka. Młoda dziewczyna zbliżyła się i pośpiesznie zarzuciła jej szal na ramiona.

Pani Klaudyna spojrzała na nią zdziwiona i skinęła głową. Panienska przypomniała sobie także o podnóżku i przysunęła go swej chlebodawczyni.

Oczy pani Steinbrecht błysnęły. Spojrzała na klęczącą u jej stóp dziewczynę i zauważyła, pełna zachwytu, przepyszne, złote włosy swojej towarzyszki.

- Jaka piękna istota! — pomyślała, spoglądając z rozkoszą na śliczne stworzenie.

Młoda panienska z wielką zręcznością nalewała pani Klaudynie herbatę i spełniała każde jej życzenie tak prędko, jakby już od wielu lat przebywała u niej. Do każdej filiżanki wrzuciła po jednym kawałku cukru, po czym przysunęła paterę, napełnioną kruchymi ciasteczkami. I tym razem odgadła gust pani Klaudyny, której oczy ponownie błysnęły.

Gdy pani Steinbrecht była już zaopatrzona we wszystko, młoda panna naląła sobie herbaty. Jej zachowanie było przy tym skromne, lecz bardzo swobodne.

Rozmowa polegała na tym, że pani Klaudyna zadawała swojej towarzysze rozmaite pytania, na które ta bardzo uprzejmie odpowiadała.

Gdy słońce zaczęło mocniej przygrzewać, pierwszy jego promień padł na twarz pani Klaudyny, młoda panna powstała z miejsca i zaciągnęła jedwabną storę. Słońce świeciło w pokoju, lecz nie przeszkadzało teraz pani Steinbrecht.

Wtedy jej dumną twarz opromienił przelotny uśmiech, który znikł, kiedy panienka powróciła na miejsce. Głos pani Klaudyny brzmiał mniej szorstko, gdy powiedziała:

- To było bardzo ładnie z pani strony. Widocznie pani się już rozeznała w moich przyzwyczajeniach i upodobaniach.

Dziewczyna spłonęła rumieńcem, po czym uśmiechnęła się. Spoglądając pani Klaudynie prosto w oczy, odparła szczerze:

- Pani Stange była tak uprzejma i dała mi kilka wskazówek. Nie chciałam fatygować pani zbyt wieloma pytaniami.

Na twarzy pani Klaudyny pojawił się znowu przelotny uśmiech.

- Aha, więc to Stange dawała pani te dobre rady!

Panienka spojrzała na swoją chlebodawczynię, a w oczach jej odmawiała się gorąca prośba:

- Proszę się na nią nie gniewać, było przecież bardzo uprzejmie z jej strony. Wiedziała, jak bardzo mi zależy, żeby pani dogodzić. Pragnę gorąco, żeby pani była ze mnie zadowolona i dołożę wszelkich starań.

Ciemne oczy pani Steinbrecht wpiły się badawczo w twarz swojej towarzyski.

- Czyż pani naprawdę na tym zależy?

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno.

- Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby mi wolno było tu pozostać...

- Szczęśliwa? - spytała z ironią pani Klaudyna - sądziłam, że młode panienki inaczej wyobrażają sobie szczęście. Nie przypuszczam, żeby posada towarzyski u starej, często nieznośnej kobiety, mogła panią uszczęśliwić.

Młoda dziewczyna spojrzała poważnie na mówiącą.

- Jeżeli ktoś jest samotny i zmuszony pracować na siebie, wówczas pewną posadę i dach nad głową uważa za szczęście.

Pani Klaudyna spojrzała, jakby urzeczona, w brązowożłote oczy dziewczyny. Nie mogła po prostu oderwać od nich wzroku.

– Czy pani już dawno straciła rodziców?

– Matka umarła, gdy byłam dziewczynką w wieku szkolnym; ojca straciłam przed dwoma laty. W ostatnich czasach wciąż chorował i wcale nie zarabiał. Choroba jego pochłonęła wszystkie nasze drobne oszczędności. Gdy umarł, sprzedałam całe urządzenie. Osiągnęłam tyle, że mogłam pokryć kosztą pogrzebu i utrzymywać się tak długo, póki nie objęłam posady u pani Feldheimowej.

Słowa te wzruszyły do głębi panią Klaudynę. Pojęcie ubóstwa nie było dla niej zrozumiałe, gdyż nie zaznała go nigdy w życiu. A jednak pojęła w tej chwili, jaki dramat może zawierać słowo: „ubogi”. Była osobą dobroczynną i zajmowała się wiele filantropią, nigdy jednak, jak w tej chwili, nie zdawała sobie tak dokładnie sprawy, jak wielka może być cudza niedola. Jednocześnie jednak walczyła z uczuciem nagłej sympatii, jaką od razu wzbudziła w niej ta obca dziewczyna. Nie chciała poddać się jej dziwnemu urokowi. Oparła się, jakby znudzona o poręcz fotela i rzekła szorstko:

– Tam na stoliku leży książka. Do pani obowiązków należałoby również głośne czytanie. Naturalnie tylko w tym wypadku, o ile pani głos będzie mi odpowiadał. W przeciwnym razie wyrzeknę się lektury. A teraz spróbujmy...

Mówiąc te słowa, obserwowowała bacznie młodą panienkę, śledząc, czy nie dojrzy na jej twarzy oznak obrazy lub niezadowolenia.

Panienka jednak spokojnie podniosła się z miejsca i poszła po książkę. Serce biło jej mocno, czuła jak gdyby ciężar uciskający pierś. Przecież jej chlebodawczyni powiedziała „należałoby”, a nie „należeć będzie”. To dowodziło, że pani Steinbrecht nie postanowiła jeszcze, czy ją zatrzyma u siebie.

Na pozór jednak nie można było poznać, jakie uczucia ją ogarnęły. Usiadła naprzeciw pani Klaudyny i otworzyła książkę w miejscu, gdzie znajdowała się zakładka.

– Czy stąd mam czytać dalej, proszę pani? – zapytała.

Pani Klaudyna skinęła głową.

Towarzyszka zaczęła czytać. Głos miała dźwięczny, wymowę wyraźną. Czytała przy tym z wielkim przejęciem i zrozumieniem.

Pani Klaudyna, mile zdziwiona, słuchała z prawdziwą przyjemnością.

Zagłębiła się w fotelu, nie odwracając oczu od pięknej, wysmukłej dziewczyny, pochylonej nad książką.

Po raz pierwszy, od czasu, jak opuściła ją panna Elza, czuła się dobrze. Rozkoszowała się tą chwilą wytchnienia. Tak, byłoby bardzo przyjemnie zatrzymać na zawsze przy sobie to młode, śliczne stworzenie. Zdaje się, że tym razem doktor Frensen uczynił dobry wybór.

Postanowiła, że o ile młoda panna nie będzie miała jakichś szczególnie przykrych cech charakteru, to ją zatrzyma.

Gdyby dziewczyna wiedziała, jakie myśli kryją się za dumnym czołem pani Klaudyny, wówczas odetchnęłaby z ulgą.

Panienska czytała przez godzinę i doszła do końca książki. Zamknęła ją, po czym przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu. To właśnie spodobało się pani Klaudynie. Wreszcie panienska zapytała skromnie:

- Czy mam przynieść co innego do czytania?

- Nie - odparła pani Klaudyna - na dziś będzie dosyć. Nie chciałabym, żeby się pani przemęczyła.

W głosie jej brzmiała pewna życzliwość.

- Och, proszę pani, wcale nie jestem zmęczona i mogę jeszcze po-
czytać...

- Nie, nie. Na dziś mam dosyć... Dziewczyna spojrzała lękliwie na panią Klaudyne.

- Czy pani jest niezadowolona? Pan Frensen wspominał, że pani ,
Przywiązuje wielką wagę do głośnego czytania...

Pani Klaudyna uśmiechnęła się znowu.

- Czyta pani wyraźnie i z wielkim zrozumieniem. Byłam zupełnie
zadowolona.

W brązowych oczach zapaliły się ogniki.

- Ach, jakże się z tego cieszę!

Dziwnie wyglądały w tej chwili brązowe źrenice. Wydawało się, że słońce rozpało w nich złociste iskierki. Pani Klaudyna drgnęła. Miała wrażenie, jakby w tej chwili ktoś błyskawicznie zdarł z jej pamięci ciemną

zasłone. Wiedziała teraz, że oczy, podobne do oczu młodej dziewczyny, odegrały niegdyś ogromną rolę w jej życiu.

Spoglądając wciąż na swoją towarzyszkę, spytała zamyślona:

- Jak brzmi pani nazwisko? Zdaje się, że go dotąd wcale nie słyszałam...

- Nazywam się Bryta Lossen, proszę pani.

Pani Klaudyna drgnęła, jakby nagle rażona piorunem. Osłupiała z przerażenia, patrzyła w oczy Bryty. Ręce jej wpiły się kurczowo w poręcze fotela. Wyglądała, jakby potrzebowała w tej chwili jakiegoś oparcia.

- Co? Jak? Co to za nazwisko? - spytała ochryplym głosem, unosząc się na fotelu.

Młoda dziewczyna spojrzała zdumiona w jej zmienioną twarz.

- Bryta, proszę pani. Jest to skrót dwóch imion Brygida i Małgorzata. Nazywam się Bryta Lossen - powtórzyła, przypuszczając, że pani Klaudyna nie zrozumiała jej imienia.

Pani Steinbrecht, goniąc ostatkiem sił, podniosła się z miejsca. Stała sztywna, wyprostowana jakby wykuta z kamienia. Drżącymi wargami szeptała:

- Lossen? Czyżbym się przesłyszała? Pani nazwisko brzmi Lossen?

- Tak, proszę pani - odparła Bryta, spoglądając trwożnie na panią Klaudynę.

Ta powoli odzyskiwała spokój. Kosztem ogromnego wysiłku woli udało się jej wreszcie opanować wzruszenie. Drżącą ręką odgarnęła sobie włosy z czoła.

- Słabo mi... to lekki zawrót głowy - rzekła z trudem i opadła z powrotem na fotel.

Bryta podbiegła pośpiesznie do stołu i napełniła szklanke wodą. Podniosła ją do ust pani Klaudyny, mówiąc głosem pełnym współczucia:

- Może pani napije się wody? A może zwilżyć pani skronie? Pani Klaudyna machnęła ręką.

- Zawołam panią Stange. Ona zapewne będzie wiedziała, jak pani pomóc...

Lecz pani Klaudyna powoli przychodziła do siebie.

- Nie, nie trzeba... Już mi przeszło... Dziękuję. Ale, ale, o czym to rozmawialiśmy przed chwilą? Zdaje się, że o nazwisku pani... Więc jak ono brzmi? Lossen? Czy też może się przysłyszałam?

- Nie, proszę pani. Nazywam się Bryta Lossen – odpowiedziała panienka, stawiając szklanę na stole.

- A... kim był właściwie pani ojciec?

- Malarzem, proszę pani. Może pani słyszała o nim? Henryk Lossen, pejzażysta.

Twarz pani Klaudyny powlekła się śmiertelną bladością.

- Proszę odejść... natychmiast... chcę pozostać sama... – wykrztusiła wreszcie, a z piersi jej dobył się głuchy jęk.

Bryta pochyliła się nad nią.

- Proszę pani...

- Odejść. Chcę pozostać sama.

Ostatnie słowa wyrwały jej się z niebywałą gwałtownością z wykrzywionych bolesnym skurczem warg. W ciemnych oczach płonął dziwny, tajemniczy ogień, jakby ktoś rozniecił w nich pożar.

Bryta, przerażona, wymknęła się z pokoju. Na korytarzu spotkała służącego Fryderyka, którego poprosiła, aby natychmiast zawołał panią Stange.

Staruszka spieszenie wbiegła na schody.

- Co się stało, panienczko? – spytała zdumiona.

Bryta szepnęła jej, pełna troski, że pani zrobiło się niedobrze i że kazała jej natychmiast opuścić pokój.

Gospodyni spojrzała ze współczuciem na pobladłą twarz dziewczyny.

- Pewno się pani znowu coś nie spodobało – myślała, nie mając odwagi wypowiedzieć głośno swego przypuszczenia.

Mimo to udała się do jadalni pod pozorem, że ma zamiar sprzątnąć ze stołu. Pokój jednak okazał się pusty. Klaudyna Steinbrecht przeszła do swego buduaru. Tam zamknęła się na klucz.

Wierna, stara służąca nie miała o tym pojęcia, że jej pani leży w osłupieniu na kanapie, że w duszy jej szaleje okropna burza. Już od lat nic jej tak nie wytrąciło z równowagi.

Pani Stange, wzruszając ramionami, powróciła do młodej dziewczyny.

- To pewno jakaś przemijająca słabość. Pani zamknęła się w swoim pokoju. Gdyby się bardzo źle czuła, to pewnie by zadzwoniła.

- Ach, droga pani Stange! Cóż ja mam teraz począć? - zapytała Bryta.

- Niech panieneczka idzie do swego pokoju i czeka, aż pani ją zawoła. Jeżeli nasza pani zamknęła się u siebie, to widać pragnie w tej chwili być sama.

- Ale to chyba nic poważnego?

- Cóż znowu? Lekki zawrót głowy. To szybko minie. Niech panienka wróci do swego pokoju.

- Nie opłaca się chyba, żebym otwierała walizki? - szepnęła Bryta.

Stara kobieta nie potrafiła jednym słowem zniweczyć całej nadziei dziewczęcia. Niech tam sobie biedactwo rozpakuje kufry, to przynajmniej będzie miała jakieś zajęcie, które ją oderwie od smutnych myśli.

- Ależ oczywiście, niech panienka rozpakuje rzeczy - rzekła pewnym głosem.

Pozorny spokój pani Stange dodał Brycie otuchy.

Udała się wolnym krokiem do swego pokoju. Postanowiła rozpakować walizki. Miała przecież potem jeszcze dość czasu, żeby je ponownie zapakować.

Pani Stange myślała tak samo:

- Zdaży jeszcze spakować swoje manatki, nieboraczka. Widać i ona nie znalazła uznania w oczach naszej pani. Pewno wkrótce zadzwoni i powie: „Stange, powiedz, panience, że może odjechać. Doktor Frensen wypłaci jej pieniądze”.

Zdarzyło się to już trzy razy. Pani Stange za każdym razem doznawała uczucia ogromnej przykrości. Wiedziała jednak, że w tym wypadku przyjdzie jej spełnić to polecenie z większą przykrością, niż zazwyczaj.

- No, i co pani Stange? - zagadnął Fryderyk. - Nowa pewno także wyleci?

To mówiąc, zaśmiał się szyderczo, gdyż Bryta wydawała mu się ogromnie dumna i zarozumiała. Pani Stange obruszyła się.

- Niech Fryderyk nie wtrąca się do nie swoich rzeczy i pilnuje, żeby sam nie wyleciał - rzekła szorstko i wyszła z pokoju.

III

Pani Klaudyna przez dłuższy czas spoczywała, jakby skamieniała, na kanapie. Teraz podniosła się i odgarnęła włosy z czoła. Oczy jej płonęły. Wyglądała tak, jakby w źrenicach jej zastygły wszystkie niewypłakane łzy.

- Więc tak? Więc to jest jego córka?

Córka człowieka, którego niegdyś nade wszystko ukochała, tak gorąco i bezgranicznie, że nie potrafiła zadowolić się uczuciem, którym ją obdarzał. Wymagała od niego coraz więcej, pragnęła mu być wszystkim, była zazdrosna o każdą jego myśl, każde spojrzenie, nawet o jego sztukę! A teraz jego oczy spoglądały na nią, wyzierały z twarzy tej dziewczyny! Te oczy artysty, brązowe o złocistych błyskach, które ongiś stanowiły najwyższe jej szczęście i które potem, pełne gniewu i smutku, odwróciły się od niej - na zawsze!

Więc on już nie żyje, umarł dwa lata temu, jak powiedziała jego córka. A ona nic o tym nie wiedziała, nie przeczuwała tego nawet. Wykreślił ją ze swego życia, a potem nie doszła do niej nawet wiadomość o jego zgonie.

Czyż serce jej nie powinno było przestać bić w tej chwili, kiedy on wydawał ostatnie tchnienie? Miłość Klaudyny była tak potężna, tak mocna, iż nie potrafiła zrozumieć, dlaczego żaden wewnętrzny głos nie oznajmił jej śmierci ukochanego.

Rozstali się, to prawda! Rozstali się dwadzieścia pięć lat temu!

- Henryku! Czy wiesz już teraz, ile wycierpiałam z twego powodu? - jęknęła Klaudyna, a w głosie jej brzmiała okrutna męka.

Doprowadziła go do rozpaczycy swoją bezgraniczną miłością. Doprowadziła go do tego, że wolał odejść od niej, pójść na nędzę i poniewierkę, niż dalej żyć u jej boku w zbytku i przepychu. A teraz umarł - umarł w ubóstwie - on, któremu rada była nieba przychylić, gdyby tylko nie chodziło o przełamanie jej nieokiełznanej dumy.

Henryk Lossen przybył do domu jej ojca, aby malować freski na suficie klatki schodowej. Był wówczas ubogim, nieznanym artystą. Ujrzała go wtedy i pokochała od pierwszego wejrzenia. Urzekły ją jego słoneczne,

cudne oczy! Dotychczas mogła mieć wszystko, czego zapragnęła! Toteż zdobyła przemocą mężczyznę, którego tak gorąco umiłowała!

Henryk Lossen wiedział, że dzieli ich przepaść, ponieważ on był biednym chłopcem, ona zaś bogatą dziedziczką. Pragnął odejść zapomnieć o niej. Klaudyna jednak знаła go na wskroś i nie dopuściła do tego. Wyznała mu swoje uczucie, zmusiła go, by wyrzekł rozstrzygające słowo.

Nie potrafiła zapomnieć o tym. Gdy minął pierwszy szal, duma jej i miłość boleśnie cierpiały z tego powodu.

Bywały godziny, gdy dręczyła ją myśl, że ożenił się z nią tylko dla pieniędzy i z litości. Była tylko wtedy szczęśliwa, kiedy miała go przy sobie, gdy mogła wciąż spoglądać w jego błyszczące oczy w których malowała się bezgraniczna miłość. Gdy wchodził do swej pracowni, aby malować, biegła za nim i dopóty nie dawała mu spokoju, dopóki nie rzucił pędzla i nie wyciągnął do niej ramion. A gdy ją prosił, aby pozwoliła mu spokojnie pracować, wpadała w szalony gniew. Wtedy spoglądał na nią przerażonymi oczami i smutny, cichy, zamykał się u siebie. Potem któregoś dnia, w porywie złości, rzuciła mu słowa, że ożenił się z nią tylko dlatego, iż była posażną panną.

Wtedy zbladł okropnie i odwrócił się od niej. Pełna skruchy, rzuciła się w jego ramiona, błagając o przebaczenie. Nie potrafił się długo gniewać. Zapewniał ją o swojej miłości, prosząc, by nigdy nie odzywała się do niego w ten sposób. Przysięgła mu wszystko, czego żądał i znowu była szczęśliwą w jego objęciach. Potem jednak jakaś drobnostka wzbudziła w niej podejrzenie. Rozegrała się nowa scena, po której nastąpiły łzy i zgoda. Henryk Lossen cierpiał wskutek beczynności, na którą go skazała żona, cierpiał również z powodu wiecznych podejrzeń i zarzutów.

Tak mijały miesiące, podczas których następowały na przemian okresy bezgranicznego szczęścia lub rozpacz. Dumne serce Klaudyny cierpiało. Dręczyła ją świadomość, że rzuciła się swemu mężowi na szyję. O tę przeszkodę rozbiło się jej szczęście.

Pewnego dnia zaprosili do prześlicznej willi na wzgórzu grono przyjaciół i znajomych, wśród których znajdowała się również jakaś młoda i piękna Amerykanka. Henryk, jako artysta, kochał piękno toteż oczy jego spoczęły kilka razy z upodobaniem na twarzy młodej dziewczyny. Roz-

mawiał z nią z wielkim ożywieniem. Klaudyna omal nie postradała zmysłów z zazdrości. Za ledwie znalazła się sam na sam ze swoim mężem, urządziła mu gwałtowną scenę, przy czym w szalonym zdenerwowaniu cisnęła mu w twarz okropną obelgę:

- Łowca posagowy!

Porwał ją z dziką zawziętością za rękę, przy czym w oczach jego zalśniła pogródka.

- Kobieto, nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Nie wytrzymam dłużej takiego życia! Ciebie kocham, ciebie – nie twoje przeklęte pieniądze! Posłuchaj mnie, gdyż powtarzam ci to po raz ostatni: nie mogę nadal prowadzić takiego żywota! Gdybym cię nie kochał tak bardzo, nie pozwoliłbym, abys się ze mną w ten sposób obchodziła! To wszystko musi się raz skończyć! Znieważylaś mnie okropnie tym słowem. Staralem się zdobyć ciebie, a nie twój posag! Przysięgam ci na swój honor, że jeżeli raz jeszcze powtórzysz ten wyraz, to odejdę natychmiast i nie zobaczysz mnie nigdy! Dotrzymam mojej przysięgi, choćbym miał sam nędznie zginąć!

Klaudyna, pełna skruchy, padła mu z łkaniem w ramiona i błagała, aby jej przebaczył.

- Dręcę siebie i ciebie, bo cię szalenie kocham. Przebacz mi, zapomnij... Nigdy już nie powtórzę tego słowa...

Pod wpływem jej namiętych pieszczot, zapomniał o zniewadze. Gdy prosiła go miękko i łagodnie, gdy obsypywała go pocałunkami, nie potrafił się oprzeć jej urokowi. Zdawało się, że wywierała nań jakiś dziwny czar, któremu bez zastrzeżeń ulegał. Kochali się przy tym oboje tak bardzo, że z łatwością zapominali o minionych burzach. Znowu popłynęły spokojne, pogodne, szczęśliwe dni...

Klaudyna jednak rychło zapomniała o swojej obietnicy. Otumaniło ją z początku szczęście, potem ogarnęły nowe wątpliwości. Gdy małżonek nie dość często zapewniał ją o swojej miłości, gdy wchodził do pracowni, aby malować – w sercu jej rodziły się znowu podejrzenia.

I znowu przyszedł dzień, w którym wybuchnęła szaloną zazdrością. Znowu obsypała go gradem obelg. Podniósł ręce, usiłował zatrzymać na jej ustach okropne słowo. Opętana gniewem, nie zważała na nic. Znowu krzyknęła: „Łowca posagowy”!

Odwrócił się od niej, blady jak śmierć, i odszedł, aby nigdy już nie wrócić.

Patrzyła, jak odchodził, lecz nie pobiegła za nim. Wydawało jej się, że skamieniała. Czekala przez całą noc na jego powrót. Niespokojna, podniecona krążyła po całym domu. Nadaremnie! Dotrzymał swojej przysięgi, opuścił Klaudynę na wieki.

Nie chciała temu wierzyć. Strach przytłoczył jej duszę ołowianym brzemieniem, powalił ją z nóg. Wciąż jeszcze przypuszczała, że pragnie ją tylko ukarać, że jego nieobecność potrwa krótko. Łudziła się jednak. Henryk nie powrócił.

Trwała w uporze i zaciętości, nie mogąc mu wybaczyć, że potrafi zadawać jej tak okrutne katusze. Nie, on jej na pewno nie kochał, inaczej bowiem nie skazałby jej na długie dni udręki.

Ach, nie wiedziała o tym, ile go kosztował ten pozorny spokój! Nie wiedziała, jak straszliwie cierpiał przez to rozstanie, że opuścił ją jedynie dlatego, aby nie stracić szacunku dla samego siebie.

Klaudyna była pozornie chłodna i obojętna, w głębi duszy jednak pożerała ją okrutna tęsknota za małżonkiem. Wyobrażała sobie, jak się zachowa, gdy Henryk powróci, jak go przyjmie. Wszystko, wszystko chciała dla niego uczynić, byleby nareszcie zjawił się u niej.

Lecz Henryk Lossen nie złamał przysięgi, chociaż niewymownie cierpiał z tego powodu. Jego adwokat podał jej w jakiś czas później miejsce pobytu męża.

Zdawało się Klaudynie, że Henryk pragnie w ten sposób nawiązać z nią stosunki. Zbudził się w niej promyk nadziei, a jednocześnie odżył dawny upór. Jej duma buntowała się. Nie chciała go prosić, aby do niej powrócił.

- Nie rzucę mu się po raz wtóry na szyję jak wtedy, gdy zostałam jego narzeczoną - myślała. Gdy przypominała sobie tę chwilę, blada jej twarz oblewała się purpurą. Powiedziała mu wówczas te słowa:

- Będę bardzo, bardzo nieszczęśliwa, gdy pan stąd wyjedzie...

Trwała w swoim uporze, choć całym sercem pragnęła powrotu Henryka. Zdawało się jej, że Henryka skusi jej majątek, że przyjedzie wkrótce znecony blaskiem złota.

Pieniądz jednak nie miał dla tego człowieka najmniejszego znaczenia.

Wreszcie Klaudyna uciekła się do ostatniego środka. Zażądała rozwodu. Sądziła, że Henryk widząc, iż zanosi się na poważne rozstanie, ulęknie się ostateczności.

On jednak przystał na rozwód.

Klaudyna nie przeczuwała, jak wiele go ten krok kosztował. Nie wiedziała, jaką ponosił ofiarę, aby ocalić resztki swojej dumy.

Rozłączyli się i każde z nich żyło oddzielnie, pożerane palącą tęsknotą. Małżeństwo zostało rozwiązane – małżeństwo dwojga ludzi, którzy się bezgranicznie kochali, lecz nie potrafili się nawzajem zrozumieć.

Klaudyna nie wiedziała, że natychmiast po rozwodzie, Henryk Lossen ciężko zachorował. Gdy wyzdrowiał, ożenił się po raz wtóry ze swoją przyjaciółką z lat dziecińczych, która go już od dawna kochała i była szczęśliwa, że mogła dzielić jego skromną egzystencję.

O powtórnym małżeństwie Henryka Klaudyna dowiedziała się przypadkiem. Wtedy zgasł w jej sercu ostatni promyk nadziei. Ten cios zupełnie ją powalił. Gdy ocknęła się po długiej chorobie, przestała używać nazwiska Henryka i stała się chłodną, obojętną, zgorzkniałą Klaudyna Steinbrecht.

Nie domyślała się, że Henryk tylko dlatego wstąpił powtórnie w związki małżeńskie, ażeby obronić się przed własną słabością. Wciąż jeszcze kochał dumną, porywczą Klaudynę i obawiał się, żeby go nie zmogła tęsknota za nią. Poślubił skromną, cichą dziewczynę, którą uważał bardziej za przyjaciółkę, niż za kochankę i żonę.

Ojciec Klaudyny, który ubóstwiał jedynaczkę pozostawił córce zupełną swobodę działania. Spodziewał się, że czas zablizni wszystkie rany i że jego córka wyjdzie powtórnie za mąż i znajdzie przy boku innego mężczyzny ciche szczęście rodzinne.

Ona jednak miała w piersi kamień zamiast serca i chociaż niejeden starał się o rękę pięknej i bogatej kobiety, pozostała niezamężna.

Bogactwo i zbytek nie dały jej szczęścia. Podczas bezsennych nocy jej myśli krążyły wciąż koło tego jedyne, ukochanego, któremu oddała swoje dumne serce.

Pograżała się we wspomnieniach owych dni, gdy była tak bezbrzeżnie szczęśliwa. Teraz, gdy utraciła bezpowrotnie szczęście, w sercu jej zbudziła się skrucha. Starła się zasięgać o nim wiadomości, lecz otrzymane informacje były nader skąpe. Wiedziała jedynie, że żyje ze swoją drugą żoną w bardzo skromnych warunkach. Malował dużo, lecz rzadko udawało mu się sprzedać jakiś obraz. Całe jego życie stało się ciężką, uporczywą walką o chleb powszedni.

Wtedy Klaudyna powzięła pewne postanowienie, które napełniało ją cichym, potajemnym uczuciem triumfu. Chciała bez wiedzy Henryka brać udział w jego życiu. Nawiązała korespondencję z kupcem, u którego Henryk wystawiał swoje obrazy na sprzedaż. Teraz przybywały w pewnych odstępach czasu wielkie skrzynie z obrazami. Klaudyna wysyłała wciąż znaczne sumy za pejzaże męża.

A Henryk Lossen cieszył się, że znajduje nabywców na swoje obrazy i otrzymuje wysokie honoraria. Gdy pytał, kto kupuje obrazy, otrzymywał stale odpowiedź, że jego dzieła zostały sprzedane do Ameryki.

Obrazy te zostały zawieszono w willi „Klaudyna”, w pokoju, gdzie niegdyś mieściła się pracownia Henryka. A malarz radował się, że Amerykanie tak dobrze płacą za obrazy, że wciąż podwyższają ceny. Mógł teraz spokojnie żyć ze swoją rodziną, mógł kształcić starannie swoją jedyną córeczkę.

Teraz dopiero życie Klaudyny nabrało treści. Zaczęła odczuwać pewne zadowolenie. Z czasem uspokoiła się zupełnie, lecz nigdy więcej nie zaznała szczęścia.

Od kilku lat nie zawieszono ani jednego obrazu w pracowni willi „Klaudyna”. Klaudyna zwróciła się do innego sprzedawcy, otrzymała jednak odpowiedź, że nie ma już więcej obrazów pędzla tego malarza, o którego jej chodziło. Przypuszczała że ktoś ją uprzedził i zakupił dzieła Henryka. Ani przez chwilę nie pomyślała o tym, że ręka, która malowała te obrazy, dawno już zastygła pod chłodnym tchnieniem śmierci.

Teraz dopiero dowiedziała się o tym. W domu jej zjawiała się nagle ta obca dziewczyna, spojrzała na nią oczami swego ojca i zbudziła w sercu Klaudyny wszystkie uczucia i marzenia dawnych lat, wszystko co z takim wysiłkiem i męką pogrzebała na wieki.

Znowu zrodził się w duszy Klaudyny niewymowny ból. Rozmyślała nad swoim złamanym, zmarnowanym życiem. A jednocześnie zmartwychwstały wspomnienia tych dni, gdy była bezgranicznie szczęśliwa. Wspomnienia te zajaśniały nagle tak żywo, tak wyraźnie, że zgorzkniałej kobiecie wydało się, iż złoty odblask słońca rozgrzewa jej serce.

Zapagnęła odegnąć od siebie pamięć promiennej młodości, której światło raziło jej oczy, zmęczone i piekące od łez.

- Ona nie może pozostać, ona musi odejść. Nie potrafię znieść jej widoku - rzekła nagle półgłosem, budząc się jakby z długiego snu.

Siedziała nieruchoma, milcząca, wodząc wokoło tępym wzrokiem. Godziny mijały, a Klaudynę ogarniał coraz większy niepokój. I wreszcie zawładnęło nią pragnienie, żeby raz jeszcze spojrzeć w brązowozłote oczy Bryty Lossen i odnaleźć w nich ukochanego, którego utraciła z własnej winy.

IV

Bryta Lossen rozpakowała swoje walizki. Zapadał zmrok, a nikt jej dotąd jeszcze nie wezwał. Westchnęła cichutko i podeszła do okna. Przed nią roztaczał się wspaniały, milczący park. Naprzeciwko, na wysokim wzgórzu widać było poprzez drzewa dach willi. Dziewczyna spoglądała w tamtą stronę, nie wiedząc, jaką rolę w życiu jej ojca odegrał ten dom.

Ojciec wspominał wprawdzie, że zanim poznał jej matkę, był już raz żonaty, lecz nie opowiedział jej żadnych szczegółów. Raz tylko, na krótko przed śmiercią, ojciec rozmawiał z nią na ten temat. Rzekł wtedy do Bryty:

- Raz w życiu byłem niewypowiedzianie szczęśliwy, drogie dziecko. Wspomnienie tamtych dni pomogło mi znieść potem wszelkie przeciwności...

- Opowiedz mi coś o tym - prosiła.

- Nie, dziecinko - odparł ojciec - nie mogę o tym mówić. Jestem dziś starym, znękanym człowiekiem, brak mi słów... Po mojej śmierci jednak znajdziesz w szufladce biurka mały notatnik, który zawiera moje

wspomnienia. Pisałem go dla ukochanej kobiety, lecz ona nigdy się o tym nie dowie. Gdy będziesz czytała te notatki, musisz zapomnieć o tym, że ojciec twój jest złamanym, siwowłosym starcem. Kiedy pisałem ten pamiętnik, krew wartko krążyła w moim ciele, miałem ciemne włosy, byłem młody. Pomyśl o tym, a wówczas potrafisz mnie zrozumieć...

Po śmierci ojca Bryta znalazła pamiętnik i przeczytała go. Piszący zwracał się wciąż do jakiejś nieznanym. Oprócz namiętych tkliwych słów, wymieniał jedno tylko imię: „Dina”.

Dina! Dla Bryty było to tylko imię kobiety, która odegrała poważną rolę w przeszłości ojca. Sądziła, że owa Dina od dawna już nie żyje. Przecież ojciec znał ją wtedy, kiedy Bryty jeszcze nie było na świecie. A jednak ojciec musiał ją szalenie kochać, a miłość jego zgasła dopiero z ostatnim tchnieniem. Przecież jeszcze na łożu śmierci gładził pieszczotliwie ręce córki, wołając w malignie:

– Teraz mi dobrze, najdroższa Dino... Wiem, żeś kochała mnie zawsze, tak jak ja wiecznie kochałem tylko ciebie... Wiem o tym...

Były to jego ostatnie słowa. Bryta nie chciała ich zapomnieć i napisała je na końcu pamiętnika zmarłego, uważając, że stanowią one jakby ostatni akord tej przerwanej pieśni.

Bryta Lossen szybko dojrzała wśród trosk i cierpienia. Pojmowała wiele, co dla innych dziewcząt w jej wieku było niezrozumiałe. Jej szlachetny ojciec, który po śmierci drugiej żony sam zajmował się wychowaniem córki, wpoił w nią zasadę: „Wszystko zrozumieć – to wszystko przebaczyć”. Słowa te zapadły głęboko w serce Bryty. Dlatego też pomimo swej młodości była naturą poważną i zrównoważoną. Ta powaga sprawiała właśnie, że od Bryty bił jakiś nieprzeparty urok, którym bezwiednie zdobywała ludzkie serca.

Słońce zaszło, a z wszystkich kątów wypełzły szare cienie. Nagle otworzyły się drzwi, a na progu stała gospodyni, która oznajmiła samotnej dziewczynie, że pani Steinbrecht czeka na nią z kolacją.

Bryta westchnęła.

– Zdaje się, że moje zajęcie będzie polegało jedynie na tym, żeby asystować przy posiłkach pani Steinbrecht – rzekła z bladym uśmiechem.

Pani Stange nie odpowiedziała. Widziała, że jej chlebodawczyni zeszła do jadalni. Zauważyła przy tym, że oczy pani Klaudyny płonęły nienaturalnym blaskiem, że twarz jej była blada, a usta mocno zaciśnięte.

– Stange, niech panienka zejdzie na kolację – rozkazała krótko.

Pani Klaudyna postanowiła, że jeszcze tego wieczoru oznajmi panie Lossen, iż zwalnia ją z posady. Pragnęła osobiście zawiadomić ją o tym, a jednocześnie chciała po raz ostatni spojrzeć w jej brązowe, cudne oczy, którymi przywołała tak bolesne wspomnienia.

Gdy jednak młoda dziewczyna zasiadła naprzeciw niej przy stole, wpatrując się w nią niespokojnie swymi pięknymi oczami, twarde, bezlitosne słowa zamarły na ustach pani Steinbrecht.

Siedziała w milczeniu, zmuszając się do przełknięcia kilku kęsów. Wpatrywała się przy tym bezustannie, jakby pod wpływem jakiegoś wewnętrznego nakazu, w twarz swojej towarzyszki, starając się odnaleźć rysy zmarłego.

Bryta była bardzo podobna do ojca. Odziedziczyła po nim nie tylko oczy, ale i czoło, nos i usta. Nawet jej chód i ruchy przypominały Henryka. Odrzucała często głowę w tył w taki sam sposób, jak on. A gdy marszczyła czoło, tworzył się nad oczami maleńki trójkącik, który nadawał tej młodej twarzy dziwnie bolesny wyraz. Och, jakże często widywała pani Klaudyna taki trójkącik na czole męża, jak często całowała go. Gdy zniknął z czoła Henryka, świadczyło to, że ukochany znowu jej przebaczył.

Gdy pani Klaudyna po raz pierwszy ujrzała ten znak na twarzy Bryty, jej serce się ścisnęło. Nie potrafiła w tej chwili powiedzieć młodej panie, aby opuściła jej dom.

Potoki światła padały z żyrandola, rozpalając metaliczne połyski w złotych włosach Bryty. Włosy musiała odziedziczyć po matce, gdyż ojciec był ciemnym szatynem. Pani Klaudyna rozmyślała o tym i zapytała nagle:

– Matka pani była zapewne blondynką?

Bryta drgnęła. Przed chwilą pomyślała właśnie: – O Boże, to milczenie jest okropne! Teraz odetchnęła.

– Tak, proszę pani. Matka moja była blondynką. Włosy jej były jeszcze jaśniejsze od moich.

- Czy dawno umarła?
- Miałam wówczas sześć lat. •
- A po jej śmierci mieszkała pani z ojcem?
- Tak, proszę pani.

Pani Klaudyna milczała przez chwilę, po czym szepnęła:

- Mam wrażenie, że słyszałam już kiedyś nazwisko ojca pani... A może widziałam je na jakimś obrazie...

Bryta podniosła oczy znad talerza.

- Bardzo możliwe, aczkolwiek wszystkie prawie obrazy mego ojca zostały sprzedane do Ameryki...

- Więc ojciec sprzedawał obrazy do Ameryki? Dlaczego? Bryta uśmiechnęła się.

- Memu ojcu z początku źle się wiodło. Nie mógł w kraju znaleźć nabywcy na swoje dzieła. Byliśmy wtedy w bardzo ciężkim położeniu. I nagle jakiś bogaty Amerykanin kupił pierwszy obraz. Odtąd wszystkie nabywano do Ameryki. Gdy tylko ojciec skończył malować jakiś krajobraz, natychmiast go sprzedawał. Robiło to po prostu wrażenie cudu...

- Ach, tak... Ojciec zapewne bardzo się z tego cieszył?

- Nie posiadał się z radości. Wszak było to jego jedyne źródło dochodu. Mógł wraz ze swoją rodziną prowadzić skromne, ale dostatnie życie.

- Skromne? Czyżby za obrazy źle płacono? Bryta westchnęła.

- Ojciec nie doceniał swego talentu. Uważał, że płacą mu zbyt wiele za jego dzieła. Cierpiał ogromnie z tego powodu. Mówił zawsze, że sztuce jego brakuje duszy. Nie wiem, czy tak było naprawdę, lecz możliwe, że ogromne rozczarowanie, jakiego doznał w życiu, sparaliżowało jego twórczość. Poza tym, ojciec zupełnie się nie znał na interesach. Wystarczyło mu, kiedy otrzymał pewną sumę za obraz i mógł przez jakiś czas żyć spokojnie, dopóki nie namalował nowego pejzażu...

Pani Klaudyna słuchała z zapartym tchem. Wiedziała, że to z jej winy talent Henryka nie mógł się należycie rozwinąć. I nagle nasunęło się jej podejrzenie, że młoda dziewczyna wie, w którym domu przebywa. A może umyślnie starała się o posadę u niej?

Gdy jednak spojrzała w promienne oczy dziewczęcia, podejrzenie to natychmiast pierzchnęło. W każdym razie pani Klaudyna postanowiła wy badać, czy Bryta o niej cokolwiek wie. Dlatego też zapytała:

- Czy ojciec pani nie ożenił się po raz drugi?
- O, nie! Daleki był od tego zamiaru.
- Zapewne bardzo kochał pani matkę?

Bryta zawahała się. Było jej przykro rozmawiać z obcą osobą o wzajemnym stosunku rodziców. Obawiała się jednak, że jeżeli odmówi odpowiedzi na to pytanie, pani Klaudyna rozgniewa się na nią. Toteż odparła po chwili:

- Rodziców moich łączyły przyjacielskie stosunki. Znali się oboje z dzieciennych lat. Ojciec był już raz żonaty, zanim poślubił moją matkę, lecz to pierwsze małżeństwo skończyło się wielkim rozczarowaniem. Wspomnienie o nim zatruło mu życie.

Pani Klaudyna przymknęła oczy i oparła się mocniej o krzesło. Serce jej głośno, gwałtownie biło. Z trudnością panowała nad sobą. Pragnęła dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów, lecz obawiała się jednocześnie, że się zdradzi. Toteż na pozór obojętnie zagadnęła:

- Więc ojciec pani nie był szczęśliwy w pożyciu ze swoją pierwszą żoną?

- O, nie! Był bardzo szczęśliwy i kochał szalenie pierwszą żonę. Cierpiał ogromnie, gdy ją utracił i nie zapomniał o niej aż do śmierci.

Pani Klaudyna zacisnęła kurczowo ręce wokoło poręczy krzesła. Twarz jej śmiertelnie pobladła. Przymknęła oczy, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Wyglądała w tej chwili, jakby się nagle postarzała o wiele lat. Bryta, widząc tę nagłą zmianę, zapytała ze współczuciem:

- Czy pani się źle czuje? Czy nie mogłabym pani w jakiś sposób pomóc?

Pod wpływem tego ciepłego głosu, pani Klaudyna otworzyła powoli oczy. Ostatkiem sił opanowała wzruszenie, jakie nią zawładnęło i odparła szorstko:

- Niech pani na to nie zważa. To przejdzie. Nie lubię, gdy ktoś zwraca uwagę na moją, przemijającą szybko, słabość. Mówmy o czym innym, to

mnie rozerwie. Zdaje się, że rozmawialiśmy przed chwilą o pierwszej żonie ojca pani. Skąd pani wie, że nie mógł jej zapomnieć?

Bryta doznała uczucia przykrości. Było jej nieprzyjemnie, że musiała mówić o swoich najpoufniejszych sprawach rodzinnych, lecz nie wiedziała, jak skierować rozmowę na inne tory.

- Ojciec mój zostawił pamiętnik - odparła.

Pani Klaudyna zadrżała. Pochłaniała ją w tej chwili jedna tylko myśl:

- Oddałabym chętnie cały mój majątek, żeby otrzymać ten pamiętnik...

Siląc się na spokój, rzekła:

- Więc ojciec pani dwukrotnie owdowiał?

- Nie proszę pani. Dawniej sądziłam, że jego pierwsza żona umarła, potem jednak dowiedziałam się, że mój ojciec rozwiódł się z nią.

- Rozwiódł się... Ach, tak... Więc się rozwiódł? - powtórzyła jak automat, pani Klaudyna, po czym dodała, patrząc badawczo na Brytę:

- Więc ta kobieta żyje?

- Tego nie wiem - odparła spokojnie młoda dziewczyna.

- Nie wie pani? Więc nie zawiadomiła jej pani o śmierci ojca?

- Nie mogłam tego uczynić, gdyż nie znam jej adresu, ani nazwiska.

Może wyszła powtórnie za mąż, może już nie żyje. To przecież takie dawne dzieje...

- Więc w pamiętniku ojca nie ma o tym najmniejszej wzmianki? Wszak pani posiada zapewne ten pamiętnik?

- Posiadam i przeczytałam go dokładnie, zgodnie z wolą mego ojca. Nie znalazłam jednak w tych zapiskach żadnych szczegółów, dotyczących jej osoby.

- Ale chyba wymienione jest jej panięńskie nazwisko i miasto, w którym mieszkała? - spytała z napięciem pani Klaudyna.

Bryta spojrzała na nią, niemile dotknięta takim brakiem dyskrecji. W duchu pomyślała sobie:

- Tej milionerce wydaje się, że może sobie na wszystko pozwolić. Ciekawa jestem, jakby się zapatrywała na to, gdybym ja w podobnie niedelikatny sposób zaczęła ją wypytywać o jej sprawy rodzinne...

Na twarzy młodej panny ukazał się wyraz niezadowolenia. Mimo woli zmarszczyła czoło, a między brwiami zarysował się maleńki trójkącik.

- Nie znalazłam tam jej nazwiska ani żadnych innych szczegółów. Ojciec mój pisał swój pamiętnik w formie listów i zwracał się do tej osoby po imieniu. Nie jest to nawet pełne imię, lecz skrót, który się często powtarza w nagłówkach...

Pani Klaudyna zacisnęła ręce.

- Jakie to imię? - wyrwało się jej niebaczne zapytanie.

Wtedy Bryta zerwała się gwałtownie z miejsca a mały trójkącik zarysował się głęboko między brwiami. Oburzyła ją do głębi ta stara, niedyskretna kobieta.

- Przepraszam panią - rzekła porywczo - ale nie mogę rozmawiać o tym z osobą obcą. Ojciec mój wydał ostatnie tchnienie z tym imieniem na ustach. Kochał do ostatka swoją pierwszą żonę. Mam wrażenie, że mówiąc o niej, popełniam świętokradztwo. Toteż proszę panią bardzo, żebyśmy przeszły na inny temat...

Bryta umilkła. Wypowiedziała wszystko w bardzo ostrym tonie, a teraz przeraziła się własnej popędliwości.

Pani Klaudyna nagle podniosła się z miejsca. Najchętniej byłaby podbiegła do młodej dziewczyny i ucałowała jej usta i maleńki trójkącik na czole. Ach, to dziecko ofiarowało jej przecież iście królewski dar! Uzyskała pewność, że Henryk kochał ją aż do ostatniego tchnienia. Duszę jej przepęłniało ogromne, bolesne szczęście! Sercem jej miotała istna burza uczuć. Nie chciała ich zdradzić, nie chciała się przyznać do tego, toteż nie mówiąc ani słowa, odwróciła się szybko i wyszła z pokoju. Potrzeba jej było samotności. Pragnęła raz jeszcze przeżyć to wzruszenie, jakiego doznała przed chwilą.

Bryta spoglądała przerażona na drzwi, za którymi znikła jej chlebowdawczyni. Teraz dopiero uświadomiła sobie, że odpowiedziała pani Klaudynie bardzo niegrzecznie.

- Ha! - rzekła do siebie półgłosem. - Ładnego piwa nawarzyłam. Teraz będę musiała spakować manatki.

Robiła sobie wyrzuty, że nie wymieniła imienia pierwszej żony ojca. Dina! Mogło to być skrótem rozmaitych imion. Dlaczego nie chciała go

wymienić? Opowiedziała już tyle rozmaitych poufnych szczegółów z życia swego ojca, że mogła również odpowiedzieć na ostatnie pytanie pani Klaudyny.

Bryta była zupełnie bezradna. Co teraz począć? Czy powrócić do swego pokoju, i tam poczekać aż ją zawołają? A może pozostać w jadalni? Może zjawi się ktoś i powie jej, co uczynić?

Wolnym krokiem zbliżyła się do okna. Park tonał w blasku księżyca. Przed jej oczami roztaczał się piękny, cichy krajobraz. Ach, jakże przyjemnie musiało upływać życie w tym wspaniałym, wytwornie urządzo-
nym domu!

Do pokoju weszła nagle pani Stange. Bryta spojrzała na nią trwoźnie. Doznała w tej chwili uczucia ulgi, spoglądając w poczciwą, uśmiechniętą twarz staruszki.

- Panienka może iść do swego pokoju. Pani się położyła. Zdaje się, że naprawdę czuła się dziś niedobrze.

Bryta ciężko westchnęła.

- Więc jestem chyba zbyt uczuciwa - rzekła.

- Czemu panienka tak smutna? Przecież wszystko poszło jak najlepiej.

- Ach, wcale nie poszło dobrze. Zdaje się, że nie miałam szczęścia podobać się pani Steinbrecht. Była ze mnie bardzo niezadowolona...

Pani Stange odstawiła na kredens ogromną srebrną paterę, napełnioną owocami i zwróciła się ponownie do młodej dziewczyny.

- E, panienka sobie tylko wmawia takie rzeczy. Ja znam na wylot naszą panią. Rozmawiałam z nią przed chwilą i wiem doskonale, że tak nie jest, jak panienka myśli.

- Czy pani sądzi, że ona się na mnie nie gniewa? Niech mi pani powie prawdę. Odpowiedziałam jej bardzo porywczo i przypuszczam, że ją obraziłam.

Pani Stange energicznie potrząsnęła głową i spojrzała ze zdziwieniem na tę śliczną panienkę, która się jej tak bardzo podobała.

- E, to się panience tylko zdaje. Przecież pani powiedziała do mnie przed chwilą: „Postaraj się, Stange, żeby panience nie zbywało na niczym. Pragnę, żeby się u nas dobrze czuła”.

Bryta uścisnęła serdecznie rękę pani Stange.

- Naprawdę? Naprawdę tak powiedziała?

- Oczywiście że tak, skoro to powtarzam. A nasza pani nie rzuca słów na wiatr. Myślę, że panienka u nas zostanie.

- Ach, gdyby to była prawda! Jakżebym się cieszyła... To tak przykro wędrować wciąż z miejsca na miejsce.

- Tak, tak - potwierdziła poczciwa staruszka - to bardzo nieprzyjemnie. Ale nasza pani wcale nie jest taka zła, jak się wydaje. Panienka sama przekona się o tym. A teraz proszę iść spać? Jutro rano może się panienka przejść po parku, bo pani jada śniadanie dopiero o dziewiątej. Ale panienka może już o siódmej wypić u mnie filiżankę kawy. Dobranoc!

W sercu Bryty zabłysnął znowu promyk nadziei. Uśmiechnęła się nawet. Słowa pani Stange dodały jej otuchy. Prawie zupełnie uspokojona udała się do swego pokoju.

Nazajutrz słońce wtargnęło całą powodzią światła do pokoiku Bryty, musnęło jej złociste warkocze, a wreszcie zaczęło pieścić różową od snu twarzyczkę. Dziewczyna zbudziła się i spojrzała na zegarek. Okazało się, że jeżeli miała zamiar wypić kawę z panią Stange, to należało się pośpieszyć. Ubrała się szybko i zeszła na dół.

Gospodyni czekała na nią już w małym pokoiku, położonym obok kuchni. Po śniadaniu zaczęła znowu namawiać Brytę, aby wyszła do parku, lecz panienka nie chciała się na to zgodzić.

- Czy nie ma dla mnie żadnego zajęcia? Chciałabym zająć się jakąś robotą. Na mojej poprzedniej posadzie pracowałam od rana do wieczora. Taka poranna przechadzka wydaje mi się po prostu grzechem.

- Tutaj w domu nie ma dla panienki żadnego zajęcia. Mamy dosyć służby. U nas nikt się nie przepracuje. Potem, gdy nasza pani przyzwyczai się już do panienki, dostanie się panience dosyć roboty. A teraz proszę iść na spacer i obejrzeć park. A proszę powrócić punktualnie o dziewiątej!

Gdy Bryta wyszła, pani Stange długo jeszcze oglądała się za nią.

- Taka śliczna dziewczyna - myślała, pełna zachwyty - już by to był chyba koniec świata, gdyby się miała naszej pani nie podobać.

A tymczasem Bryta przechadzała się po pięknym, cienistym parku. Podziwiała wspaniałe buki i piękną kasztanową aleję, przepyszne trawniki i klomby.

Co chwila przystawała i wdychała z rozkoszą świeże, balsamiczne powietrze.

– Cudownie! Cudownie! – rzekła głośno i uroczyście. – Wspaniała posiadłość! Jakże bogatą musiała być jej właścicielka. Samo utrzymanie parku pochłaniało zapewne znaczne sumy.

Park położony był na pochyłości. Bryta z początku przechadzała się po dolinie, potem zaczęła się wspinać pod górę. Zatrzymywała się co chwila, wodząc wokoło zachwyconym wzrokiem. Im wyżej wstępowała, tym piękniejszą stawała się panorama. Wreszcie dziewczyna znalazła się na szczycie wzgórza, gdzie wznosił się mały pawilon. Z tego miejsca rozpościerał się malowniczy widok na całe miasto i dolinę.

– Jak tu pięknie, mój Boże, jak tu pięknie! – myślała Bryta.

Czyż nie warto znosić rozmaitych kaprysów nowej chlebodawczyni, żeby tylko móc pozostać tutaj? Młoda dziewczyna, ożywiona tym gorącym pragnieniem przyrzekła sobie solennie, że na przyszłość postara się lepiej panować nad sobą. Powzięła mocne postanowienie, że choćby pani Steinbrecht miała się okazać nieznośną, ona będzie cierpliwie spełniała każde jej życzenie. Bryta postanowiła również, że gdy pani Klaudyna wezwie ją do siebie, poprosi ją, aby jej wybaczyła wczorajsze niewłaściwe zachowanie. Ach, zapewne gniewała się na nią, choć pani Stange twierdziła, że z pewnością tak nie jest. Jakaż to miła i poczciwa staruszka z tej gospodyni. Okazała jej tyle serca. A przy tym już od dwudziestu lat przebywa w tym domu. Zapewne pani Steinbrecht nie musiała być w gruncie złą osobą, jeżeli służba trzymała się u niej tak długo...

Bryta nareszcie opuściła pawilon. Spacerowała długą aleją, wysadzaną lipami i dotarła w końcu do jakiegoś placyku. Wtedy ujrzała przed sobą willę „Klaudynę”. Prześliczny domek wznosił się, otoczony zewsząd zielenią. Wszystkie żaluzje były opuszczone.

Z ust Bryty zerwał się okrzyk zachwyty.

- Ach, jak tu pięknie! Istny zamek śpiącej królowny. Tak tu cicho i spokojnie. Mam wrażenie, że nikt nie mieszka w tym domu. Ciekawam, czy ta willa należy również do pani Steinbrecht?

Dziewczyna nie przeczuwała, że za tymi zamkniętymi oknami zostało ongiś pogrzebane szczęście jej ojca i Diny...

Spojrzała na zegarek i przekonała się, że czas już było wracać. Zaczęła powoli zstępować ze wzgórza, idąc wzdłuż sztachet, które odgradzały park od nowej ulicy Klaudiusza. Rzuciła okiem na ulicę i park miejski.

Gdy Bryta dotarła do stóp pagórka i zamierzała skręcić do alei kasztanowej, zobaczyła, że przez ulicę maszeruje kompania żołnierzy. Towarzyszył im pieszy porucznik oraz kapitan na koniu.

Bryta mimo woli przystanąła i wyjrzała za sztachety. Obydwaj oficerowie spostrzegli młodą dziewczynę i zaczęli się jej z zachwytem przyglądać.

Porucznik, piękny wysmukły chłopak, poglądził niedbałym ruchem wąsiki, po czym oczy jego spoczęły z uwagą na postaci młodej panny. Kapitan, wysoki rasowy mężczyzna o śniadej twarzy, również nie spuszczał z niej oczu.

Bryta odwróciła się szybko i znikła wśród gęstych drzew. Kapitan pochylił się z konia i zawołał do porucznika:

- Do pioruna, Frensen! Kto to jest ta złotowłosa piękność? Czy pani Steinbrecht ma gości?

Porucznik Frensen obrzucił raz jeszcze spojrzeniem znikającą postać dziewczęcą.

- Nic o tym nie wiem, kapitanie. Może to nowa panna do towarzysstwa? - odparł.

Kapitan uniósł się w strzemionach i począł z taką ciekawością zerkać przez sztachety, że kilku żołnierzy uśmiechnęło się porozumiewawczo do siebie. Oni również zauważyli śliczną dziewczynę.

- To niepodobna, poruczniku! Panna do towarzystwa nie może tak wyglądać.

Teodor Frensen wzruszył ramionami.

- Mój stryj opowiadał nam wczoraj wieczorem, że nowa towarzyszka to cud piękności.

- Nie udawaj, Frensen, że jest ci to obojętne! Przecież na pewno oceniłeś już okiem znawcy liczne wdzięki tej osóbkę. Przepyszna figura, a buzia – istny cukierek! I taki cud właśnie jest panną do towarzystwa! Jeżeli na domiar złego spotka ją ten sam los, co jej poprzedniczki, to nie zdążymy jej nawet porządnie obejrzeć.

Porucznik znowu wzruszył ramionami.

- Ha, może ta właśnie będzie miała więcej szczęścia. Pani Steinbrecht ma słabość do pięknych ludzi.

- Pewno mówisz z doświadczenia? Co? – zaśmiał się kapitan. – Jako najpiękniejszy porucznik w mieście, cieszysz się zapewne szczególną sympatią pani Klaudyny?

Frensen pogładził wąsiki.

- Kto wie? Pani Klaudyna jest osobą skrytą...

- Byłoby dobrze, gdyby zatrzymała tę śliczną dziewczynę. Człowiek mógłby przynajmniej popatrzeć na coś ładnego – powiedział kapitan.

Rozmowa przechodziła opornie na inne tory. Obydwaj myśleli bezustannie o tym, jak pięknie wyglądała smukła sylwetka nieznanym na tle ciemnej zieleni kasztanów.

A porucznik Frensen, bratanek notariusza Frensena, mimo pozornej obojętności, obmyślał już plany zdobycia młodej dziewczyny. Uśmiechał się przy tym zwycięsko. Mówiono przecież, że żadna kobieta nie potrafi mu się długo opierać, a to ogólne mniemanie nie było pozbawione podstaw.

V

Gdy Bryta, powracając z porannej przechadzki, zaczęła się zbliżać do domu, ogarnęło ją ponownie zwątpienie. Lękała się spotkania z panią Steinbrecht.

Zaledwie zdążyła przejrzeć się w lustrze i poprawić sukienkę, gdy zawołano ją do pani Klaudyny.

Śniadanie podano w tym samym pokoju, gdzie wczoraj piła herbatę. Pani Steinbrecht siedziała już przy stole. Twarz jej była blada i nosiła

wyraz cierpienia. Bryta musiała przyznać w duchu, że rysy pani Klaudyny bynajmniej nie świadczą o złym lub niskim charakterze.

Młoda dziewczyna zebrała się na odwagę i podchodząc do swej chlebobdawczynie, rzekła z gorącą prośbą:

– Przykro mi bardzo, że się wczoraj tak uniosłam. Proszę mi wybaczyć. Wspomnienie o moim ojcu, którego bardzo kochałam, wytrąciło mnie z równowagi. Nie mogłam dłużej mówić o tym, co stanowiło najwyższą świętość zmarłego. Błagam, niech pani mi wybaczy...

Ku wielkiemu zdumieniu i radości Bryty, pani Steinbrecht położyła jej rękę na ramieniu i rzekła łagodnie:

– Miała pani zupełną słuszność, drogie dziecko! Moje pytania wydawały się pani niedelikatne, to też miała pani prawo odmówić mi odpowiedzi.

Bryta, pełna wdzięczności, podniosła do ust rękę pani Klaudyny.

– Dziękuję pani bardzo, że się pani już na mnie nie gniewa.

Pani Klaudyna z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Nie miałam do tego powodu. Pani również zechce mi wybaczyć moje wczorajsze zachowanie. Czułam się bardzo źle, a przy tym znajdowałam się w smutnym nastroju. Nie mówmy już o tym...

Zasiadły obie do śniadania. W Brycie zbudziła się znowu cicha, radosna nadzieja.

– Pani Stange mówiła mi, że pani już była w parku? – spytała pani Steinbrecht.

– Tak, proszę pani. Pani Stange twierdziła, że nie ma dla mnie nic do roboty.

Pani Klaudyna przypatrywała się z upodobaniem świeżej, rumianej twarzyczce młodej dziewczyny.

– Czy przechadzka była przyjemna?

– Ach, było cudownie... Po prostu, jak w bajce – odparła Bryta z zapałem. Panienska nie mogła przy tym wyjść z podziwu nad zmianą, jaka od wczoraj zaszła w jej chlebobdawczynie. Nie pojmowała, jak mogła posądzać tę kobietę o niedyskrecję i brak taktu. Pani Steinbrecht gawędziła z nią swobodnie, poruszając najrozmaitsze tematy, a Bryta nabierała coraz większej otuchy.

Po śniadaniu młoda dziewczyna przez godzinę czytała na głos. Potem obie panie udały się na przechadzkę do parku. Tam pani Steinbrecht znowu skierowała rozmowę na osobę Bryty.

- Czy pani jest muzykalna? - spytała, gdy Bryta zachwycała się głośno śpiewem ptasząt.

- Tak, proszę pani. Gram dosyć biegle na fortepianie i przez pewien czas uczyłam się śpiewu.

- Zapewne posiada pani alt?

- Właściwie mezzosopran, cokolwiek ciemniej zabarwiony, jak się zwykł wyrażać mój profesor.

- Lubię bardzo miękkie, dźwięczne głosy kobiece. Wolę muzykę domową, niż wielkie koncerty, po których łatwo odczuwam zmęczenie. Może mi pani dziś wieczorem zagra i zaśpiewa?

- Bardzo chętnie, proszę pani.

Doszły obie do kasztanowej alei. Pani Steinbrecht spojrzała na zegarek.

- Trzeba wracać, bo zamówiłam na dwunastą doktora Frensena - rzekła.

Powracały obie w milczeniu. Pani Klaudyna szła, pełna zadumy, i zdawało się, że zapomniała zupełnie o obecności Bryty. Były to jednak tylko pozory. W rzeczywistości doznawała błogiego uczucia, gdy kroczyła przez park, wsparta na ramieniu młodej dziewczyny.

Kiedy znalazła się w przedsionku, rzekła:

- Teraz może pani odpocząć. Za godzinę, gdy skończę konferencję z doktorem Frensen, poproszę panią do siebie.

Tymi słowami pożegnała Brytę.

Fryderyk oznajmił, że doktor Frensen czeka już w gabinecie. Gdy pani Klaudyna tam weszła, stary prawnik podniósł się z miejsca.

- Dzień dobry, doktorze. Jest pan wzorem punktualności, a ja się znowu spóźniłam.

- O, nie. Przyszedłem kilka minut temu. Jakże się pani czuje? - spytał, patrząc badawczo w jej pobladłą twarz.

Wskazała mu krzesło i sama zajęła miejsce naprzeciw niego.

- Czuje się nieszczególnie, drogi doktorze. Miałam niedobłą noc. Nie mówmy jednak o tym. Chciałabym zadać panu pewne pytanie...

Doktor Frensen pochylił głowę. Pani Klaudyna obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem, po czym spytała szybko:

- Dlaczego nie wymienił mi pan nazwiska panny Lossen?

Doktor Frensen był przygotowany na to pytanie, toteż odparł spokojnie:

- Łatwo jest odpowiedzieć na to. Przede wszystkim nie chciała pani wiedzieć żadnych szczegółów, dotyczących tej młodej osoby, a po wtóre...

- Ale należało mi zwrócić uwagę na jej nazwisko - przerwała mu porywczo.

Stary prawnik nie bacząc na to, ciągnął z niezmaconym spokojem.

- A po wtóre usłyszałem to nazwisko dopiero wtedy, gdy przyjechała na miejsce. Całą korespondencję załatwiał mój pomocnik. Wszystkie oferty były numerowane, a ja wiedziałem tylko, że pani wybrała numer drugi. Gdy panna Lossen stawiała się u mnie, usłyszałem jak się nazywa. Nie przykładałem do tego jednak wielkiej wagi. Nazwisko to jest dość pospolite, a ponieważ pani od dawna go już nie używa, więc przypuszczałem, że ta drobna okoliczność nie może mieć żadnego znaczenia.

- Sądzi pan? - spytała pani Klaudyna, wymawiając te słowa ze szczególnym naciskiem.

Doktor Frensen spojrział na nią z powagą.

- Nie zamierza pani chyba zwolnić tej młodej osoby, tylko dlatego, że nosi to nazwisko? Byłoby mi bardzo przykro, gdyż mam wrażenie, że tym razem uczyniłem doskonały wybór. Małżonka moja jest zachwycona tą panią...

- Mnie również ona bardzo się podoba - oświadczyła pani Klaudyna krótko.

- O, to mnie bardzo cieszy. A nazwisko nie ma chyba nic do rzeczy. Pani Klaudyna mocno zacisnęła dłonie.

- Czy pan wie, kim jest Bryta Lossen? - spytała głosem drżącym ze wzruszenia.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Kim jest? - powtórzył, ogarnięty jakimś niejasnym przecuciem.

Pani Steinbrecht powstała z miejsca i zbliżyła się do niego.

– To jego córka... córka Henryka Lossena z drugiego małżeństwa – szepnęła niemal niedosłyszalnie.

Teraz i Frensen zerwał się z krzesła.

– Niepodobna! – zawołał przerażony.

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, patrząc sobie milcząco w oczy. Potem pani Klaudyna, wyczerpana, osunęła się na fotel.

Podniósł rękę, jakby składając przysięgę.

– Ależ droga pani, gdybym wiedział, nie byłbym za nic w świecie sprowadzał do pani domu tej młodej panienki.

Skinęła głową.

– Byłam o tym przekonana. Przypadek płata nam nieraz dziwne figle. A może to wcale nie był przypadek?

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Gdym wczoraj po raz pierwszy usłyszała nazwisko panny Lossen, przyszło mi na myśl, że może umyślnie zjawiała się u mnie?

– Wykluczone! – odparł stanowczo Frensen – ani w ogłoszeniu, ani w listach nie zostało wymienione pani nazwisko. Zawiadomiono jedynie, że jest wolna posada u samotnej osoby i że bliższe szczegóły kandydatka pozna na miejscu. Nazwisko pani usłyszała po raz pierwszy w moim mieszkaniu. Nie znała go zupełnie, a nawet po drodze zapytała mnie, czy brzmi ono „Steinbrecht” czy „Stembriick”, gdyż nie zwróciła na to uwagi.

Pani Klaudyna skinęła głową.

– Podejrzanie moje rychło pierzchnęło. Chciałam się jednak upewnić i dlatego wezwałam pana. Bo, krótko mówiąc, mam zamiar mimo wszystko zatrzymać u siebie tę młodą osobę.

Frensen spojrział na nią zdumiony.

– To znowu dowód pani wielkiej szlachetności – powiedział z podziwem.

Usta jej lekko drgnęły.

– Być może, iż pobudki, które mnie skłaniają do zatrzymania córki Henryka Lossena w moim domu i zapewnienia jej bytu...są raczej natury bardzo niskiej...

- Aha! Znamy się na tym! Te same „niskie pobudki” skłoniły panią zapewne w swoim czasie do kupna obrazów Henryka Lossena, za które płaciła pani wyższe ceny od wymienionych przez malarza.

- Kupowałam obrazy, bo mi się podobały. A płaciłam wyższe ceny, bo... Boże drogi, twórca sam nie doceniał wartości swoich dzieł. Nie chciałam go krzywdzić, korzystając z jego nieświadomości. Nie mówmy jednak o tym, gdyż temat ten wyprowadza mnie z równowagi. Od wczoraj nie mogę się uspokoić. Nie miałam pojęcia, kogo ślepe przeznaczenie przywiodło do mego domu. Chciałam się tylko przekonać, czy było to naprawdę dzieło przypadku, czy też wchodziło w grę jakieś wyrachowanie.

- Nie, nie... Panna Lossen z pewnością nic nie wiedziała...

- Jestem o tym przekonana. Dotychczas nie wie jeszcze, jakie stosunki łączyły mnie z jej ojcem. Powiedział jej tylko, że był już raz żonaty. Nie wiedziała o mnie nawet tyle, żeby mi przesłać zawiadomienie o jego śmierci...

- Więc Henryk Lossen nie żyje? - spytał zdumiony pan Frensen.

- Czy sądzi pan, że byłabym inaczej zatrzymała u siebie jego córkę? Nie, nie potrafiłabym zdobyć się na to... Skoro jednak umarł, nic nie stoi na przeszkodzie. Nie ma obawy, żeby się dowiedziała, kim jestem...

- Czy pragnie pani to przed nią zataić?

- Tak. Gdybym jej wyjawiała prawdę, czułaby się wobec mnie skrzępowana. Być może, iż kiedyś, w przyszłości powiem jej wszystko... Będzie to zależało od okoliczności... Proszę pana w każdym razie o zachowanie ścisłej dyskrecji. Niech pan uważa całą tę sprawę za tajemnicę zawodową. Prosiłabym również, aby pan nie wspominał o tym swoim najbliższym... Czy przyrzeka pan milczenie?

- Daję pani na to słowo honoru. Moi klienci powierzają mi najrozmaitsze tajemnice, toteż i w tym wypadku nie zdradzę się ani słowem. Może pani być pewna mojej dyskrecji.

- Dziękuję, drogi przyjacielu. A proszę mnie nie uważać za istotę bardziej kapryśną, niż nią jestem w rzeczywistości.

Frensen uśmiechnął się łagodnie.

- Nie ma obawy. Nie spotkałem dotąd kobiety, która by w swoich kapryсах miała tyle logiki co pani. A teraz wyznam szczerze, iż cieszy mnie ogromnie, że pani postanowiła zatrzymać pannę Lossen. Zarówno moja żona, jak też i ja zdążyliśmy ją serdecznie polubić.

Pani Klaudyna zadumała się, myśląc w tej chwili o cudnych oczach Bryty.

- Tak, to przemiłe stworzenie. Byłabym ją zatrzymała nawet w tym wypadku, gdyby nosiła inne nazwisko. Jeżeli pan ją spotka, to proszę jej nie mówić jeszcze o moich zamiarach. Chciałabym ją osobiście zawiadomić, że zamierzam ją zatrzymać.

Frensen skłonił się z uśmiechem i złożył pocałunek na ręce pani Klaudyny.

VI

Po odejściu Frensena pani Klaudyna stała przez chwilę na środku pokoju; na twarzy jej malował się dziwnie rzewny i rozmarzony wyraz, który dodawał jej wiele uroku. Wreszcie ocknęła się z zadumy i zadzwoniła.

Gdy Fryderyk wszedł do pokoju, wydała mu polecenie:

- Niech zajedzie powóz. Proszę powiedzieć panience, żeby zeszła. Wyjedziemy do miasta po sprawunki.

W kwadrans później Bryta siedziała naprzeciwko niej w powozie. Zatrzymywano się przed różnymi sklepami. Przy tej sposobności Bryta się przekonała, że wszędzie okazują pani Steinbrecht ogromny szacunek.

O godzinie drugiej panie powróciły do domu i spożyły razem obiad. Podczas obiadu pani Steinbrecht poprosiła Brytę, aby zaadresowała zaproszenia na bal, który miał się u niej odbyć za kilka tygodni. Pani Steinbrecht co roku wyprawiała pod koniec lipca taką uroczystość. Obecnie dobiegał końca czerwiec.

Pani Steinbrecht prowadziła dom otwarty. W lecie wyprawiała zawsze bal-piknik, który odbywał się w parku - zimą zaś kilka uroczystości w wielkim stylu. Zbierała się u niej cała śmietanka towarzyska.

Obecnie rozpoczęły się już przygotowania do pikniku. Dostawcy czynili również przygotowania do tej uroczystości, gdyż pani Steinbrecht zaopatrywała się we wszystko w ich sklepach. Ogrodnicy, cukiernicy, rzeźnicy i dostawcy win interesowali się ogromnie balem, dlatego też wiadano o nim w całym mieście.

Goście bywali często w domu pani Steinbrecht. Bawiono się u niej zawsze bardzo dobrze. Toteż oficerowie i młode dziewczęta marzyli o pikniku w parku.

Bryta zdziwiła się, widząc mnóstwo zaproszeń i kopert do zaadresowania. Pióro szybko ślizgało się po wytwornym, czerpanym papierze; podczas tego zatrudnienia, młoda dziewczyna rozmyślała:

- Ciekawe, czy też ja tu jeszcze będę za miesiąc, gdy odbędzie się ta uroczystość? Pewno do tej pory nie zostanę...

Pani Klaudyna spożyła podwieczorek w towarzystwie Bryty. Dziś była bardzo małomówna, lecz młodej dziewczynie wydawało się, że jej chlebodawczyni jest mniej chłodna i surowa niż poprzednio.

Po herbacie Bryta znowu głośno jej czytała, po czym obie panie udały się na spacer. Podczas przechadzki pani Klaudyna wciąż milczała, nie przypuszczając nawet, jak bardzo to milczenie ciąży jej młodej towarzysze.

Przy kolacji pani Steinbrecht rzekła wreszcie do Bryty:

- Chciałabym, żeby mi pani trochę zagrała.

Bryta odetchnęła z ulgą. Wszystko było lepsze od tego przytłaczającego milczenia.

- Bardzo chętnie, proszę pani - odparła.

Pani Klaudyna zwróciła się do Fryderyka, który sprzątał ze stołu:

- Zapalić światło w salonie!

Fryderyk oddalił się spieszenie, żeby spełnić to polecenie.

- Niech pani pozwoli - rzekła pani Steinbrecht, kładąc rękę na ramieniu młodej panny - zaprowadzę panią do sali muzycznej.

Sala ta znajdowała się obok hallu. Był to wysoki, przestronny pokój, mogący pomieścić znaczną liczbę słuchaczy. I tu porozstawiane były malownicze grupy mebli. Na środku stał wspaniały fortepian, obok niego zaś półka, zarzucona stosami nut. Troje drzwi prowadziło na szeroki

taras, wychodzący na park. Środkowe były w tej chwili otwarte, a do pokoju wpadało wonne powietrze z ogrodu.

Pani Klaudyna usiadła w fotelu, stojącym obok przepysznego kominka z białego marmuru.

Bryta natychmiast przysunęła jej podnózek, pytając troskliwie, czy pani Steinbrecht nie będzie za chłodno, jeżeli drzwi od tarasu zostaną otwarte. Pani Klaudyna zaprzeczyła, uśmiechając się życzliwie do młodej dziewczyny, która podeszła do półki z nutami.

– Co mam zagrać, proszę pani? – zagadnęła.

– Niech pani zagra któryś ze swoich ulubionych utworów – odparła pani Steinbrecht.

– Nie wiem, czy to się będzie pani podobało?

– To nie szkodzi. Rada bym poznać pani gust...

Bryta wybrała kilka zeszytów. Na wstępie odegrała prostą kołysankę Griega, przy czym ogarnęła ją ochota do grania. Fortepian miał wyjątkowo piękny ton. Dziewczyna wykonała później jeden z nokturnów Chopina. Gdy skończyła, odwróciła się w stronę swojej niemej słuchaczki, pytając ją wzrokiem, czy ma grać jeszcze. Pani Klaudyna skinęła potakująco głową.

Bryta poddała się bezwiednie urokowi otoczenia. Piękny pokój, uważna, milcząca słuchaczka, siedząca przy kominku, cichy stary park, zalany światłem księżycowym – wszystko to tworzyło nastrój, który skłaniał ją do odegrania jej ulubionego utworu.

Uderzyła w klawisze, a spod jej palców popłynęły dźwięki „Sonaty Księżycowej” Beethovena. Grała z ogromnym uczuciem i zrozumieniem. Uderzenie miała lekkie i subtelne, lecz nie pozbawione głębi.

Pani Steinbrecht słuchała z niekłamanym podziwem. Upajała się czarowną, pełną bezbrzeżnej tęsknoty melodią, która zdawała się płynąć do niej z zaświatów. Ciałem jej wstrząsnął dreszcz. Ojciec Bryty mistrzowsko grał na fortepianie, a „Sonata Księżycowa” była jednym z jego ulubionych utworów. Ach, ileż razy słyszała samotna kobieta te tony, które kładły się jak balsam na jej udreńczoną duszę! A teraz jego dziecko – to dziecko, które nie należało do niej – siedziało tu, obok niej przy fortepianie. Jakże czułaby się szczęśliwa, gdyby Bryta była jej córką.

Siedziała nieruchomo na fotelu, jakby pod wpływem jakiegoś zaklęcia. Oczy jej zwilgotniały... Myślała o zmarnowanym szczęściu, które utraciła z własnej winy. Posiadała je zaledwie przez dwa lata, aby je potem do końca życia oplakiwać. Jakże to się mogło stać, że pomiędzy nią a Henrykiem Lossenem wzniósł się wysoki mur, który rozdzielił ich na zawsze? Zdawało jej się w tej chwili, że ten okropny, niedostępny mur nareszcie runął... Ujrzała, jakby we śnie, postać ukochanego... Wyciągnął do niej rękę, uśmiechał się swymi brązowymi oczami o złotym odcieniu... Unosił się na skrzydłach czarownej pieśni, zbliżał się do Klaudyny... uśmiechał się wciąż, wskazując palcem na siedzącą przy fortepianie dziewczynę – na swoją córkę.

– Henryku, Henryku! Czy posłałeś mi swoje dziecko, aby mnie pocieszyło, aby osłodziło moją samotną starość? Czy przebaczyłeś mi nareszcie, mój ukochany, jedyny? Czy naprawdę kochałeś mnie przez długie, długie lata? Ach, czemu o tym nie wiedziałam, czemu nie przeczułam twojej miłości! O, Henryku, jakże jestem samotna i opuszczona! Oddaj mi twoją córkę, spraw, aby mnie pokochała... – rozmyślała Klaudyna w głębi zboląłego serca. Ogarnęło ją przy tym słodkie rozmarzenie, które zazwyczaj obce było tej surowej, dumnej kobiecie.

Przebrzmiały czarowne tony – znikło widzenie. Lecz Klaudyna wciąż jeszcze wodziła rozmarzonymi oczami po parku, tonącym w księżycowej poświacie.

Bryta opuściła ręce na klawisze. Do niej również cisnęły się wspomnienia... Jakże często, podczas ostatnich lat grywała ojcu „Sonatę Księżycową”...

Otrząsnęła się szybko ze wzruszenia i zapytała:

– Czy mam grać jeszcze, proszę pani?

Pani Klaudyna ocknęła się z marzeń. Spojrzała na Brytę, jakby nieprzytomna, po czym rzekła:

– Wspomniała pani, zdaje się, że pani również śpiewa?

– Tak, proszę pani, ale mam niezbyt wyszkolony głos. Uczyłam się krótko i dotąd śpiewałam jedynie dla mego ojca.

– Sądząc z pani mistrzowskiej gry, musi pani być bardzo muzykalna. Proszę mi zaśpiewać jakąś pieśń...

- Bardzo chętnie. Czy ma pani jakieś szczególne życzenie?
- Nie, nie... Niech pani zaśpiewa cokolwiek... może jakąś piosenkę, którą pani śpiewała... swemu ojcu...
- Pobiegnę tylko na górę i przyniosę moje nuty.
- Dobrze, niech pani idzie.

Bryta pośpiesznie wyszła, a po chwili powróciła z plikiem nut. Wyczuwała instynktownie, że muzyka trafia do serca jej chlebodawczyni, toteż nie chciała zatrzeć dobrego wrażenia, jakie poprzednio wywołała swoją grą. Z pewnym wahaniem zajęła ponownie miejsce przy instrumencie. Wzięła do ręki kartkę mocno pożółkłą i zużyta. Była to pieśń, którą musiała często, bardzo często śpiewać swemu ojcu. Po raz ostatni śpiewała mu ją w dniu jego zgonu. Ogarnęło ją uczucie, jakby ta piosenka miała jej przynieść szczęście.

Cichutko odegrała przygrywkę. W pokoju rozbrzmiał jej piękny głos, niewielki wprawdzie, lecz wyjątkowo miękki i słodki. Bryta śpiewała „Noc wiosenną” Schumanna.

Zaledwie odśpiewała pierwsze słowa, gdy pani Klaudyna zerwała się nagle z miejsca, wpijając w Brytę płonące spojrzenia.

Co to? Czyżby się dziś wszystko sprzysięgło, aby obudzić z kamiennego snu jej zastygłe w bólu serce? Czy cała przeszłość zmartwychwstała przed nią, aby pozbawić ją spokoju? Tę pieśń – tak tę pieśń właśnie, śpiewał jej Henryk Lossen tego wieczoru, gdy została jego narzeczoną. Jakaż niewysłowiona radość brzmiała w jego głosie, kiedy śpiewał:

*Popłynęły z niebios tony
Ona jest twoją, twoją jest...*

Łowiła chciwie każdą nutę melodii, piła każde słowo pieśni, która wstrząsnęła nią do głębi. Przed jej oczami powstawały z pomroki przeszłości godziny bezgranicznego szczęścia. Henryk musiał jej często śpiewać tę pieśń. Wszystkie radosne chwile narzeczeństwa, całe krótkie pożycie małżeńskie, stały pod znakiem tej piosenki.

Przebrzmiała druga strofa, a pani Klaudyna siedziała wciąż nieruchomo w fotelu. Po twarzy jej spływały rześiste łzy. Zdawało się, że ob-

mywają one cały ból, całą mękę z jej duszy. Od wielu, wielu lat Klaudyna już nie płakała.

Gdy Bryta odwróciła się, ujrzała panią Klaudynę, zalewającą się łzami. Przestraszyła się ogromnie, nie wiedząc o tym, że te dumne, ciemne oczy starej kobiety zapomniały już płakać i że łzy przyniosły jej ulgę. Wzruszyła ją do głębi ta boleść.

Zerwała się z miejsca, załamując ręce. Czuła się bezradna. Pragnęła w jakiś sposób pocieszyć panią Klaudynę, lecz nie potrafiła znaleźć słów. Pani Steinbrecht podniosła się z miejsca i postąpiła kilka kroków naprzód, wyciągając jakby po omacku ręce w kierunku drzwi, wychodzących do parku. Nagle zachwiała się. Bryta pośpieszyła jej z pomocą, wspierając ją ramieniem.

Prowadzona przez młodą dziewczynę, schodziła pani Klaudyna do parku, zalanego srebrzystym światłem księżyca. Doznawała uczucia rozkoszy, że ta piękna, młoda istota opiekowała się nią tak troskliwie jak córka. Ach, przecież nie były sobie obce, powinny były należeć do siebie! Wszakże i w oczach Bryty lśniły łzy, gdy wstawiała od fortepianu. Ta pieśń przypominała jej zapewne ojca. Serce obydwu kobiet łączyło wspomnienie o ukochanym zmarłym!

Pani Klaudyna przez chwilę jeszcze bezgłośnie płakała. Wreszcie odzyskała równowagę i ocierając łzy, zwróciła się do Bryty.

- Drogie dziecko, dziwi się pani zapewne starej, szalonej kobiecie? Lecz ta pieśń obudziła we mnie bolesne wspomnienia. Proszę się nie dziwić moim łzom...

- Nie dziwię się wcale, przykro mi tylko, że moim śpiewaniem przywołałam tak bolesne wspomnienia...

- O, proszę się tym nie przejmować. To takie błogie uczucie, gdy można się przekonać, że nie wszystko jeszcze zamarło w sercu. Dlaczego wybrała pani właśnie tę pieśń?

Bryta zarumieniła się. Wstydziła się przyznać do tego, czego się spodziewała, wybierając ten utwór. Toteż odparła tylko:

- Musiałam ją często śpiewać memu ojcu, więc miałam wrażenie, że potrafię ją odśpiewać lepiej niż inne.

- Czy ojciec pani lubił tę pieśń? - spytała bezdźwięcznie stara kobieta.

- Bardzo ją lubił. Po raz ostatni śpiewałam ją w dniu jego śmierci. Dowiedziałam się później z jego pamiętnika, że piosenka ta budziła w nim słodkie, choć bolesne wspomnienia. Śpiewając ją, widywałam nieraz oczy mego ojca zasnutę łzami.

Klaudyna Steinbrecht w skupieniu przysłuchiwała się jej słowom. Podniosła wilgotne od łez oczy ku niebu, na którym jasno płonęły gwiazdy. Wyznanie Bryty brzmiało w jej oczach jak niebiańska muzyka. Henryk nie zapomniał tej pieśni, słuchał jej ze łzami w oczach. Ach, czyż potrzeba było innego dowodu miłości? Czyż to nie świadczyło, że nie zapomniał jej nigdy? Ta świadomość napełniała jej serce radością, a jednocześnie odczuwała głuchy ból. Teraz dopiero poczęła sobie jasno zdawać sprawę, że zniszczyła nie tylko własne szczęście, lecz rozbiła także życie człowieka, którego nie przestała nigdy kochać. Otarła oczy.

- Ojciec pani był zapewne człowiekiem o niepospolitej głębi uczucia - rzekła, pragnąc jak najwięcej o nim usłyszeć.

- Tak - odpowiedziała Bryta z prostotą - na pozór był dumny, skryty i porywczy, lecz posiadał przy tym bardzo miękkie, tklive serce.

- Pewnie go pani bardzo kochała?

- Bezgranicznie. Był to wszak jedyny bliski człowiek, jakiego miałam, zwłaszcza, że tak wcześnie straciłam matkę - szepnęła Bryta wzruszona.

Dziś pytania pani Klaudyny nie wydawały jej się niedelikatne i niedyskretne. W głosie jej chlebodawczyni dźwięczała nuta szczerego współczucia.

- Musi mi pani więcej opowiedzieć o nim, w ogóle więcej szczegółów o swoich rodzicach. Nie kieruje mną prosta ciekawość, drogie dziecko. Losy niektórych ludzi dziwnie potrafią nam przemówić do serca. Interesują nas oni, choć nie znaliśmy ich wcale, wzbudzają w nas uczucie nagłej sympatii.

Serce Bryty mocno biło. Czyż z tych słów nie brzmiała zapowiedź, że wolno jej było pozostać u pani Steinbrecht? Pochyliła się szybko nad ręką pani Klaudyny i przycisnęła usta do jej dłoni.

- Och, dziękuję za te słowa, droga pani!

Po twarzy pani Klaudyny przemknął się rzewny uśmiech. Gdyby ta młoda dziewczyna wiedziała, jak wiele pani Klaudyna miała jej do zawdzięczenia!

Pogładziła delikatnie jej złote włosy, lśniące w blaskach księżyca.

– Prawda, drogie dziecko, że dziś nie wydają ci się już tak ciekawa i niedyskretna, jak wczoraj?

Bryta spłonęła nagłym rumieńcem.

– Och, proszę pani...

– Nie, proszę nie przeczyć. Nie potrafi pani grać komedii. Na tym młodym czole wyczytałam wczoraj bunt i oburzenie...

– Więc jestem pani tym bardziej wdzięczna, że się pani na mnie nie gniewa.

– O, nie! Miała pani zupełną słuszność. Podobało mi się, że pani, pomimo pragnienia, żeby się mnie spodobać, potrafiła tak bronić swojej świętości. Ale teraz chodźmy już do domu: Jestem bardzo znużona...

Tego wieczoru Bryta stała przez długi czas przy oknie, spoglądając na cichy, srebrny od promieni księżyca, uśpiony park. Myślała przy tym o pani Klaudynie.

– Jest taka bogata, posiada znaczny majątek, a jednak nie wygląda na szczęśliwą. Jakże ciężkie jest życie! Nie oszczędza nikomu cierpienia i bólu.

VII

Nazajutrz wypadła sobota. Był to dzień przyjęć pani Klaudyny. Dnia tego od godziny piątej po południu aż do wieczora przyjmowała gości, którzy ją tłumnie odwiedzali.

W sobotę rano podczas śniadania pani Klaudyna zapoznawała Brytę ze zwyczajami, panującymi w jej domu. Była dziś znowu spokojna, dumna i opanowana. Ta surowa, powściągliwa kobieta nie potrafiła się łatwo nagiąć; wstydziła się swego wczorajszego wybuchu tkliwości. Dziś nikt nie zdołałby zauważyć, że niedawno duszą jej miotła jakaś burza i że dzisiejszy spokój był tylko pozorny. Tylko Bryta, która rzuciła wczoraj

okiem w głąb tego dumnego serca, nie dała się zwieść maską chłodu i obojętności.

Powoli pani Klaudyna odtajała pod urokiem błagalnego spojrzenia cudnych oczu dziewczyny i wszczęła z nią rozmowę.

- Wśród moich gości spotka pani znajomych, panno Bryto - zagaiła.
- Znajomych? Ja? - spytała Bryta ze zdumieniem.
- Tak. Będzie u mnie doktor Frensen i jego małżonka.

Oczy Bryty zabłysły.

- Ach, to tacy dobrzy, mili ludzie.
- Więc pani tak prędko poznała się na tym?
- O, wyczułam to intuicyjnie.

Pani Klaudyna westchnęła.

- Oby intuicja nigdy pani nie zawiodła! Czy poznała pani również obu bratanków państwa Frensen?

- Nie, proszę pani.
- Zatem dziś wieczorem pozna ich pani.
- Doktor Frensen jest zapewne bezdziejny?
- Tak jest. Dlatego też usynowił swoich bratanków. Jeden z nich jest oficerem. Stracił ojca wskutek wypadku, a matka, nie mogąc przeboleć śmierci męża, ciężko zachorowała i umarła bardzo młodo. Drugi bratanek również wcześniej stracił rodziców. Jest synem lekarza, który zaraził się dyfterytem od swego pacjenta i zginął jako ofiara zawodu. Młodzieniec ten studiował chemię i otrzymał po uzyskaniu dyplomu posadę w jednym z fabrycznych laboratoriów w naszym mieście. Ciekawa jestem, czy intuicja pomoże pani w tym wypadku wydać trafny sąd o tych młodzieńcach?

- Och, młodzi ludzie nie mają zazwyczaj wyrobionego charakteru.
- Zobaczymy. Mam nadzieję, że zagra pani moim gościom.
- Z chęcią. Nie wiem tylko, czy potrafię ich zadowolić - rzekła Bryta, a w oczach jej malowało się trwożne pytanie.

Czy pani Klaudyna je zrozumiała? Czy też był to przypadek, że nagle zwróciła się do Bryty:

- Chciałabym się przy tej sposobności dowiedzieć, jak się przedstawia sprawa pani toalet, panno Bryto. Czy posiada pani ładną sukienkę

wieczorową? Nie chodzi mi o dzisiejszy wieczór. Dziś może pani włożyć jakąś prostą, jasną sukienkę. Ale na pikniku, który odbędzie się w końcu lipca, musi pani być elegancko ubrana.

Bryta oblała się purpurą.

- Mam tylko jedną strojnieszszą sukienkę z białej markizety, którą noszę podczas wszystkich uroczystości. U pani generałowej bywałam zajęta przez cały wieczór, gdyż albo zajmowałam się kolacją, albo też grywałam na fortepianie. Nie potrzebowałam wówczas żadnych strojów.

- Zamówię dla pani w najbliższej przyszłości suknię u Schellendorfa.

Bryta zmieszała się ogromnie. Myślała o swoich skromnych oszczędnościach. Nie wiedziała, czy wystarczą one na zapłacenie eleganckiej sukni, którą ta bogata kobieta postanowiła dla niej zamówić.

- Przepraszam panią bardzo - wyjąkała - ale ja nie wiem... czy... czy to nie będzie za drogi magazyn. Posiadam nader skromne zasoby... Jeżeli pani zwolni mnie z posady, a nie znajdę tak prędko innej, to... zostanę prawie bez środków...

Pani Klaudyna pojęła obawę Bryty i uśmiechnęła się do młodej panienki.

- Nie mam wcale zamiaru zwalniać pani z posady - oświadczyła życzliwie.

W oczach Bryty błysnęła taka radość, że pani Klaudyna nie mogła oderwać od nich wzroku. Taki sam wyraz miały oczy Henryka Lossena, kiedy się z czegoś cieszył.

Dziewczyna zerwała się z miejsca i przycisnęła do ust rękę pani Klaudyny.

- Czy to prawda? Czy to prawda, proszę pani? Ach, jakże jestem pani wdzięczna!

- Więc pani chętnie zostanie u mnie? - spytała wzruszona pani Steinbrecht.

- Ach, tak. Pomijając wszelkie względy materialne jest jeszcze coś innego, nieuchwytnego, czego nie potrafię wypowiedzieć. Pani jest taka dobra, okazała pani tyle zainteresowania moim najbliższym, których niestety straciłam zbyt wcześnie. Pani Feldheimowa również była do mnie

życzliwie usposobiona, ale pani okazała mi tyle prawdziwej dobroci i zrozumienia, chociaż...

- Chociaż wydawałam się pani początkowo nieznośną, gderliwą starą babą? – przerwała z uśmiechem pani Klaudyna.

Bryta spojrzała na nią przerażona. Miała zamiar powiedzieć: „Chociaż wydawała się pani z pozoru taka surowa i niedostępna”. Nie dokończyła tego zdania, uważając, że zawiera ono krytykę, która by mogła niemile dotknąć jej chlebowczynię.

- Och – wyjąkała – pani chyba nie przypuszcza, że miałam zamiar wypowiedzieć te słowa.

- Przypuszczam, że wyraziłaby się pani w mniej ostry sposób. Ale nie mówmy już o tym. W każdym razie bała się mnie pani odrobinę. Nie dziwię się temu wcale. Słyszała pani o tym, że trzy panny do towarzystwa uciekły ode mnie, nie mogąc ze mną wytrzymać. Moja poczciwa Stange i stary Frensen musieli panią porządnie nastraszyć – mówiła z lekką ironią pani Klaudyna.

- Powiedzieli mi jedynie, żebym się nie łudziła zbyt wielką nadzieją, ponieważ...

- ...ponieważ jestem nieznośną, starą kobietą, której nikt nie potrafi dogodzić. Mają zresztą słuszność... Ale jeżeli kogoś polubię, wówczas... Zresztą nie chcę obiecywać zbyt wiele. Jeżeli wydam się pani w przyszłości szorstka i niesprawiedliwa to pomyśl o tym, drogie dziecko, że jestem samotną, starą kobietą, często niezadowoloną z samej siebie. Postaram się, aby pani jak najmniej cierpiała wskutek mego nastroju, gdyż polubiłam panią i pragnę jak najdłużej zatrzymać ją przy sobie.

- Ach, taka jestem rada, taka szczęśliwa – szepnęła Bryta, uśmiechając się promiennie.

- To dobrze, drogie dziecko. Pragnę, żeby i pani polubiła mnie troszeczkę. Potrzeba mi trochę ciepła, gdyż jestem bardzo nieszczęśliwą kobietą i cierpię wskutek własnej winy. Majątek nie daje szczęścia. Pani jest zbyt młoda, żeby mnie zrozumieć. A teraz powróćmy do kwestii toalety. Naturalnie, że nie mogę narażać pani na takie wydatki, a ponieważ w moim domu musi mnie pani niejako reprezentować, więc ja poniosę wszelkie koszty. Pensja, którą pani pobiera, nie wystarczy na stroje, a ja

lubię, gdy moja towarzyszka jest ładnie ubrana, zwłaszcza gdy jest tak piękna jak pani. Niech się pani nie rumieni, bo to prawda. Przy sposobności sporządzimy zestawienie potrzebnych kapeluszy, sukien, rękawiczek i innych drobiazgów. W przyszłym tygodniu pojedziemy do Schellendorfa i zamówimy małą wyprawkę. Może to pani przyjąć z czystym sumieniem, gdyż postępowałam w ten sposób z moimi wszystkimi towarzyszkami.

Ostatnie te słowa były niezupełnie zgodne z prawdą. Pani Steinbrecht, z natury bardzo wspaniałomyślna, nieraz sprawiała ładne sukienki swoim pannom do towarzystwa. Dla Bryty jednak chciała od razu stworzyć wyjątkowe warunki.

Młoda dziewczyna siedziała pogrążona jakby w jakimś czarownym śnie. Twarz jej zarumieniała się, oczy lśniły radością. Wyglądała tak prześlicznie, że pani Klaudyna nie mogła oderwać od niej wzroku.

- Jakie to byłoby szczęście, gdybym posiadała taką córkę - myślała, wzdychając cichutko.

Bryta była zupełnie oszołomiona. Słowa pani Klaudyny upewniły ją, że warunki ofiarowane na tej posiadzie były znacznie lepsze, niż przypuszczała. Serce jej przepelniała wdzięczność. Gdy pomyślała o tym, że ma pewne, dobre stanowisko i dach nad głową, że pozbyła się nagle wszelkiej troski o byt, wydawało jej się to po prostu cudem. Postanowiła dołożyć wszelkich starań, żeby okazać wdzięczność swej chlebodawczyni.

- Och, proszę pani - rzekła głęboko wzruszona - gdybym potrafiła wyrazić, co czuję w tej chwili. Pragnę z całego serca odpłacić się za pani dobroć, lecz wiem, że potrafię jedynie okazać moją wdzięczność bezgranicznym przywiązaniem i szacunkiem. Innych skarbów nie posiadam...

Pani Klaudyna wodziła wokoło zadumanym wzrokiem. Pomyślała, że Bryta posiada pamiętnik swego ojca, który dla niej stanowił bezcenny skarb. Postanowiła go bezwzględnie zdobyć.

- Muszę go mieć, muszę - za wszelką cenę! - rzekła półgłosem.

- Nie rozumiem pani - szepnęła Bryta.

- Nie zważaj na mnie, drogie dziecko - bywam często roztargniona - odparła pani Klaudyna.

VIII

Około godziny piątej zaczęli się, jak zazwyczaj, schodzić pierwsi goście. Pani Klaudyna wyszła im naprzeciw. Nosiła czarną, krepdeszynową suknię, przybraną czarnymi koronkami, w której wyglądała niezmiernie wytwornie. Jej dumną twarz opromieniał dzisiaj łagodny uśmiech.

Goście przypatrywali się ciekawie smukłej, pięknej, złotowłosej dziewczynie o cudnych, pełnych wyrazu oczach.

Na życzenie swej chlebobawczyni Bryta włożyła swoją najlepszą sukienkę z białej markizety. Otulała ona w miękkie fałdy wysmukłą postać dziewczyny; przy szyi suknia była wycięta i odsłaniała skrawek mlecznego ciała. Bryta wyglądała w tym skromnym stroju tak wdzięcznie i uroczo, że zebrani nie mogli od niej oderwać wzroku.

Dziewczyna nie zauważyła, jakie wrażenie wywierała na obcych swoją wiośnianą urodą. Była szczęśliwa, że los jej rozstrzygnął się tak pomyślnie, że znalazła wreszcie dach nad głową i pozbyła się troski o byt. Teraz zależało jej jedynie na tym, żeby pod każdym względem zadowolić panią Klaudyne.

Pani Steinbrecht nie spuszczała z niej zachwyconych oczu. Odkrywała coraz większe podobieństwo Bryty do ojca. Miała ona głowę osadzoną na ramionach jak Henryk, przypominała go chodem, w ogóle każdym niemal ruchem. A poza tym posiadała jego brązowe, wyraziste oczy, odziedziczyła po nim maleńki, zabawny trójkącik między brwiami... Och, córka Henryka Lossena nie potrzebowała wcale lepszej rekomendacji, żeby pozyskać serce pani Klaudyny.

Doktor Frensen i jego małżonka przywitali się serdecznie z młodą dziewczyną. Reszta gości przypatrywała się jej ze zdumieniem. Więc ta elegancka, piękna osoba była panną do towarzystwa? A jak uprzejmie rozmawiali z nią państwo Frensen!

Bryta z ogromną radością zawiadomiła ich, że została przyjęta na stałe.

- Tak, dziecinko, mój mąż opowiadał mi już, że wszystko dobrze poszło. Bardzo się z tego cieszę. To przecież było zwycięstwo na całej linii - mówiła pani Frensen.

- Zwycięstwo, które w dużej mierze mam państwu do zawdzięczenia - odparła serdecznie Bryta.

- To się pani tylko wydaje. Jestem przekonana, że zawdzięcza je pani wyłącznie samej sobie.

W tej chwili podszedł do obu pań młody, piękny oficer.

- Kochana ciociu, bądź tak dobra i przedstaw mnie - rzekł, spoglądając z zachwytem na młodą dziewczynę.

Bryta natychmiast poznała porucznika, którego widziała przez sztachety, idącego na czele kompanii żołnierzy. W spojrzeniu jego, oprócz wyraźnego podziwu, malował się jeszcze inny wyraz, który wywołał rumieńce na policzkach dziewczyny.

Zauważył to drugi młodzieniec, który stał obok oficera i również w tej chwili podszedł do pań. On także spoglądał zachwycony na twarzyczkę Bryty, myśląc przy tym:

- Teo znowu zrobił wrażenie. Jakie to dziwne, że on się podoba wszystkim kobietom...

Tymczasem pani Frensen przedstawiła młodego oficera:

- Mój bratanek, porucznik Frensen... Panna Lossen, nowa towarzyszka pani Steinbrecht...

Teo Frensen skłonił się przed Brytą, po czym rzekł ze znaczącym uśmiechem:

- Miałem już raz przyjemność widzieć panią z daleka.

Brytę zirytował jego beczelnie poufały ton, toteż odparła chłodno.

- Nie przypominam sobie, panie poruczniku, żebym pana już gdziekolwiek widziała.

Teo zerknął badawczo na ciotkę, która odwróciła się do jakiejś starszej pani, po czym odparł z dwuznacznym uśmiechem:

- Oczy pani są bardziej prawdomówne niż usta. Zdradziły mi one, że poznała mnie pani od razu.

Bryta wytrzymała spokojnie jego spojrzenie choć rumieniec pokrył znowu jej policzki. Wiedziała o tym, że pewien rodzaj mężczyzn uważa

każdą bezbronną kobietę za zwierzyńcę. Ten porucznik najprawdopodobniej należał do tej kategorii.

- Nie mogę panu zabronić wypowiedzania podobnych przypuszczeń. A teraz przepraszam pana bardzo, lecz muszę odejść, zdaje mi się, że pani Steinbrecht mnie wołała...

Skinęła mu ozieble głową i miała zamiar się oddalić, gdy została zatrzymana przez panią Frensen.

- Jeszcze chwileczkę, panno Bryto. Oto mój drugi bratanek, który pragnie także poznać panią. Pani pozwoli... Doktor Herbert Frensen - panna Lossen...

Bryta chłodno podała mu rękę. Spostrzegła przy tym jego rasową twarz o ostrych rysach. Posiadał głęboko osadzone, pełne wyrazu, szare oczy. On również uśmiechał się, lecz uśmiech jego pozbawiony był arogancji, a na twarzy malował się wyraz lekkiej ironii.

Na ogół doktor Herbert Frensen nie lubił drwić ze swych bliźnich. Odznaczał się charakterem szlachetnym, uczciwym i prawym. Widząc jednak, jak najmądrzejsze i najładniejsze dziewczęta lgną do jego stryjecznego brata, śmiał się z nich w duchu. Wiedział, niestety, zbyt dobrze o tym, że Teo poza swoją figurą i twarzą o regularnych rysach nie posiada żadnych zalet.

Herbert nie był tak przystojny, jak Teodor, posiadał jednak znacznie większą wartość moralną, niż jego kuzyn. Podobał się mniej kobietom, gdyż był poważny, surowy i powściągliwy. Nie zależało mu na łatwych zwycięstwach. Mimo pozornego chłodu, zdolny był do uczuć głębokich i silnych, był przy tym wielkim idealistą.

Matki, posiadające córki na wydaniu, dawno już wciągnęły obu kuzynów na listę kandydatów do stanu małżeńskiego. Lecz Teo był motylkiem, który przelatywał z kwiatka na kwiatek, Herbert zaś nie napotkał dotąd dziewczyny, podobnej do jego ideału. Nie chciał zaś żenić się z rozsądku lub wyrachowania. Podobnie, jak jego brat stryjeczny, nie posiadał on majątku i do niedawna zależny był od stryja. Obecnie jednak otrzymał posadę w laboratorium pewnej wielkiej fabryki farb, gdzie pobierał pensję, która wystarczała w zupełności na skromne utrzymanie.

Spodziewał się, że wkrótce warunki jego się polepszą i że dostanie podwyżkę.

Podczas gdy Teo wciąż korzystał z łaski stryja – Herbert, otrzymawszy posadę, zrzekł się wszelkiej pomocy materialnej.

Pan Frensen i jego żona kochali obu bratanków, jak własne dzieci. Wyczuwali intuicyjnie, że Herbert jest człowiekiem bardziej wartościowym od Teodora, choć nie zdawali sobie sprawy z moralnej nicości młodego oficera. Wiedzieli jedynie, że jest lekkomyślny i rozrzutny, a choć był bardzo miłym chłopcem, nie można było polegać na nim tak, jak na solidnym Herbercie.

Pani Frensen rozglądała się skrycie za odpowiednią partią dla Teodora. Pragnęła, żeby poślubił jakąś posażną panienkę, która by nareszcie nauczyła go rozsądku. Państwo Frensen nie troszczyli się o los Herberta, wiedząc, że młody człowiek potrafi sobie dać radę w życiu. Stary prawnik jednak księgował dokładnie każdą sumę, którą dodatkowo otrzymywał Teo. Ponieważ obaj bratankowie mieli zostać w przyszłości spadkobiercami jego niewielkiego majątku, zależało mu na tym, żeby nie skrzywdzić Herberta. Stary prawnik pragnął sprawiedliwie przeprowadzić podział schedy.

Bryta zamieniła z Herbertem kilka słów, po czym pożegnała go i zbliżyła się do stolika, przy którym siedziała pani Klaudyna. Zapytała natychmiast, czy nie może być w czymkolwiek pomocna.

– Niech pani się nie trudzi – odrzekła z uśmiechem pani Klaudyna – mam dosyć służby w domu. Pragnę przede wszystkim, żeby pani poznała wszystkich moich gości. Pytano mnie już kilkakrotnie, kto to jest ta piękna panienska w białej sukni.

– Tak, ale ja chciałabym okazać się pożyteczna – zauważyła Bryta.

– Jeżeli pani chce mi sprawić przyjemność, to zagra pani potem na fortepianie. Oczywiście, że u mnie nie będzie pani grała do tańca. Pragnę jedynie, żeby moi goście posłuchali pięknej muzyki i śpiewu.

– Bardzo chętnie, proszę pani.

– Czy widziała już pani Frensenów?

– O, tak. Opowiedziałam im, że mnie pani przyjęła już na stałe.

Pani Klaudyna spoglądała na nią z uśmiechem. Dziwnie słodko wyglądała dziewczęca twarzyczka, na której malował się wyraz ogromnej radości.

– Czy poznała już pani bratanków państwa Frensen?

– Tak, pani doktorowa przedstawiła mi obu.

– A jakże wypadł pani sąd? – Bryta spojrzała na nią z powagą.

– O ludziach i książkach powinno się dopiero wtedy wygłaszać zdanie, gdy się je dokładnie poznało.

– Ho, ho! Co za powaga! A cóż powiada w tym wypadku pani intuicja?

– Czy mam być szczerą?

– Zupełnie szczerą.

– Dobrze, proszę pani. A więc jakiś głos wewnętrzny ostrzega mnie przed jednym z tych młodych ludzi, o drugim zaś nie zdążyłam sobie wyrobić sądu.

– Aha! A ten pierwszy młodzieniec nosi mundur? Wszak prawda?

– Tak, proszę pani.

– Brawo, moje dziecko! Nie omylił pani instynkt. Ja osobiście sto razy wolę Herberta. Teo posiada wiele zalet towarzyskich, lecz nie wszystko złoto, co się świeci. Nie bez powodu wspominam pani o tym.

Bryta pocałowała ją w rękę.

– Dziękuję pani. Zresztą nie zapomniałabym się nigdy do tego stopnia, a sądzę, że i porucznik Frensen potrafi uszanować moje stanowisko w pani domu.

– O, to jest człowiek, który zapomina o wszystkim, co jest dla niego niewygodne.

Bryta wyprostowała się dumnie.

– Nie dam mu do tego żadnej sposobności.

Pani Klaudyna zaprowadziła Brytę do grupy złożonej z kilku starszych pań i panów i przedstawiła ją jako swoją nową towarzyszkę.

Ze sposobu zachowania się pani Klaudyny, goście zorientowali się, że pragnie ona wyrobić pannie Lossen wyjątkowe stanowisko w swoim domu. Dlatego też wszyscy rozmawiali bardzo uprzejmie z młodą panną, tym bardziej, że zyskała sobie ona ogólną sympatię. Podziwiano jej piękną twarz i skromne, choć swobodne obejście.

Stopniowo Bryta zaznajomiła się z resztą gości. Między zaproszonymi znajdował się również kapitan Görger. Nie okazał się on jednak tak niedelikatnym jak Teo, i nie wspomniał o tym, że widział Brytę przez sztachety. Poznał ją jednak od razu, nie ukrywając, że zrobiła na nim niezwykle wrażenie.

Potem nastąpiły, jak zwykle, popisy muzyczne i wokalne. Kapitan Görger, który był bardzo muzykalny i posiadał piękny baryton, zasiadł przy fortepianie i odśpiewał kilka przebojów z nowej operetki. Po nim, jakiś starszy pan śpiewał „Pieśń do Gwiazdy”. Był to pan radca Habermann, któremu akompaniowała żona, chuda, blada blondynka o spiczastym nosie i złośliwej twarzy. Obrzucała słuchaczy bystrym spojrzeniem swoich małych, szarych oczek, sprawdzając, czy wszyscy słuchają z należytą uwagą.

Państwo ci nie cieszyli się zapewne wielką sympatią wśród znajomych, bo ledwie zbliżyli się do fortepianu, gdy jakiś młody porucznik szepnął z komiczną rozpaczą:

- Trzeba zatykać uszy! Haberman i „Habermania” będą znowu dręczyli nas „Pieśnią do Gwiazdy”...
- Uspokój się. Czy chcesz sprowadzić nam na kark „Habermanię”?
- Niechaj nas Bóg ma w swojej opiece! Czy któryś z was nie ma przy sobie kawałeczka waty? – szepnął Görger.
- Nie, ale może by doktor Streubel zachloroformował wszystkich słuchaczy. Podobno pod narkozą można wiele znieść...
- Świetna myśl! Dawajcie tu doktora...
- Doktor siedzi obok pani domu i mizdrzy się do pięknej towarzyszki. Najlepiej zrobimy, wpatrując się w tę uroczą buzię... To nam więcej pomoże, niż znieczulenie chloroformem...
- Posłuchajcie, chłopcy! Görger staje się poetyczny...
- Zmiłujcie się i przestańcie już gadać! „Habermania” zasztyletuje nas wzrokiem...
- Och, to przecież słodka śmierć – rzekł z komicznym patosem jakiś młody oficer.

Inni z trudnością opanowali wybuch śmiechu. Zgorszone spojrzenia „Habermanii” stłumiły w zarodku ich wesołość.

Gdy nareszcie przebrzmiała „Pieśń do Gwiazdy”, młodzi ludzie wynagrodzili wykonawcę hucznymi oklaskami.

Za to następny popis cieszył się większym powodzeniem, zwłaszcza u panów. Teo Frensen doprowadził do fortepianu młodą, niepospolitej urody kobietę. Była to żona fabrykanta Michelsa, który był co najmniej o dwadzieścia lat od niej starszy.

Pełna życia i temperamentu piękna pani Zuzanna lubiła bardzo, gdy jej nadskakiwano. Małżonek jej posiadał milionowy majątek, toteż mogła sobie pozwolić na kosztowne toalety, stanowiące oprawę dla jej urody. Siedząc przy fortepianie, gawędziła bezustannie z porucznikiem Frensenem, a kiedy się oddalił, rzuciła mu na pożegnanie płomienne spojrzenie, które wyrażało zarazem pogroźkę. Pani Zuzanna była bowiem zazdrosna i gniewało ją, że Teo za wiele uwagi zwraca na Brytę. Robiła mu już o to wyrzuty, on jednak starał się ją uspokoić.

– Nie chciałbym, żeby wszyscy wiedzieli o tym, do kogo należy moje serce, najdroższa, ubóstwiana pani Zuziu – szeptał, patrząc jej ognistocie w oczy.

Pani Zuzanna, na poły uspokojona, zaczęła z szaloną brawurą grać jedną z rapsodii Liszta. Z twarzy jej można było poznać, że jest kobietą pełną nieokiełznanego temperamentu.

Herbert Frensen stał przy otwartych drzwiach, które prowadziły z salonu na taras, wychodzący do parku. Podczas wykonywania „Pieśni do Gwiazdy” robił wrażenie, jakby chciał uciec na koniec świata. Teraz śledził z powagą swego kuzyna i piękną panią Michels. Nie podobała mu się jej gra, choć wykonanie było mistrzowskie. Nie lubił tego rodzaju muzyki ani też kobiet, które nie umiały panować nad sobą.

Podniósł nagle oczy i wzrok jego spotkał się ze spojrzeniem Bryty, która, siedząc obok pani Klaudyny, wpatrywała się z zainteresowaniem w poważną twarz młodzieńca. Zatonęli w sobie nawzajem oczami. Trwało to przez kilka chwil. Zdawało się, że nagle nawiązała się między młodą parą niewidzialna nić tajemnego porozumienia.

W źrenicach obydwójga zapłonęły iskry. Patrzyli na siebie, jakby badając się wzajemnie:

– Jakim ty jesteś? Jaką ty jesteś?

Ponieważ pośród gości nie było już nikogo, kto by mógł zagrać, przeto pani Klaudyna oświadczyła zebranym, że panna Lossen uprzyjemni im czas swoją grą i śpiewem.

Bryta zarumieniała się lekko, lecz powstała posłusznie z miejsca i zbliżyła się do fortepianu. Wszyscy śledzili wzrokiem urocze zjawisko.

„Habermania” szepnęła na ucho pani Zuzannie:

– Jak się pani zdaje, czy to naturalny kolor włosów?

Pani Michels niechętnie wzruszyła ramionami, gdyż ujrzała w tej chwili, że Teo Frensen poszedł za Brytą, proponując, że będzie jej przewracał nuty.

Bryta zmarszczyła czoło, a między brwiami zarysował się maleńki trójkącik. Byłaby najchętniej odmówiła porucznikowi, lecz przypomniała sobie, że jest on gościem pani Klaudyny i należą mu się pewne względy. Podziękowała mu więc niemym skinieniem głowy.

Herbert Frensen obserwował bacznie Brytę i dojrzał niechęć, malującą się na jej twarzy. To go zaskoczyło. Nieznacznie opuścił swoje miejsce i zbliżył się do fortepianu. Dziewczyna ta zaczęła go interesować, ponieważ umizgi Teodora przyjmowała z widocznym niezadowoleniem.

Czy sprawiały jej one naprawdę przykrość, czy też grała tylko komedię?

Przecież poprzednio, gdy Teo się z nią witał, zarumieniała się gwałtownie. Czemu teraz udawała chłodną i niedostępną?

Zagadnienie to pochłonęło go do tego stopnia, że usiadł w pobliżu fortepianu. Z tego miejsca mógł doskonale obserwować Brytę i swego kuzyna. Zauważył, że Teo, szukając nut, bezustannie szeptał coś młodej dziewczynie.

Herbert nie mógł dosłyszeć jego słów, lecz gotów się był założyć, że Teo prawi dziewczynie swoje zwykłe pochlebstwa. Stwierdził z przyjemnością, że Bryta zdawała się na to nie zwracać uwagi. W kilka chwil później fortepian „zaśpiewał” pod palcami dziewczyny. Herbert nie potrafił określić inaczej tej gry, pełnej głębokiego uczucia i wyrazu. Ogarnęło go dziwne rozmarzenie. Ten młodzieniec, poważny nad wiek, rzadko ulegał podobnie rzewnym nastrojom. Nie spuszczał oczu z twarzy Bryty. Jakie piękne miała rysy, jak cudnie wyglądała, gdy pochylała głowę, a długie

ciemne rzęsy rzucały cień na różowe policzki. Najpiękniejsze były jednak jej promienne, brązowe oczy o złocistym połysku. Uroda Bryty wydawała się Herbertowi jakby objawieniem. Jednocześnie doszedł do wniosku, że dziewczyna ta posiada nieprzeciętny charakter i że warto ją poznać bliżej.

Nie tylko Herbert znajdował się pod urokiem jej gry. Wszyscy zebrani słuchali jej z niekłamanym zachwytem. Była to muzyka płynąca z głębi serca, toteż przemawiała do ludzkich dusz.

Pani Klaudyna zauważyła z zadowoleniem, jakie wrażenie wywierała Bryta swoją grą. Zdawało jej się, że jakieś nierozzerwalne więzy łączą ją z tą dziewczyną. W przeciągu krótkiego czasu Bryta całkowicie zdobyła jej serce, zarówno dzięki temu, że była córką Henryka, jak też dzięki osobistym zaletom.

Gdy Bryta skończyła grać, podziękowano jej hucznymi oklaskami. Wszyscy wyrażali jej głośno podziw. Teo pochylił się nad nią, szepcząc poufale:

- Sam nie wiem, co bardziej podziwiać, czy mistrzowską grę, czy pani niezwykłą urodę. Wzrok i słuch walczą o to, czemu udzielić palmę pierwszeństwa. Co do mnie, to pałam szczerym zachwytem...

Bryta zmarszczyła gniewnie czoło. Twarz jej przybrała wyraz dumny i niedostępny.

- Nie przywiązuję żadnej wagi do pańskiego sądu, panie poruczniku! Proszę nie zapominać o tym, że zajmuję w tym domu płatną posadę i że jestem wobec pana bezbronna... Pan mnie obraża...

- Czemu tak ostro, proszę pani? Pragnąłem przecież tylko wyrazić moje uznanie dla tak nieporównanej gry...

- To co pan mówi, poruczniku, to mistyfikacja. Jestem bardzo muzykalna, toteż doskonale rozróżniam tony... - odparła stanowczo Bryta.

Nie zauważyli oboje, że zbliżył się do nich Herbert Frensen, który dosłyszał ostatnie słowa Bryty. Domyślił się z wyrazu jej twarzy, że zalecanki Teodora sprawiały jej przykrość. Sam nie wiedząc dlaczego, podniósł się z miejsca i zbliżył do fortepianu. Zazwyczaj nie zwracał na takie rzeczy uwagi, dziś jednak zachowanie kuzyna wzbudzało w nim dziwny niepokój.

- Teo, mam wrażenie, że nie potrafiłeś się wywiązać dobrze z twego zadania. Pozwoli pani, że zastąpię mego kuzyna i będę zamiast niego przewracał nuty – rzekł na pozór spokojnie.

Bryta odetchnęła z ulgą, odparła jednak prędko:

- Dziękuję, panie doktorze. Przywykłam radzić sobie sama.

Herbert skłonił się, ujął Teodora pod ramię i pociągnął go za sobą.

- Czyś oszalał? – zasyczał z wściekłością Teo.

Herbert jednak rzekł spokojnie.

- Odejdźmy stąd, Teo, panna Lossen nie potrzebuje naszej pomocy.

Teo uśmiechnął się bezczelnie.

- Może tylko ciebie nie potrzebuje.

- Ciebie również.

- Puść mnie w tej chwili. Nie mam wcale ochoty zmieniać miejsca – szepnął gniewnie Teo.

Herbert jednak ani myślał ustępować i trzymał ramię kuzyna, jakby w żelaznych kleszczach.

- Zastanów się nad tym, że utrudniasz ogromnie położenie tej młodej osoby. Zalecasz się do niej tak natarczywie, że zwraca to powszechną uwagę.

- Nie gadaj głupstw. Czy dlatego, że przewracałem jej nuty? Przecież ty sam miałeś również ten zamiar...

Herbert uśmiechnął się ironicznie.

- Czasami dwaj ludzie spełniają tę samą czynność, a mimo to każdy robi to inaczej. Moją osobą nie interesują się tak, jak twoją. Ostatni twój flircik, piękna pani Michels pożerała cię wzrokiem.

Teo spojrzał w kierunku pani Zuzi, która śledziła go płonącymi oczami. Na twarzy jej malował się gniew i zazdrość.

- Znudziła mi się już ta kobietka – oświadczył.

Zazwyczaj, kiedy pragnął się pozbyć jakiejś kobiety, potrafił być niezmiernie brutalny i bezwzględny.

Herbert puścił jego ramię i stanął przed Teodorem, który osunął się na fotel, stojący przed kominkiem.

Bryta zaczęła na ogólne życzenie grać inny utwór. Herbert rozkoszował się jej grą. Lubił ten rodzaj muzyki i wykonania.

Oprócz zazdrosnej pani Michels, która śledziła bezustannie młodego porucznika, jedna tylko pani Steinbrecht zauważyła małe zajście między Brytą i obydwoma kuzynami. Spoglądała z niekłamanym zadowoleniem na kwaśną minę Teodora. Znała go dobrze i była z góry przekonana, że będzie się starał uwieść Brytę. Dlatego też przestrzegła młodą dziewczynę.

Pani Klaudyna obserwowała także Herberta. Gdy Bryta zaczęła potem śpiewać, młodzieniec nie spuszczał z niej rozmarzonych oczu. To spostrzeżenie bardzo ją uradowało.

Gdy pieśń przebrzmiała i oklaski przycichły, wszyscy podnieśli się z miejsc i przeszli do jadalni, gdzie był bufet. Panowie zaopatrywali panie w przekąski, ciastka i napoje. Zajmowano miejsca przy małych stoliczkach. Pani Klaudyna przywołała Brytę do siebie. Siedziała ona w towarzystwie doktorowej Frensen i Herberta.

Przy sąsiednim stoliku zajęła miejsce pani Michels z mężem oraz państwo Habermann. „Habermania” zwróciła się do pani Zuzanny.

- Uważam, że pani domu obdarza zbyt wielkimi względami swoją nową towarzyszkę.

Pani Michels, która właśnie kokietowała z daleka Teodora, odparła skwapliwie:

- Tak, zgadzam się z panią w zupełności. A przy tym ta młoda osoba nie zachowuje się tak skromnie, jakby to wypadało na jej stanowisku.

- Czy ona się pani podoba? Słyszałam jak kilku młodych ludzi zachwycało się jej urodą...

- Rzecz gustu! Według mnie ma bardzo pospolitą twarz.

- Oczy ma jednak prześliczne - ośmielił się zauważyć pan Michels.

Jego małżonka rzuciła mu piorunujące spojrzenie, toteż natychmiast zamilkł. Wiadomo było wszystkim, że pan Michels jest pod pantoflem pięknej Zuzi.

- Doprawdy? Tak pan sądzi? - zapytała teraz pani Habermann, spoglądając jednocześnie na swego męża.

Pan Habermann pochłaniał w tej chwili porcję homara w majonezie, toteż mruknął tylko coś niezrozumiałego.

- Nie dosłyszałam, drogi Juliuszu - rzekła żona.

„Drogi Juliusz” przełknął wreszcie smakowity majonez, po czym oświadczył:

- Ta panienka jest niemuzykalna. Głos ma zupełnie niewyszkolony.
- To prawda, panie radco – potwierdziła z czarującym uśmiechem pani Zuzanna.

- Dziwię się, że pani Steinbrecht pozwoliła grać tej dyletantce po tak doskonałych wykonawcach – zauważyła „Habermania”, licząc na to, że pani Michels powie teraz kilka pochlebnych słów o „Pieśni do Gwiazdy”. Lecz pani Zuzanna nie skorzystała z okazji, gdyż zajęta była kokietowaniem porucznika Frensena.

Spotkała ją jednak zasłużona kara, gdyż pani Habermann zauważyła cierpko:

- Jakie to dziwne, że obaj młodzi Frensenowie poświęcają tyle uwagi tej pannie do towarzystwa. Jakby nie było już innych ładnych dziewcząt. Ale piękny Teo nie przepuszcza ani jednej średnio przystojnej buzi.

Pani Michels zrozumiała złośliwą aluzję i zarumieniła się z gniewu.

Z trudnością pohamowała wściekłość i spytała z wymuszonym uśmiechem:

- Czy pani doprawdy jest pewna, że porucznik Frensen zasługuje na miano Don Juana?

Pani Habermann podniosła oczy w górę, jakby wołając niebo na świadka:

- Och, proszę pani... Opowiadają sobie o nim skandaliczne historie... Nie, nie mogę tego powtórzyć... Powinna pani być lepiej poinformowana ode mnie, bo wszakże ten młodzieniec bywa u państwa.

- Cóż z tego? Posiada on wiele zalet towarzyskich, a mój mąż ogromnie lubi wesołych ludzi.

Bryta nie domyślała się nawet, że obie panie zajmują się jej osobą. Siedziała obok pani Klaudyny, biorąc żywy udział w ogólnej rozmowie. Teo zachowywał się zupełnie poprawnie i tylko niekiedy obrzucał ją ukradkiem płomiennym spojrzeniem. Herbert rozmawiał z Brytą niewiele. Młoda dziewczyna przypuszczała, że Herbert jest bardzo dumny i że mu jest przykro, iż kuzyn jego zbyt wiele uwagi poświęca „pannie do towarzystwa”.

Mimo to często zerkała ukradkiem na jego smagłą, rasową twarz. Wysokie czoło, pełne wyrazu oczy, stanowczy podbródek i ładnie wykrojone usta – składały się na sympatyczną całość.

Raz jeden tylko, zupełnie niespodziewanie, oczy Bryty spotkały się z szarymi oczami Herberta, które pod wpływem jej spojrzenia nagle zabłysły. Spostrzegłszy to dziewczyna zadrżała i od tej chwili nie patrzyła już w jego stronę. Serce jej głośno biło, gdyż po raz pierwszy w życiu doznała takiego wstrząsu pod palącym spojrzeniem męskich oczu. Opuściła długie rzęsy i odwróciła głowę. Miała wrażenie, że powinna się bronić przed jakąś potężną, nieznaną mocą, przed niewidzialnym niebezpieczeństwem.

Gdy tego wieczoru goście wreszcie się rozeszli, pani Klaudyna położyła rękę na ramieniu Bryty.

- Czy pani jest bardzo zmęczona, panno Bryto?
- Nie, proszę pani.
- Niech pani w takim razie zajdzie jeszcze na chwilę do mego pokoju. Pogawędzimy sobie. Nie mogę nigdy usnąć od razu, taki gwar i zgiełk ludzkich głosów działa mi na nerwy.

Weszły obie do buduaru pani Klaudyny, dokąd pani Stange przyniosła dla swojej pani szklanek lemoniady. Napój ten wpływał kojąco na nerwy pani Steinbrecht, toteż po każdym przyjęciu lub uroczystości piła na noc lemoniadę.

Na progu stanęła pokojówka, pytając, czy jaśnie pani pragnie się przebrać.

- Proszę na mnie zaczekać panno Bryto. Przebiorę się i powrócę za chwilę – rzekła pani Steinbrecht i przeszła z pokojówką do sypialni.

Pani Stange zapytała, czy Bryta również nie napiłaby się jakiegoś chłodnika. Dziewczyna jednak podziękowała gospodyni.

- Jakże się panienka bawiła? – pytała z uśmiechem pani Stange.
- Bardzo dobrze. Poznałam mnóstwo ludzi, niektórzy są bardzo sympatyczni. Pani się porządnie napracowała, a ja tymczasem trawiłam czas w słodkim lenistwie.

- Co też panienka mówi! Gdybym ja miała grać na fortepianie, śpiewać albo też pisać listy, to bym uważała za cięższą robotę, niż moje zwykłe zajęcie.

W tej chwili powróciła pani Klaudyna i rzekła z uśmiechem do klucznicy:

- No, idź już spać, Stange. Jutro musisz wstać bardzo wcześnie, należy ci się wypoczynek.

Po wyjściu pani Stange, pani Klaudyna, która przebrała się w wygodny szlafroczek, usiadła na fotelu naprzeciw Bryty.

Przez jakiś czas obie panie dzieliły się wrażeniami wieczoru, potem jednak pani Klaudyna skierowała rozmowę na stosunki rodzinne Bryty. Między innymi zapytała również, czy Bryta bardzo jest podobna do swej matki.

Młoda dziewczyna zdjęła z szyi mały, skromny medalionik na srebrnym łańcuszku.

- Po matce odziedziczyłam jedynie włosy, na ogół jednak jestem bardziej podobną do ojca. W tym medalionie są fotografie moich rodziców. Może pani sama zobaczy...

Pani Klaudyna sięgnęła drżącą ręką po otwarty medalionik. Z początku nie mogła nic rozróżnić, gdyż oczy jej przesłaniała jakby ciemna zasłona. Chcąc zyskać na czasie poprosiła Brytę, żeby jej przyniosła z sąsiedniego pokoju zapomnianą chusteczkę. Po wyjściu młodej dziewczyny zaczęła się uważnie przyglądać podobiznom jej rodziców.

Wzrok jej prześlizgnął się najpierw po drobnej łagodnej twarzy kobiecej o jasnych, pocziwych oczach, które stanowiły jedyną jej ozdobę. Pani Klaudyna odetchnęła z ulgą, po czym wlepiła spojrzenie w fotografię Henryka Lossena. Ciałem jej wstrząsnął dreszcz. Gdy Henryk Lossen ją opuścił, liczył wówczas trzydzieści trzy lata. Fotografia przedstawiała go jako pięćdziesięcioletniego mężczyznę. Zmienił się niewiele. Była to ta sama ukochana twarz, tylko o nieco odmiennym wyrazie. Oblicze to, łagodne i uduchowione, wyrażało cichą rezygnację. Z ciemnych, promiennych oczu nie tryskała jak dawniej, nieposkromiona radość życia. Spoglądały poważnie i ze smutkiem przed siebie. Były to oczy człowieka,

który się już niczego nie spodziewał, który miał już wszystko poza sobą, zarówno szczęście, jak i cierpienia.

Oczy pani Klaudyny zasnuły się łzami. Ręce jej drżały. Pomimo, że do pokoju weszła teraz Bryta, stara kobieta nie potrafiła zapanować nad wzruszeniem.

- Nie dziw się, drogie dziecko - rzekła do przerażonej dziewczyny - jestem ogromnie rozstrojona... Przeszłam w życiu bardzo wiele, toteż najmniejsza rzecz wyprowadza mnie z równowagi. Ta fotografia przypomina mi drogiego zmarłego...

- Ach, jak mi przykro - szepnęła Bryta. - Gdybym przypuszczała, że ten medalion zbudzi tak smutne wspomnienia, to...

- O, dziecko moje! Moich wspomnień nie trzeba budzić, gdyż nigdy nie zdołam zapomnieć przeszłości. Łzy przyniosły mi ulgę... Niech pani mi opowie jeszcze o swoich rodzicach. Na twarzy ojca pani wyryte są również dzieje, świadczące, że życie nie oszczędziło mu walk ani cierpienia...

- Tak, cierpiał on bardzo. Dowiedziałam się o tym dopiero, czytając jego pamiętnik.

- Wspominała pani o tym. Powinna pani często czytać te zapiski, a będzie pani miała wrażenie jakby ojciec wciąż jeszcze przebywał z panią.

- Te zapiski - to moja świętość!

- Ojciec pani był zapewne wielkim artystą?

- Tego nie wiem - w każdym razie ojciec mój miał bardzo skromne mniemanie o sobie, aczkolwiek obrazy jego cieszyły się w Ameryce dużym powodzeniem. Zdaje mi się, że w kraju został tylko jeden jedyny obrazek, który stanowi moją własność. Ojciec nie chciał się z nim rozstać. Mawiał, że ten pejzażyk posiada większą wartość, niż wszystko co namalował. Przy okazji pokażę pani. Ojciec powiedział mi kiedyś: „kiedy to malowałem posiadałem jeszcze duszę. Potem ukradli mi ją. Wszystko, co stworzyłem później, to tylko kicze”.

Pani Klaudyna otarła chusteczką rozpalone czoło.

- Co przedstawia ten obrazek? - zapytała.

- Jest to włoski pejzaż. Ojciec naszkicował go podczas poślubnej podróży ze swoją pierwszą żoną, a potem go wykończył. Zdaje mi się, że jego pierwsza żona była bardzo zamożna i żądała, żeby ojciec mój rzucił

sztukę. Biedak cierpiał ogromnie. Po rozwodzie przez dłuższy czas nie miał zupełnie natchnienia, a gdy potem zaczął tworzyć, nigdy nie był zadowolony ze swych dzieł. Muszę zresztą przyznać, że żaden z jego późniejszych obrazów nie był tak piękny jak ten mały pejzażyk, znajdujący się w moim posiadaniu. Powiedziałam mu kiedyś: „Wiesz, ojczy, obrazom twoim brak słońca. Tylko na tym małym pejzażu potrafiłeś je uchwycić i zatrzymać.” Wtedy pogłaskał mnie po głowie, mówiąc: „Masz słuszność, Bryto. Brakuje im słońca... Takie dni, skąpane w powodzi blasków słonecznych, przeżywa się raz w życiu... Nie powrócą one nigdy... Gdy otacza nas cień, nie potrafimy tworzyć dzieł, przepojonych słońcem...” W jakiś czas potem, kiedy ojciec przestał zupełnie malować, zwrócił się do niego pośrednik salonu sztuki, chcąc koniecznie nabyć ten pejzażyk. Ojciec jednak sprzedałby raczej ostatnie sprzęty domowe niż ów obrazek. Ale ja wciąż mówię, a panią to zapewne nudzi?

Pani Klaudyna potrzęsła przecząco głową. Nie mogła wydobyć słowa, zdawało się, że dławi ją jakaś niewidzialna dłoń. Pojęła w tej chwili, że nie tylko zburzyła szczęście dwojga ludzi, lecz że zniszczyła również twórczość swego męża i pozbawiła go natchnienia. Ona złamała mu skrzydła, a cierpienie i troska o byt zniweczyły do reszty jego talent.

Gorycz zalewała dumną duszę Klaudyny. Pełna skruchy, powtórzyła kilkakrotnie okrutne słowa, które kładą kres wszelkiej nadziei:

- Za późno!

Otarła z czoła zimny pot i spojrzała na siedzącą naprzeciw niej Brytę. Czy doprawdy było już za późno? Przecież przy niej znajdowało się jego ukochane dziecko, któremu nie zdołał zapewnić przyszłości... Wszakże nieraz musiała go dręczyć myśl, że nie zabezpieczył bytu córki... Czyż nie mogła teraz naprawić krzywdy, wyrządzonej ojcu? Tak, pragnęła to uczynić, pragnęła wynagrodzić Brytę za cierpienia Henryka...

Odetchnęła z ulgą. W tej chwili złożyła w duszy niezłomną przysięgę, jakby ślubowanie. Jej niepokonana duma rozsypała się w gruzy... Wyciągnęła rękę, dotknęła białej dziewczęcej dłoni...

- Jakżem rada, drogie dziecko, że cię zatrzymałam u siebie. Mam wrażenie, że cię serdecznie pokocham... A teraz musimy się obie udać na spoczynek. Jutro znowu pogawędzimy... Niech pani nie sądzi nigdy, że

mnie pani nudzi, opowiadając o swoich sprawach rodzinnych... Cierpiałam wiele i potrafię odczuć cudzą niedolę... A los pani ojca żywo mnie zajmuje...

Bryta złożyła na jej ręce pełen czci pocałunek. Współczuła serdecznie tej nieszczęśliwej kobiecie. Dziwiła się wprawdzie, że pani Klaudyna interesuje się tak bardzo dolą jej rodziców, lecz była jej za to bardzo wdzięczna. Nie wpadło jej jednak na myśl, z jakiego powodu pani Klaudyna wypytywała ją tak szczegółowo o stosunki rodzinne.

IX

Tego dnia, gdy miał się odbyć bal i piknik w parku, wszystko od samego rana wrzało gorączkową pracą. W parku uwijało się mnóstwo robotników, którzy zawieszali barwne lampiony i zakładali instalację elektryczną. Na dużym trawniku czyniono przygotowania do fajerwerków. Wśród drzew ustawiono małe namioty.

Pani Stange kręciła się po całym domu, podobna do okrągłej kuli. W wielkiej sali nakrywano stoły. Tutaj po fajerwerkach goście mieli spożyć kolację.

Bryta rozstawiała na stołach wazon z kwiatami i napełniała patery czekoladkami i owocami. Pomagała przy tym pani Stange przy płaceniu rachunków dostawcom, staruszka bowiem była bardzo zajęta i zafrasowana.

Bryta nigdy w życiu nie widziała jeszcze fajerwerków i cieszyła się ogromnie, że je dziś wieczorem zobaczy. Większą jednak jeszcze radość sprawiała jej nowa sukienka balowa, którą dostała od pani Steinbrecht. W ciągu kilku tygodni, które przebyła w domu pani Klaudyny, wyzbyła się zupełnie lęku przed swoją chlebobawczynią. Kilka dni temu pani Steinbrecht poprosiła Brytę, żeby wolno jej było mówić do niej po imieniu. Dziewczyna chętnie zgodziła się na to. Teraz dopiero czuła się na nowej posadzie jak u siebie w domu.

Gdy przyniesiono z magazynu nową sukienkę, Bryta musiała ją zaraz przymierzyć. Dziewczyna nie posiadała się z radości. Suknia była z bia-

łego krepdeszynu, haftowana drobnymi paciorkami. Aplikacje z koronki zdobiły stanik i krótkie rękawy. Gdy piękna, złotowłosa dziewczyna w strojnej, powiewnej sukience poszła się pokazać pani Klaudynie – wyglądała tak uroczo, że trudno było od niej oderwać oczy. Pani Stange klasnęła w ręce z podziwu, wołając:

- Och, panno Bryto! Wygląda panienka jak księżniczka z bajki!

Dziewczyna cieszyła się jak dziecko. Oprócz sukienki dostała jeszcze pończochy, pantofelki, rękawiczki, wachlarz i biały, jedwabny szal. Co chwila całowała po rękach panią Steinbrecht, a wreszcie, chcąc dać upust swojej radości, rzuciła się na szyję poczciwej gospodyni.

Uciecha Bryty była tak wielka i dziecinna, że pani Klaudyna serdecznie się zaśmiała. Od wielu, wielu lat nie potrafiła się już śmiać, toteż na twarzy pani Stange odmalowało się zdumienie.

Gdy gospodyni przeszła potem wraz z Brytą do jej pokoju, rzekła z uśmiechem:

- Ach, dziecinko! Z pani to istna czarodziejka! Co też się zrobiło z naszą panią przez te cztery tygodnie! Odmieniła się zupełnie. Dzisiaj się nawet roześmiała...

- Tak - odparła Bryta, pełna zadumy - teraz dopiero wpadło mi na myśl, że przez ten cały czas nie słyszałam ani razu jej śmiechu.

- Panienka jest dopiero miesiąc, ale ja służę już dwadzieścia lat w tym domu, a także usłyszałam go dziś po raz pierwszy...

- Ach, droga pani Stange, mam niekiedy wrażenie, że ze mną dzieją się jakieś czary.

- Nigdy jeszcze nie miałam takiej wspaniałej sukni. I tak mi tutaj dobrze... Niekiedy mi się zdaje, że to tylko cudny sen, z którego się zbudzę...

- E, nie zbudzi się panienka! Co prawda to musiała panienka ogromnie przypaść do gustu naszej pani. Zamówiła dla panienki trzy nowe suknie i dwa kapelusze. Przecież i panna Elza dostawała nieraz piękne prezenty, ale to nie to samo... Nasza pani musi panienkę wyjątkowo lubić, skoro mówi jej po imieniu. Ja jestem bardzo dumna, że pani mówi do mnie „ty”...

- Ach - westchnęła Bryta - pani jest taka anielsko dobra. Z początku wydawała mi się dziwna i kapryśna, nie przypuszczałam wcale, że potrafi być inna...

- Tak, tak panienko! Nawet i ja sądziłam, że panienka u nas nie zagrzeje miejsca. Ale to się wszystko zmieniło. A teraz niech panienka powiesi sukienkę, żeby się nie pogniotła. Toż to jutro młodzi panowie będą się oglądać za panienką!

- E, młodzi panowie nie zwrócą nawet uwagi na ubogą pannę do towarzystwa! Ale to i lepiej. Przynajmniej uniknę w ten sposób przykrości i upokorzenia...

Pani Stange potrząsnęła głową.

- Chwała Bogu, nie wszyscy są tacy źli. Jest jednak pomiędzy nimi jeden, którego radzę panience unikać. Kręci się wciąż koło domu, łązi nie wiedzieć po co, a nawet przekrada się do parku przez boczną furtkę. Jestem pewna, że nie robi tego dla pięknych oczu pani Steinbrecht, a o mnie na pewno także mu nie chodzi, bo jak mnie wczoraj z daleka zobaczył, to zaraz czmychnął...

- Och! - krzyknęła namiętnie Bryta - gdyby pani wiedziała, ile nieprzyjemności mam z tego powodu...

Pani Stange spojrzała na nią z powagą i pokiwała głową.

- Więc panienka zauważyła? Oczywiście, że przed panienką ten nicpoń nie ucieknie. Dziecinko, strzeż się tego człowieka. Nie wierzę plotkom, ale nie ma dymu bez ognia. Słyszałam niejedno od służby... Szkoda panienki na to. Spostrzegłam, że panienka ostatnio wcale nie spaceruje w parku i muszę przyznać, że mnie to ucieszyło.

Bryta westchnęła.

- Tak, musiałam się wyrzec rannych spacerów, chociaż najchętniej spędzałabym w parku każdą nudną chwilę.

Pani Stange zaczęła szukać czegoś w koszyczku z kluczami.

- Można temu zaradzić - rzekła z uśmiechem - dam panience kluczyk do bocznej furtki. Właściwie powinna ona być zawsze zamknięta, otworzyłam ją jedynie, żeby oszczędzić drogi naszemu staremu listonoszowi. Trudno, będzie musiał teraz chodzić przez park miejski... Panienka zamknie na klucz furtkę, a nikt niepowołany nie będzie się mógł

wałęsać po naszym ogrodzie. Może panienka spokojnie wychodzić na przechadzkę...

- Dziękuję pani serdecznie! Nie mogłam sobie już dać rady z tym natrętem. Nie chciałam się skarżyć pani Steinbrecht, przez wzgląd na jego rodzinę. Państwo Frensen okazali mi tyle serca, że pragnęłabym oszczędzić im przykrości. Mężczyzna tego pokroju nigdy wprawdzie nie potrafiłby pozyskać mego uczucia, gdyż napęnia mnie głęboką odrazą mimo swej pięknej powierzchowności, w każdym jednak razie wolę go nie spotykać na mojej drodze. Jakże wdzięczna jestem za ten klucz...

- Dobrze, dobrze dziecinko! Wieczorem odłoży go pani do mego koszyczka, gdyż w nocy wszystkie klucze powinny się znajdować u mnie.

Bryta rzeczywiście odczuwała głęboką wdzięczność dla poczciwej pani Stange. Po południu wybiegła do parku i zamknęła furtkę na klucz. Odtąd mogła znowu wszystkie wolne chwile spędzać na świeżym powietrzu.

Bryta zajęta układaniem słodczy na paterach myślała właśnie o tym, że nareszcie porucznik Frensen przestanie przychodzić do parku. Człowiek ten był obecnie jedynym ciemnym punktem w jej życiu. Gdyby nie on, dni upływałyby jej błogo, bez jednej chmurki. Czuła się doskonale w domu pani Klaudyny i marzyła tylko o tym, żeby ją zadowolić pod każdym względem.

Spodziewała się, że uda jej się teraz nareszcie pozbyć raz na zawsze porucznika. Od pewnego czasu odwiedzał on często panią Steinbrecht, korzystając z każdej sposobności, żeby się zalecać do dziewczyny. Bryta starała się go unikać, przy czym zauważyła, że Herbert zjawiał się zawsze wtedy, gdy Teo pragnie z nią pozostać sam na sam. Bryta była przekonana, że Herbert zachowuje się w ten sposób, żeby uchronić kuzyna od jakiegoś niebacznego kroku. Zapewne lękał się, żeby Teo nie poślubił ubogiej panny do towarzystwa.

W każdym razie była rada, że doktor Frensen przybywa jej na odsiecz, gdyż lękała się krótkich chwil samotności z Teodorem. Jednocześnie myślała z pewną goryczą, że Herbert niepotrzebnie obawia się o kuzyna, którego ona uważała za natręta.

Na ostatnim przyjęciu u pani Steinbrecht, Bryta zauważyła, że Herbert zachowuje się inaczej niż zazwyczaj. Zdawało się, że go przestało obchodzić postępowanie kuzyna. Teodor zbliżył się do Bryty, zalecając się do niej w niedwuznaczny sposób, a Herbert przyglądał się z daleka obojgu, lecz tym razem nie przeszkodził im.

Bryta nie wiedziała o tym, że Herbert dotąd czuwał nad nią jak wierny rycerz, osłaniając ją przed umizgami kuzyna. Nie wiedziała również, że od niedawna postanowił nie mieszać się do tej sprawy, będąc przekonanym, że Bryta nie życzy sobie jego pomocy.

Stało się to z następujących powodów.

Pewnego popołudnia Herbert Frensen przechodził ulicą Klaudiusza, zmierzając do laboratorium. Mieszkał on w mieście u jakiejś wdowy po urzędniku, u której również się stołował. Mógł wprawdzie pójść do fabryki inną, krótszą drogą, w ostatnich czasach jednak szedł zawsze ulicą Klaudiusza, nie zdając sobie sprawy, czemu tak czyni.

Przechodząc koło sztachet, zauważył Brytę Lossen, która spacerowała po kasztanowej alei. Towarzyszył jej Teo Frensen.

Herbert poczuł bolesny skurcz serca. Spoglądał z niedowierzaniem na młodą parę i spostrzegł, że Bryta odwróciła się od Teodora, zmierzając szybko w stronę domu. Gdy młoda dziewczyna odeszła, porucznik Frensen wyszedł z parku przez boczną furtkę.

– Więc jednak udawała! – pomyślał z goryczą młody człowiek.

Uśmiechnął się ironicznie, pragnąc przejść nad tym do porządku. Nie potrafił jednak tak łatwo odzyskać równowagę. Niezrozumiałe poczucie bólu kładło mu się brzemieniem na serce.

Poszedł dalej i spotkał kuzyna, który w tej chwili właśnie opuszczał park.

Przez kilka sekund obaj stryjeczni bracia milczeli, patrząc sobie przenikliwie w oczy.

– Skąd powracasz, Herbercie? – spytał Teo, najwyraźniej zmieszany.

– Ja? Wyszedłem przed chwilą z domu. Ale skąd ty powracasz? – zagadnął chłodno Herbert.

– Widzisz przecież, że wracam z parku pani Steinbrecht – odparł Teo, uśmiechając się zarozumiale.

- Przez boczną furtkę?

Teo uśmiechnął się tak bezczelnie, że Herbert byłby go najchętniej spoliczkował. Nigdy nie lubił swego kuzyna, a jeżeli nie dochodziło do waśni, to tylko przez wzgląd na stryja i ciotkę.

- Jesteś bardzo niedyskretny, mój drogi. Kto szuka przygód miłosnych, ten nieraz musi omijać proste drogi i chodzić bocznymi furtkami – odparł drwiąco.

- Jeżeli szukasz tajemniczych przygód, to powinieneś pamiętać o tym, że przez sztachety widać wszystko, co się dzieje w parku.

- Och, widziałeś więc, że...

- Widziałem, że rozmawiałeś z jakąś panią. Oto wszystko!

- W takim razie wszelkie dalsze wyjaśnienia są zbyteczne.

- W istocie! Uważam jednak, że postąpiłeś niewłaściwie, wyznaczając tej młodej panie schadzki w parku. Możesz ją z łatwością narazić na obmowę.

Na ustach Teodora pojawił się znowu arogancki uśmieszek.

- Przez usta twoje przemawia zawiść! Zazdrościsz mi mego szalonego powodzenia u kobiet.

Herbert zarumienił się z oburzenia. Szybko jednak opanował gniew i odparł spokojnie:

- Nie zazdroszczę ci na pewno tego rodzaju „powodzenia”. Nie lubię łatwych zdobyczy...

- Jednak zależy ci na tej dziewczynie! Przecież starałeś się bezustannie o jej względy i wечно wchodziłeś mi w drogę – zauważył Teo.

Herbert spaşowiał. Tym razem jego kuzyn mówił prawdę.

- Zdawało mi się dotychczas, że ta młoda panna cię unika. Przekonałem się naocznie, że to była z mej strony pomyłka.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, aż wreszcie, gdy mieli się już rozejść na zakręcie ulicy, Herbert odezwał się poważnie:

- Proszę cię bardzo, Teo żebyś był ostrożniejszy. Jeżeli nie chcesz tego uczynić przez wzgląd na tę młodą osobę, to uczyn to przez wzgląd na siebie. Pani Michels śledzi cię bezustannie, a wiesz o tym sam, że nie ulęknie się ona niczego i gotowa urządź skandal na całe miasto.

Teo przygryzł wargi.

- Jakiś szatan opętał tę babę - syknął brutalnie.

Herbert odwrócił się ze wstrętem od kuzyna i odszedł w swoją stronę. Bezustannie jednak myślał o tym, że Bryta stanie się ofiarą lekkomyślnego porucznika. Ogarniał go przy tym dziwny, niezrozumiały smutek.

- Widocznie sama tego chciała - dumął, usiłując zapanować nad swoim żalem.

Dlatego też na ostatnim przyjęciu nie przeszkadzał Teodorowi. Och, gdyby Bryta wiedziała, jakie ciążą na niej poszlaki!

Jakże cierpiałaby, dowiedziawszy się, że to właśnie Herbert Frensen podejrzewał ją o flirt z kuzynem. Czuła do tego młodzieńca ogromną sympatię. Wkładając swoją nową śliczną sukienkę, myślała w głębi duszy, czy też będzie się podobała Herbertowi. Zastanawiała się nad tym, czy dzisiejszego wieczoru młody człowiek będzie się zachowywał równie chłodno i obojętnie, jak ubiegłej soboty.

Tego dnia wyglądał tak poważnie i surowo. Uważała go zawsze za człowieka dumnego i niedostępnego, lecz względem niej zachowywał się dotąd bardzo uprzejmie. A gdy grała lub śpiewała, oczy jego lśniły jawnym zachwytem.

Pani Steinbrecht ogromnie ceniła Herberta i wyrażała się o nim jak najlepiej. Twierdziła, że jest dobrym, szlachetnym człowiekiem, zasługującym na sympatię i szacunek.

- Panienczko droga, proszę zobaczyć, czy robotnicy dobrze porozstawiali namioty w parku - rozległ się nagle głos pani Stange.

Bryta ocknęła się z głębokiej zadumy i pośpiesznie wybiegła z pokoju.

X

Już około piątej zaczęli nadchodzić pierwsi goście. Bryta wraz z panią Steinbrecht oczekiwały ich w dużej sali.

Dzień był piękny, pogodny. Poprzedniego dnia padał deszcz, który odświeżył powietrze. Zdawało się, że park przybrał nowe odświeżone szaty.

Goście przybywali tłumnie i wkrótce zaroilo się od ludzi.

Pani domu nosiła wspaniałą toaletę, przybraną kosztownymi koronkami. Cenny sznur pereł otaczał jej szyję; we włosy wpięła wąski diadem z brylantów. Wyglądała młodziej i lepiej niż zazwyczaj, twarz jej pokrywał lekki rumieniec, oczy błyszcząły. Mimo podeszłego wieku była wciąż jeszcze wspaniałym, imponującym zjawiskiem.

Bryta, która stała obok niej, wyglądała jak uosobienie wiosny; oczy wszystkich były na nią zwrócone. Kto jej nie znał, prosił, żeby go przedstawiono. Niektórzy dziwili się bardzo, dowiedziawszy się, że ta piękna, dumna dziewczyna jest tylko panną do towarzystwa. Odznaczała się niezmiernie wykwintną powierzchownością, a przy tym pani Klaudyna okazywała jej niezwykłą serdeczność.

Osoby, które często bywały w domu pani Steinbrecht, przestały już zwracać uwagę na nowy „kaprys” milionerki. Jednakże nawet pani Frensen dziwiła się, że Bryta w tak krótkim czasie potrafiła zaskarbić sobie uczucia pani Klaudyny. Tylko jej mąż nie dziwił się temu wcale, on jeden bowiem wiedział, dlaczego pani Steinbrecht przywiązała się tak serdecznie do Bryty Lossen.

W każdym razie wszyscy goście zachowywali się względem niej bardzo uprzejmie, nie wyłączając „Habermanii” i pięknej pani Zuzanny. Ta ostatnia udawała, że jest oczarowana wdziękiem młodej dziewczyny. Niekiedy garnęła się po prostu do niej, szczególnie wtedy, gdy porucznik Frensen zbliżał się do Bryty.

Mimo to obie panie nieraz po kryjomu obgadywały Brytę. „Habermania” robiła to, bo nienawidziła wszystkie młode i piękne kobiety, a pani Michels zazdrościła Brycie względów porucznika Frensena i przeczuwała w niej rywalkę.

Gdy pani Frensen ujrzała Brytę, z jej ust wyrwał się okrzyk zachwytu.

– Jakże uroczo wyglądasz, dziecinko! Istne wcielenie wiosny...

A jej mąż dodał z miłym uśmiechem:

– Moja żona ma słuszość! Patrząc na panią człowiek młodziej i nabiera chęci do życia.

Bryta promieniała z radości.

– Prawda, proszę pani, że suknia jest przepiękna? Ja sama nie mogę się jej dość napatrzeć...

- Suknia jest ładna, lecz jej właścicielka podoba mi się znacznie lepiej – oświadczyła pani Frensen.

Bryta ucałowała jej rękę. Lubiła bardzo pocziwą staruszkę, która okazywała jej tyle macierzyńskiej tkliwości. Młoda dziewczyna od dawna już pozbawiona była matczynych pieszczot, a teraz trzy stare kobiety otaczały ją czułością i ciepłem. Przede wszystkim pani Steinbrecht, następnie pocziwa pani Stange, a wreszcie doktorowa. Każda z nich w inny sposób okazywała jej swoją sympatię, a wszystkie nazywały Brytę „dziewciną”. Nie zdawały sobie nawet sprawy, jakie dobrodziejstwo wyświadczają sierocie, spragnionej ciepła rodzinnego!

W tej chwili pani Klaudyna skinęła na Brytę.

- Chodź ze mną, drogie dziecko, chcę cię przedstawić naszemu burmistrzowi.

Po podwieczorku goście wyszli na taras. Na murawie bawiono się w rozmaite gry. Na trawnikach, pod wielkimi cienistymi lipami, stały rozmaite namioty, w których odbywała się loteria. Można było wygrać różne ładne drobiazgi, jak bombonierki, ołówki, pudełeczka oraz inne fanty. W jednym z namiotów częstowano gości kruszonem oraz zamrożonym szampanem, w innym rozdawano lody i słodycze.

Naprzeciwko tarasu, na wysokiej estradzie orkiestra pułkowa wygrywała dziarskie melodie.

Teo Frensen starał się już kilkakrotnie podejść do Bryty. Zależało mu na tym, żeby choć przez kilka chwil pozostać z nią na osobności. Młoda dziewczyna wydawała mu się dzisiaj piękniejsza, niż zazwyczaj, jeszcze bardziej godna pożądania. Co chwila zbliżał się do niej pod jakimś pozorem, prawiąc jej szeptem ogniste komplementy. Nie zwracał uwagi na jej lodowaty ton. Młodzieniec przywykł do łatwych zwycięstw, toteż tym bardziej pragnął przełamać opór młodej dziewczyny.

W pewnej chwili zbliżył się znowu do niej i rzekł cicho, głosem drżącym z tłumionej namiętności:

- Jak długo jeszcze zamierza pani zadawać mi katusze? Czyż moja miłość nie zdoła nigdy wykrzesać iskry z kamiennego pani serca? Nie dręcz mnie, cudna, najpiękniejsza...

Bryta chciała przejść obok niego, udając, że nie zwraca uwagi na te słowa. Lecz natrętny młodzieniec zagroził jej drogę.

- Proszę mnie natychmiast przepuścić, panie poruczniku - rzekła energicznie dziewczyna.

- Nie przepuszczę pani, dopóki nie otrzymam choćby jednego łaskawego spojrzenia tych cudnych oczu. Pani wciąż igra ze mną, a to zbyt cenne. W piersi mej płonie pożar... Ubóstwiam panią, nigdy jeszcze nie kochałem tak kobiety...

Bryta byłaby najchętniej zatkała sobie uszy. Obrażał ją każdym słowem, każdym spojrzeniem. Wiedziała dobrze, że pragnie on jedynie nawiązać z nią stosunek miłosny. Spłonęła ciemnym rumieńcem. Na szczęście, w tej właśnie chwili przechodził obok niej Fryderyk, niosąc tacę z chłodnikami.

- Fryderyku, pan porucznik ma pragnienie. Proszę mu podać szklankę lemoniady - zwróciła się do służącego.

Fryderyk zbliżył się do Frensena, a Bryta oddaliła się pośpiesznie. Zaledwie jednak zdołała ująć kilka kroków, gdy spotkała Herberta. Oczy jego połyskiwały jak twarda stal, twarz była chmurna i posępna. Przed chwilą rozmawiał z panią Steinbrecht i oboje obserwowali bacznie Brytę i Teodora. Herbert nie zrobiłby tego kroku, gdyby pani domu nie poprosiła go, aby przywołał Brytę.

Spełniając życzenie pani Steinbrecht, wstał niechętnie z miejsca i wkrótce zbliżył się do Bryty.

- Pani Steinbrecht prosi panią do siebie - rzekł chłodno.

Przeraził ją lodowaty ton i surowy wyraz twarzy Herberta. Opuściła główkę, a oczy jej zasnuły się łzami. Herbert zauważył ten smutek i ogarnęło go nagłe wzruszenie. Patrząc na słodką twarzyczkę Bryty, pomyślał:

- Biedne dziecko! Nie zdaje sobie na pewno sprawy ze swoich postępów...

Pełen współczucia kroczył obok dziewczyny, a ponieważ czuł, że należy coś powiedzieć, odezwał się uprzejmie:

- Jakże się pani dziś bawi?

Nie było to mądre ani dowcipne, lecz Bryta, słysząc dźwięk jego głosu, rozchmurzyła się. Podnosząc ku niemu promienne oczy, rzekła:

- Dziękuję panu, bardzo dobrze...

Jednocześnie odetchnęła z ulgą. Zdawało się jej, że teraz dopiero będzie mogła zapomnieć o niewłaściwym zachowaniu Teodora.

Herbert rzucił na nią ukradkiem badawcze spojrzenie. Jej regularny profil wydawał mu się tak piękny, że nie mógł oderwać od niego oczu. Dręczyła go świadomość, że to czyste, niewinne stworzenie ma wpaść w sidła Teodora. Gdyby nie okoliczność, że widział Brytę i kuzyna w parku, nie byłby nigdy uwierzył, że ta dziewczyna zdolna jest do podobnej lekkomyślności. A jednak przekonał się przecieŜ naocznie, że zjawiała się na schadzce...

MoŜe sądziła, że Teo żywi względem niej uczciwe zamiary?

Zły, że nie moŜe otrząsnąć dręczących go myśli, nawiązał z Brytą banalną rozmowę towarzyską. Poruszali rozmaite tematy, aŜ wreszcie dotarli oboje do stolika, przy którym siedziała pani Klaudyna.

Herbert skłonił się i odszedł. Bryta zwróciła się do swej chlebobawczyni.

- Pani mnie wołała, nieprawdaŜ? Czy ma pani dla mnie jakie zlecenie?

- Nie, moje dziecko. Widziałam, że stoisz przy namiocie w towarzystwie porucznika Frensena nie wiedząc, jak się pozbyć natręta. Wtedy posłałam ci na odsiecz jego kuzyna, aby cię uwolnił od niego. Przybył jednak za póżno. Spostrzegłam z przyjemnością, że przywołałaś Fryderyka.

Bryta zarumieniła się.

- Dziękuję pani. Źałuję tylko, że pan Frensen fatygował się dla mnie...

- Uczynił to z wielką chęcią.

- Nie wątpię, że chętnie wyświadczył pani tę drobną przysługę.

Z pewnością jednak było mu przykro, że musiał się trudzić dla panny do towarzystwa.

- Nie, dziecinko, nie znasz Herberta. Ja go znam od dziecka i wiem, że to dobry, porządny człowiek. Jest tylko małomówny i powaŜny, lecz w

przeciwieństwie do swego kuzyna posiada wielką wartość moralną. Teraz jednak musimy się udać do naszych gości. Chodź, Bryto...

I pani Klaudyna podążyła na placyk, gdzie stały namioty.

Teo Frensen siedział obok pani Zuzanny, starając się spędzić chmurki z jej czoła. Bawiąc się wachlarzem pięknej pani, szeptał jej na ucho słodkie słówka. Wreszcie udało mu się rozweselić swoją towarzyszkę.

- Och, Zuziu, gdybyś wiedziała, jaka ta mała jest nudna! - skarżył się żałośnie.

- Czemu więc przebywasz ciągle u jej boku? - spytała z lekkim dąsem pani Zuzanna.

- Czy nie rozumiesz, o co mi chodzi? Chciałbym naprowadzić wszystkich na fałszywy trop, żeby nie domyślali się, co nas łączy. Radczyni śledzi nas bezustannie, chodzi za nami krok w krok. Słowo honoru, ten babsztyl zbliża się do nas... Powiedz mi prędko, Zuziu, że się nie gniewasz...

- Nie potrafię się gniewać na ciebie, lecz proszę cię bardzo, żebyś zmienił twoje postępowanie. Nie wyobrażasz sobie nawet, do czego byłabym zdolna, gdybym się dowiedziała, że mnie zdradzasz...

- Ależ, dziecinko! Co za myśl! - zapewniał ją żarliwie.

- Cicho! Radczyni nadchodzi - szepnęła Zuzanna, po czym dodała głośno:

- Jestem pewna, panie poruczniku, że pogoda dopisze i fajerwerki wypadną tak wspaniale, jak w ubiegłym roku.

- Ach, widzę, że droga pani znalazła rozkoszny, cienisty kącik! Czy wolno mi będzie zająć miejsce obok państwa? A może przeszkadzam? - spytała ze słodką miną „Habermania”.

Młodzi ludzie udawali, że teraz dopiero spostrzegają jej obecność.

- Przeszkadzać? Przeciwnie, droga pani! Liczę na to, że pani mi pomoże przekonać tego obrońcę ojczyzny, który twierdzi, że pod wieczór będziemy mieli burzę - rzekła pani Zuzanna.

Porucznik zerwał się z miejsca i przysunął wygodne krzesło dla radczyni. Uśmiechnęła się do niego łaskawie, mówiąc:

- Dziś stanowczo nie będzie burzy!

- Skąd pani ma te pewne wiadomości? - zapytał Teo, rzucając nad głową radczyni płomienne spojrzenie w stronę Zuzanny.

- Mój drogi Juliusz ma doskonały barometr w swoim kolanie. Biedak cierpi silnie na reumatyzm. Ale, ale... Czy państwo zauważyli tę poufałość między panią Steinbrecht a jej towarzyszką? Zaczęła jej mówić po imieniu... Co chwilę słyszę: „droga Bryto”, „kochana dziecinko”... Czy to nie śmieszne?

- Słyszałam już także - odparła pani Zuzanna z ironicznym uśmiechem. - Zdarza się, że ludzie na starość mają swoje dziwactwa...

- Boże drogi, chyba nie zdziecinniała jeszcze ze starości! - zawołała oburzona do głębi radczyni.

- Czy panie mają ochotę na lemoniadę? A może mam przynieść kieliszek wina albo trochę lodów? - spytał Teo, pragnąc skierować rozmowę na inne tory.

Panie chętnie przystały na jego propozycję. Teo był rad, że może się oddalić. Odczuwał głęboko wdzięczność dla „Habermanii”, która przeszkodziła mu w czułym sam na sam z Zuzanną. Koło namiotów spotkał pana Michelsa, którego natychmiast postarał się pozyskać, jako drugą przeszkodę.

- Pańska małżonka czeka na pana z prawdziwym utęsknieniem - oświadczył - zaprowadzę pana do niej. Czy zechce pan łaskawie nieść jeden talerzyk lodów?

Obaj panowie udali się do pań. Teo jeszcze przez chwilę brał udział w rozmowie, po czym skorzystał z pierwszej sposobności i opuścił towarzystwo.

XI

Herbert Frensen powziął wprawdzie nieodwołalne postanowienie, że przestanie się zajmować losami Bryty i Teodora, aby nie psuć sobie nastroju, nie potrafił jednak opanować dziwnego smutku.

Ludzie wokoło niego weselili się, wokół było rojno i gwarno, on jednak nie mógł odegnać ponurych myśli. Gdy słońce zaczęło zachodzić, Herbert

wymknął się z wesołego grona znajomych i udał się z wolna na przechadzkę, wybierając najbardziej odległe i ciche dróżki w parku.

Nie był on nigdy człowiekiem towarzyskim, dziś jednak bardziej niż kiedykolwiek łaknął samotności. Im dalej zapuszczał się w głąb parku, tym większa ogarniała go cisza. Wreszcie przystanął i oparłszy się o jakieś drzewo, rosnące wśród gęstwiny na zboczu ścieżki, napawał się błogą ciszą chwili. Zadumany spoglądał na zachodzące słońce, którego purpurowe promienie przedzierały się poprzez gęste listowie. Powoli zapadał zmrok... Herbert wciąż jeszcze stał nieruchomy, patrząc jak ze wszystkich stron wypływają ogromne cienie.

Nagle podniósł oczy i ujrzał na drodze, którą poprzednio sam przebył, wiotką postać dziewczęcą w białej sukni. Purpurowe blaski słońca padały na białą sukienkę i rozpałały metaliczne połyski w złotych włosach. Miało się wrażenie, że cała postać skąpana jest w szkarłatnym ogniu zachodu. Oczy Herberta z rozkoszą wchłaniały ten cudny widok. Serce jego poczęło nagle bić głośniej i prędeej. Bryta nie mogła dojrzeć Herberta, on jednak widział ją doskonale. Szła prędko, jak osoba, która zmierza do jakiegoś celu. W pierwszej chwili chciał opuścić swoją kryjówkę i wyjść jej naprzeciw, nagle ujrzał o kilka kroków za Brytą sylwetkę mężczyzny w mundurze. Był to jego kuzyn Teo, który szybko podążał za młodą dziewczyną.

Zanim Herbert zdołał się zdecydować, czy pozostać w swej kryjówce, czy też ukryć się głębiej w parku, młody porucznik dogonił Brytę. Stał w pobliżu schowka Herberta i zagradzając drogę młodej panie, przystanął z otwartymi ramionami i zawołał:

- Wpadłaś w zasadzkę, cudna leśna boginko! Teraz musi pani zapłacić rogatek!

Bryta zatrzymała się, spoglądając roziskrzonymi z gniewu oczami na zuchwałego napastnika.

Herbert już zamierzał niepostrzeżenie odejść, aby nie być świadkiem czułego spotkania, gdy nagle wzrok jego spoczął na twarzy Bryty. Ogarnęło go zdumienie, gdy spostrzegł gniew, malujący się na twarzy dziewczyny. Postanowił natychmiast, że zostanie w swej kryjówce na stanowisku obserwatora. W pewnej chwili posłyszał głos Bryty. Brzmiał

on surowo i gniewnie, a to co mówiła, nie były to czułe słowa ani zaklęcia miłosne.

Herbert pojął, pełen nagłej radości, że Bryta nie przyszła tu wcale na schadzke. Z zapartym oddechem słuchał jej słów.

- Proszę mnie natychmiast przepuścić, panie poruczniku! Muszę powtórzyć pirotechnikowi polecenia pani Steinbrecht.

Teo pochłaniał wzrokiem piękną dziewczynę, a w spojrzeniu jego malowała się nieokiełznana żądza. Pił tego wieczoru bardzo wiele, toteż był niezwykle podniecony.

- Nie puszczę pani, póki nie otrzymam rogatekowego. Błagam o jeden pocałunek, urocza wróżko!

Bryta wyprostowała się dumnie i odparła, oburzona do głębi:

- Dość tych obelg, mój panie! Prześladowuje mnie pan na każdym kroku, uchybia mi pan w należnym szacunku, a teraz na domiar wszystkiego, napastuje pan bezbronną kobietę. Postępowanie pańskie hańbi mundur, który pan nosi. Proszę mnie przepuścić!

- Nie do twarzy pani z tą bohaterską postawą! Osiągnęłaś swój cel, piękna Bryto, kocham cię do szaleństwa. Doprowadziłaś mnie do utraty zmysłów twoim chłodem i obojętnością. Ale teraz dość tego! Muszę pocałować te dumne usta...

W tej samej chwili Teo porwał ją w objęcia. Krzyknęła, starając się wyrwać z jego ramion. Przechyliła się w tył, usiłując odepchnąć zu-chwalca.

- Spoliczkuję pana, jeżeli mnie pan natychmiast nie puści! - zawołała.

On jednak coraz mocniej przyciskał ją do siebie, a jego gorący oddech smagał jej twarz.

Teraz jednak Herbert otrząsnął się ze swego osłupienia. Jednym skokiem wypadł z gęstwiny i podbiegł do obojga szamocących się ludzi. Z całej siły porwał Teodora za ramię i odciągnął go od Bryty, mówiąc głosem, w którym brzmiała utajona pogróżka:

- Zaprawdę, smutne to bohaterstwo napadać na bezbronne kobiety! Oszalałeś chyba!

On jeden tylko wiedział, ile kosztuje go w tej chwili ten pozorny spokój. Zdobył się jednak na ostatni wysiłek i składając Brycie głęboki ukłon, rzekł:

– Pozwoli pani, że ją odprowadzę.

Drżąca, na wpół przytomna, pozwoliła się Bryta wziąć pod rękę. Teo wykrzywił się ohydnie i śmiejąc się szyderczo, zawołał:

– Ach, tak! Spóźniłem się... Więc to ty jesteś szczęśliwym wybranym losu.

Bryta drgnęła i zbladła. Herbert zmarszczył czoło i cofnął się mimo woli o krok, pragnąc powrócić do kuzyna i dać mu nauczkę. Ujrawszy jednak błagalne spojrzenie Bryty, uśmiechnął się z niewymowną pogardą i znikł wśród drzew wraz ze swoją towarzyszką.

Teo pieniał się ze złości. Nie wierzył naturalnie, żeby Brytę i Herberta cokolwiek łączyło. Jeżeli pozwolił sobie na obelżywą uwagę, to słowa te podyktował mu ślepy gniew. Znał zbyt dobrze Herberta i wiedział, że kuzyn jego z każdej walki wyszedłby zwycięsko. Nie miał przy tym zamiaru wywoływać skandalu z powodu jakiejś głupiej panny do towarzystwa. Nie brakowało przecież dziewcząt skłonnych do małego flirciku. Nie każda urządziłaby tyle gwałtu o jeden pocałunek! Na szczęście zjawił się Herbert, a nie kto inny! W przeciwnym razie doszłoby do grubej awantury!

Teo starał się odzyskać równowagę, lecz jednocześnie nurtowała go zacięta złość na kuzyna, złość, która graniczyła z nienawiścią.

– Poczekaj, ty świętoszku! Ja ci się jeszcze odplączę! Zemsty należy zakosztować na zimno. Wybije kiedyś i moja godzina... – cedził przez zęby.

A tymczasem Bryta kroczyła w milczeniu przy boku Herberta. On również nie potrafił powiedzieć ani słowa, lecz spoglądał z dziwnym wyrazem na swoją towarzyszkę. Zauważył, że wargi jej drżą, że dygoce na całym ciele. Oddychała z trudnością.

Bryta już nieraz w życiu musiała się bronić przed męską natarczywością, nie spotkała jednak dotąd podobnego zuchwalca, jak porucznik Frensen. Teraz, gdy wszystko już minęło, gdy stąpała wsparta na ramieniu Herberta, zdawała sobie jasno sprawę z własnej bezbronności.

Była przekonana, że gdyby Herbert nie pośpieszył jej z pomocą, Teodor byłby wykonał swój nieczny zamiar. Co też Herbert mógł o niej pomyśleć, widząc ją sam na sam z porucznikiem.

Gdy się nad tym zastanowiła, spokój jej pierzchnął. Przystanąła nagle i zakrywając twarz rękami, wybuchnęła płaczem.

- Niechże się pani uspokoi - rzekł błagalnie Herbert.

Otarła łzy.

- Proszę... niech mnie pan teraz zostawi samą... ja... ja... nie chcę pana fatygować... - wykrztusiła z trudem.

- Przepraszam najmocniej, lecz nie spełnię tego życzenia. Nie odstąpię pani na krok, póki nie odprowadzę jej w bezpieczne miejsce - odparł spokojnie, lecz stanowczo.

Spojrzała na niego przez łzy, a w oczach jej malował się cały ból udreżonego serca.

- Co pan o mnie pomyśli, panie doktorze - wyjąkała - zapewniam pana, że jestem niewinna. Kuzyn pański prześladowa mnie od wielu tygodni swymi niecznymi propozycjami, choć niejednokrotnie zwracałam mu uwagę, że jego postępowanie mi ubliża. Nie wiedziałam, że pobiegł za mną w głąb parku...

Herbert obrzucił dziewczynę tak gorącym spojrzeniem, że spłonęła rumieńcem jak różyczka.

- Niech się pani nie martwi, wiem wszystko, gdyż byłem świadkiem całego zajścia. Proszę mi wybaczyć, że nie pośpieszyłem pani od razu z pomocą. Uroiłem sobie, że pozwoliła pani memu kuzynowi, aby jej towarzyszył... To bezpodstawne podejrzenie zbudziło się we mnie, gdym panią pewnego dnia widział w parku razem z moim kuzynem. Spotkałem go potem przy bocznej furtce, on zaś ani jednym słowem nie zaprzeczył, gdym wyraził przypuszczenie, że zapewne powraca ze schadzki.

Bryta zbladła i spojrzała przerażona na Herberta.

- Och, więc pan przypuszczał... pan posądzał mnie o to... Niestety, nie potrafię nic powiedzieć na moje usprawiedliwienie...

- To zbyteczne. Wierzę pani w zupełności.

- Nie, nie... Musi pan wysłuchać wszystkiego... Kuzyn pański kilkakrotnie przekradał się przez boczną furtkę do parku, znajdując się

niespodziewanie na mojej drodze, gdy wychodziłam na przechadzkę. Lękałam się tak bardzo tych spotkań, że w ostatnich czasach przestałam chodzić do parku. Zauważyła to pani Stange, a wiedząc, że niezmiernie lubię samotne spacerowanie w parku, dała mi klucz od furtki. Zamknęłam wczoraj boczne wejście na klucz, aby się pozbyć natręta. O, Boże! Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, że naraziłam się na okropne podejrzenie... Teraz też rozumiem, dlaczego pan w sobotę patrzył na mnie tak surowo i gniewnie...

W oczach Herberta zabłysła tak wielka radość, że zmieszana dziewczyna urwała.

- Więc pani zauważyła zmianę w moim usposobieniu? - zagadnął Herbert.

Bryta w milczeniu skinęła główką.

- Nie patrzyłem na panią gniewnie ani surowo, lecz tylko smutno. To tak przykro odkrywać plamy na słońcu - szepnął stłumionym głosem.

Odgarnęła włosy z rozpalonego czoła i otrząsając się ze słodkiego uczucia mieszania, które nią nagle zawiadnęło, rzekła szybko:

- Widzę już z daleka robotników, którym mam powtórzyć zlecenia pani Steinbrecht. Dziękuję za towarzystwo, panie doktorze...

I zanim Herbert zdołał cokolwiek odpowiedzieć, Bryta oddaliła się pośpiesznie. Rozmarzonym wzrokiem śledził białą postać dziewczęcą, migającą wśród drzew. Jego smutny nastrój znikł bez śladu. Ogarnęła go radość, jakby otrzymał nagle jakiś kosztowny, wspaniały dar.

Nie myślał w tej chwili o tym, że czeka go jeszcze niemiła rozprawa z Teodorem. Odegnał z duszy wszystkie przykre, bolesne myśli. Odczuwał ogromną, niepojętą radość życia, która wywołała w jego sercu podniosły nastrój.

Nie poszedł za Brytą, lecz pozostał na swym miejscu tak długo, póki nie powróciła. Przebiegła obok niego spłoniona, obrzucając jego twarz przelotnym spojrzeniem. Przypomniała sobie, że nie podziękowała mu za pomoc, lecz zabrakło jej odwagi. Lękała się jego wzroku, lękała się samej siebie. Wydawało się jej, że traci grunt pod nogami.

Herbert ruszył powoli za Brytą, czuwając nad nią z oddali tak długo, póki nie znalazła się wśród reszty towarzystwa. Wtedy dopiero zawrócił w przeciwną stronę.

Zbliżając się do grupy pań i panów, spotkał na drodze Teodora, który zbliżył się doń z drwiącym uśmiechem:

- No i cóż? Czyż powiodło ci się lepiej, niż mnie? – spytał cynicznie.
- Zamilknij, bo cię zabiję! Nie ręczę za siebie! – krzyknął Herbert w najwyższym uniesieniu.
- Po co urządzać dramat? Ta mała nie warta takiego zachodu...
- Wstydź się – rzekł Herbert głosem pełnym wyrzutu.
- Nie widzę powodu do wstydu. Nie jestem przecież smarkaczem – odparł Teo.

Herbert odwrócił się w milczeniu. Spostrzegł, że Teo był mocno podchmielony. Odszukał swego stryja i rzekł:

- Powinieneś zająć się Teodorem, stryjasku! Trzeba go wykurować wodą sodową! Jeżeli nie przestanie pić, to wstawi się zupełnie i nie będzie mógł brać udziału w tańcach.

Stary prawnik obejrzał się za porucznikiem.

- Upał okropny, nic dziwnego, że chłopak ma pragnienie. Nie bierz mu tego za złe – rzekł do Herberta.
- Tak, stryju, lecz mimo to weź go pod swoje opiekuńcze skrzydła. Znajdujemy się w towarzystwie pań...
- Masz słuszność, mój chłopcze. A gdzież on siedzi, ten bałamut? Aha, rozmawia z panem Michelsem. Trzeba będzie go zabrać stamtąd...

I pan Frensen zbliżył się nieznacznie do porucznika, a kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

- Zaprowadź mnie do namiotu z wodą sodową. Gorąco mi po tym winie...

Teo czuł się jak niepyszny po scenie w parku. Nie tracił jednak nadziei, że prędzej czy później zdobędzie serce Bryty. Postanowił prosić ją o przebaczenie i wytłumaczyć jej, że tylko gorąca miłość wywołała ten wybuch namiętności. Wiedział, że Bryta nie ulegnie tak łatwo jak inne, lecz to podsycalo tylko jego pożądanie. A przy tym uważał Herberta za współzawodnika i postanowił wysadzić go z siodła. Zapewne kuzyn od-

grywał teraz rolę szlachetnego rycerza i obrońcy uciśnionej niewinności... Cóż z tego? Teraz Teo tym bardziej postanowił nie dawać za wygraną.

Tymczasem w parku pociemniało. Orkiestra grała fragmenty z najnowszej operetki. Nagle rozbrzysły wszystkie barwne latarki i lampiony. Rozbrzmiała głośna fanfara. Był to znak, że za chwilę rozpoczną się fajerwerki.

Teo usiłował uwolnić się od państwa Habermann, pana Michelsa i jego małżonki. To mu się jednak nie udawało, gdyż pani Zuzanna, korzystając z półmroku, przytuliła się mocno do ramienia młodego porucznika.

Bryta stała tymczasem obok pani Klaudyny i doktorowej Frensen. Herbert przekonał się z zadowoleniem, że znajduje się, ona pod dobrą opieką. Od chwili, gdy się rozstali, nie zamienił z nią ani słowa. Pragnął, żeby się zupełnie uspokoiła i odzyskała równowagę. Podczas fajerwerków wybrał sobie jednak miejsce tuż koło Bryty i bacznie obserwował twarz młodej dziewczyny.

Wreszcie wystrzeliły w górę pierwsze rakiety, rozsypując się na granatowym niebie w deszcz gwiazd. Oczy Bryty zaślniły. Z zachwytem chłonęła w siebie to nieznane jej widowisko. Od czasu do czasu z jej ust zrywał się okrzyk radości, który zagłuszał zgiełk innych głosów. Herbert jednak słyszał wszystko i z uśmiechem przypatrywał się Brycie. Trzeba przyznać, że młodzieniec w ogóle niewielką uwagę zwracał na fajerwerki. Nie spuszczał oczu z twarzy młodej dziewczyny, która zdawała się go zajmować bardziej, niż wszystko wokoło.

Bryta doznawała wrażenia, że znalazła się nagle w krainie baśni. Mimo to nie przestawała myśleć o scenie w parku. Drżała jeszcze z oburzenia, myśląc o postępowaniu Teodora. Nad tym uczuciem jednak brała górę ogromna radość, że Herbert tak rycersko ujął się za nią. Zastanawiała się teraz nad tym, jak młody człowiek zachowa się wobec niej w przyszłości.

Nigdy jeszcze nie przywiązywała tak wielkiej wagi do tego, jakie będzie zachowanie mężczyzny w stosunku do niej. Zależało jej na Herbercie, a jednocześnie starała się zwalczyć uczucie kielkujące w sercu. Broniła się przed nim, będąc z góry przekonana, że ta miłość przyniesie jej jedynie ból i cierpienia. Bryta znała życie i wiedziała, że ubogie, samotne

dziewczeta nie powinny się łudzić nadzieją szczęścia. Była przeświadczona, że doktor Frensen nigdy nie poprosi o jej rękę...

Wokoło panował zgiełk i gwar, słychać było śmiechy i wykrzykniki. Wybuchaly rakiety, rozjaśniając deszczem iskier park, tonący w zmierzchu ciepłego letniego wieczoru. A niewidzialny Kupidyn wymierzał tymczasem swoje celne strzały do dwóch młodych serc.

Po skończonych fajerwerkach całe towarzystwo udało się do domu na kolację. Brycie wyznaczono miejsce wśród młodzieży, na końcu stołu. Sąsiadem jej był adwokat Haller, młody, bardzo miły człowiek, który często bywał gościem pani Klaudyny. Bryta znała go dobrze i nieraz z nim rozmawiała. Wiedziała też o tym, że wkrótce odbędą się jego zaręczyny z pewną panią, która mieszkała w innym mieście. Dziewczyna rada była z tego sąsiedztwa i wesoło, swobodnie gawędziła z panem Hallerem.

Tylko dwie pary oczu, spoglądające na nią z drugiej strony stołu, mąciły jej spokój, wytrącając ją z równowagi. Jedna z nich należała do porucznika Frensena, który rzucał Brycie błagalne spojrzenia, wywołując na jej licach łunę rumieńca. Jeszcze większe zmieszanie ogarniało jednak Brytę, gdy patrzyła przelotnie w szare oczy Herberta, w których malowało się uczucie gorącej sympatii. Dziewczyna czerwieniła się co chwila, wyglądając jeszcze piękniej niż zazwyczaj.

Pani Klaudyna słyszała tego wieczoru wiele pochlebnych zdań o swojej towarzysze. Nie szczędzono jej komplementów, zwłaszcza, gdy goście spostrzegli, że ich słowa sprawiają wielką przyjemność pani domu.

Młodzież ucieszyła się, gdy dano hasło do powstania od stołu. Wszyscy rozproszyli się po pokojach, tarasie i parku. Służba uprzątała tymczasem salę, w której miały się wkrótce rozpocząć tańce. Gdy nareszcie zabrzmiały pierwsze dźwięki muzyki, wszyscy młodzi ludzie tłumnie stawili się w sali.

Pani Klaudyna w towarzystwie kilku starszych pań zasiadła przy kominku w przyległym salonie. Bryta zajęła miejsce obok niej. Pani Steinbrecht powiedziała życzliwie do dziewczyny:

- Tu nie twoje miejsce, drogie dziecko. Idź do sali, gdzie tańczą.
- Niech pani pozwoli, żebym została tutaj – szepnęła Bryta zmieszana.

Pani Klaudyna zwróciła się z uśmiechem do pani Frensen:

– Czy słyszała pani doktorowa coś podobnego? Ta młoda panienka nie chce tańczyć... ,

– O, to zapewne poczucie obowiązku! Panna Bryta z pewnością weźmie udział w tańcach i czeka tylko na pani pozwolenie. A może nie lubisz tańczyć, dziecinko? – pytała doktorowa.

– Bardzo lubię, proszę pani, lecz nie chciałabym wprowadzać żadnego z panów w kłopotliwe położenie. Nie zapominam o tym, jakie stanowisko zajmuję w tym domu...

– Jesteś niemądra, drogie dziecko. Założę się, że wszyscy panowie nie mogą się doczekać chwili, żeby zatańczyć z tak uroczą istotą. Młodzi i starzy wypatrują sobie oczy za panią...

– Ma pani słuszość – potwierdziła pani Klaudyna.

– Nie chciałabym jednak zaniedbywać moich obowiązków.

– Zastąpisz mnie w sali tanecznej, dziecinko, a ja będę wówczas mogła swobodnie pogawędzić z panią doktorową. Tancerzek jest mniej niż tancerzy. Idź, wyreż mnie!

Bryta pocałowała w rękę panią Steinbrecht i przeszła pełna wahania, do sali. Jej wrodzona duma cierpiała dotkliwie. Dziewczyna obawiała się, że będzie musiała wyczekiwać, aż któryś z panów, wiedziony uczuciem litości, zaprosi ją do tańca. Znoszono przecież jej obecność jedynie przez wzgląd na panią Steinbrecht. To właśnie dała jej do zrozumienia „milutka” pani radczyni Habermann. Bryta nie zdążyła jednak przestąpić jeszcze progu sali, gdy już zbliżył się do niej adwokat Haller.

– Szukałem pani wszędzie – powiedział – byłem pani sąsiadem przy stole, więc ten taniec należy do mnie.

I objąwszy ją ramieniem, wmieszał się w tłum par. Haller tańczył znakomicie. Bryta nabrała nagle ochoty do tańca. Wiele osób śledziło z zachwytem jej wdzięczną postać. Gdy Haller jej podziękował, stanął przed nią natychmiast kapitan Görger, prosząc o następnego walca. Tańcząc z kapitanem, Bryta zauważyła z daleka Herberta, który stał w głębi sali, oparty o kolumnę. Oczy obydwójga spotkały się, a Bryta zapłonila się jak różyczka.

W chwilę potem zawirowała obok niej dorodna para. Był to Teo, który tańczył z Zuzanną. Spostrzegłszy Brytę, rzucił jej ogniste spojrzenie. Dziewczyna odwróciła się z niechęcią i westchnęła.

Kapitan Görger, przypuszczając, że Bryta się zmęczyła, przerwał taniec. Zaczął się przechadzać ze swoją tancerką po sali, prowadząc z ożywieniem zajmującą rozmowę. Gdy muzyka znowu zagrała – tym razem był to walc „Nietoperza” – zbliżył się nagle do Bryty porucznik Frensen i składając przed nią ukłon, poprosił ją do tańca. Zbyt późno zauważyła jego manewr, toteż nie zdążyła się oddalić, a przecież nie mogła mu po prostu odmówić.

Zaskoczyła ją bezczelność Teodora. Przeraziła się, gdy skłonił się przed nią, zapraszając ją do walca. Zanim jednak zdążyła mu odpowiedzieć, posłyszała nagle dźwięczny spokojny głos:

– Spóźniłeś się, Teo. Panna Bryta mnie obiecała ten taniec.

Bryta obejrzała się. Obok niej stał Herbert Frensen. Teo obrzucił go wściekłym spojrzeniem, Herbert jednak nie zwrócił na to uwagi, podał Brycie ramię i wmieszał się z nią w tłum tancerzy.

– Spodziewam się, że pani wybaczy moją samowolę. Poznałem jednak od razu, że taniec z moim kuzynem sprawiłby pani przykrość.

We wzroku Bryty odmalowała się trwoga.

– Wiem, że uczynił to pan w najlepszych zamiarach i... serdecznie panu dziękuję... Nie chciałabym jednak, żeby się pan poróżnił z kuzynem z mego powodu. Jeżeli pan porucznik zaprosi mnie do następnego tańca, to przecież będę musiała przystać na to. Nie chciałam w ogóle brać udziału w tańcach, uczyniłam to jedynie na życzenie pani Klaudyny.

Herbert zmarszczył gniewnie czoło, a oczy jego groźnie zabłysły.

– Zabronię memu kuzynowi tańczyć z panią – rzekł stanowczo.

Bryta przelekła się.

– Niech pan tego nie robi, panie doktorze. Obawiam się, że dojdzie do skandalu. Pragnę za wszelką cenę uniknąć tego, bo mogłabym w tym wypadku stracić posadę...

Serce młodzieńca zabiło głośno, gdy spojrział w oczy Bryty, pełne gorącej prośby. Jakież wymowne, wyraziste oczy posiadała ta dziewczyna! Jej cudne rysy świadczyły o pięknym, szlachetnym sercu. Herbert nie

pojmował w tej chwili, że mógł kiedykolwiek wątpić w jej czystość i niewinność.

- Załatwię całą sprawę tak dyskretnie, że nikt nie dowie się o niej. Ja sam przecież pragnę oszczędzić pani wszelkich przykrości. Mój kuzyn jest bardzo lekkomyślny, lecz... Mniejsza o to! W każdym razie zastosuje się on z pewnością do mego życzenia. Postaram się go spokojnie przekonać, że mam słuszność.

Bryta westchnęła skrycie.

- Obawiam się, że może dojść do sprzeczki między panami. Pragnę tego uniknąć za wszelką cenę. Wolę już w ostateczności zatańczyć z pańskim kuzynem...

- Ale ja tego nie zniosę... Nie życzę sobie, żeby raz jeszcze dotknął pani - zawołał wzburzony młodzieniec.

Bryta drgnęła i zbladła. Herbert zauważywszy to, opanował się i spokojnie ciągnął dalej.

- Zabronię mu zbliżać się do pani i wiem, że będzie się odtąd zachowywał poprawnie. Lęka się pani, że nasza przyjaźń zostanie przerwana, lecz obawy te są nieuzasadnione. Już od wielu lat nasz stosunek jest chłodny i obojętny. Jeżeli łączą nas dotąd jakieś pozorne więzy, to tylko przez wzgląd na ciocię i stryja, którym mamy wiele do zawdzięczenia. Uważam jednak, że poświęcamy zbyt dużo czasu na rozmowę. Uczynimy lepiej, tańcząc tego pięknego walca. Wprawdzie przywłaszczyłem go sobie bezprawnie, lecz nie zmniejszy to bynajmniej mojej przyjemności.

Zawirowali w tańcu. Brytę ogarnęło jakieś nieznane, dziwnie błogie uczucie. Serce jej biło niespokojnie, puls uderzał w przyśpieszonym tempie. Miała ochotę śmiać się i płakać zarazem. Oczy jej przesłoniła różowa mgła. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. W świadomości dziewczyny żyło tylko jedno pragnienie:

- Oby ten taniec nie skończył się nigdy...

Herbert Frensen podczas tego walca stracił także zwykły spokój. Czuł się niewypowiedzianie szczęśliwy. Biała, wiotka postać, którą otaczał ramieniem, wydawała mu się wcieleniem jego ideału. Pod wpływem na-

głego impulsu przeszkodził Teodorowi, gdy ten poprosił Brytę do tańca. Uważał, że Teo swoją propozycją znowu ubliża Brycie.

Gdy przebrzmiały dźwięki walca, młodzi ludzie spojrzeli na siebie, jakby budząc się z jakiegoś cudownego snu. Oczy ich gorzały wewnętrznym blaskiem, twarze pałały, przez chwilę nie spuszczały z siebie wzroku. Wreszcie ocknęli się z zadumy, po czym Herbert odprowadził na miejsce swoją tancerkę. Młodzieniec podziękował Brycie za taniec, po czym odszedł. Zbliżając się do tarasu, spotkał swego kuzyna, który rzucił mu wściekłe spojrzenie.

XII

- Chodź ze mną, pragnę ci powiedzieć słówko - rzekł Herbert, wychodząc wraz z kuzynem na taras, gdzie w tej chwili nie było nikogo.

- Czego chcesz ode mnie? - spytał szorstko Teodor, patrząc wyzywająco na kuzyna.

- Zaraz ci to powiem. Proszę cię usilnie, żebyś nie prosił panny Lossen do tańca.

Teo roześmiał się szyderczo.

- Jakim prawem wtrącasz się do moich spraw? Dlaczegoś mi przedtem przeszkodził? Sprawa ta mogła obchodzić jedynie mnie i pannę Lossen.

- Nie - odparł spokojnie Herbert - sprawa ta obeszłaby każdego człowieka honoru, który nie stracił jeszcze szacunku dla kobiet. Żaden gentleman nie potrafiłby spokojnie patrzeć na to, jak ktoś zaczepia brutalnie bezbronną dziewczynę.

- Strzeż się! Gotów jestem zapomnieć o tym, że jesteś moim kuzynem.

- Ja jednak o tym pamiętam i dlatego panuję nad sobą. Gdybym zastał innego w podobnej sytuacji, byłbym go powalił na ziemię.

Teo roześmiał się z ironią.

- Po co tyle wzniosłych słów? Przyznaj, że zakochałeś się w tej dziewczynie i że chcesz mi przeszkodzić w jej posiadaniu.

- Posiadaniu? Czy masz zamiar poślubić tę panienkę? Trzeba przyznać, że obrałeś sobie dziwny sposób konkurów. Nikt nie ubliża kobiecie, która ma nosić jego nazwisko.

Teo spojrział na niego zdumiony, po czym wybuchnął głośnym, cynicznym śmiechem.

- Ożenić się z nią? Tyś chyba oszalał! Któż się żeni z panną do towarzystwa!

- Tym bardziej nie należy jej prześladować niepożądanymi miłosnymi wyznaniemami...

- Skąd wiesz, że były niepożądane?

- Opór jej był zbyt jawny...

- Ba! Z początku wszystkie się droczą... Gdybyś mi nie przeszkodził, osiągnąłbym już swój cel...

- Wątpię. Panna Lossen nie należy do tej kategorii kobiet, z jakimi ty miałeś dotychczas do czynienia.

Teo wzruszył ramionami.

- Nie znasz się na kobietkach!

- Nie, na kobietkach się nie znam! Znam jednak lepiej od ciebie kobietę, dlatego też nie straciłem jeszcze szacunku dla czystych, niewinnych dziewcząt.

- Phi! Jakiś ty cnotliwy! Szkoda czasu na takie gadanie! Daj mi wreszcie święty spokój.

- Odejdę stąd natychmiast, jeżeli mi dasz słowo honoru, że nie poprosisz panny Lossen do tańca i że w przyszłości przestaniesz się do niej zalecać.

- Mam ci dać słowo honoru? Ani mi się śni!

- A jednak dasz mi to słowo! Proszę cię bardzo, Teo...

- Aha, teraz mnie już prosisz.

- Nie chciałbym cię do tego zmuszać...

- Mnie zmusić? Ciekawe w jaki sposób? Nie mam zamiaru dawać ci tej obietnicy. Zadurzyłem się po uszy w tej małej i potrafię oswoić tę dziką ptaszynę.

- Milcz! - wybuchnął Herbert. - Zabraniam ci wyrażać się o niej takim tonem.

Teo zmrużył oczy w beczelnym uśmiechu.

– Hm! hm. Więc jednak zakochany...

Herbert zacisnął pięści, żyły nabrzmiały mu na czole. Z trudem panował nad sobą.

– Nie mam potrzeby tłumaczyć się przed nikim.

– To zbyteczne! Mam zamiar współzawodniczyć z tobą o jej względy.

Nie ulęknię się walki – odparł Teo.

– Gdybyś miał uczciwe zamiary, obeszłoby się bez walki. Powinieneś, choćby przez szacunek dla pani Steinbrecht, zachowywać się przyzwoicie w tym domu.

– Jak skończę sto lat, będziesz mnie mógł straszyć starymi babami.

– Wstydz się!

– Daj mi spokój!

– Daj mi słowo honoru, że...

– Nie!

– Proszę cię o to po raz ostatni!

– Nie!

Herbert wyprostował się nagłym ruchem i oświadczył ostro:

– Jeżeli nie dasz mi słowa honoru, to puszcze w obieg weksel, który za ciebie wykupiłem przed rokiem.

Twarz Teodora pokryła się śmiertelną bladością. Z wrodzoną sobie lekkomyślnością od dawna już zapomniał o tym wekslu. Przegrał w karty trzy tysiące marek, a chcąc w terminie pokryć dług honorowy, wystawił weksel, opatrzony podpisem swego stryja. Spodziewał się, że zdoła go wykupić przed terminem płatności, lecz nie udało mu się otrzymać pieniędzy. Wtedy zwierzył się Herbertowi, który wystarał się o potrzebną sumę i wykupił weksel. Sam znajdował się w ciężkich warunkach i poniósł niejedną ofiarę, żeby spłacić małymi ratami dług. Nigdy nie wspominał o tym Teodorowi, nigdy nie prosił go o zwrot pieniędzy. W milczeniu schował sfalszowany weksel do portfela, a Teo podziękował mu i uważał, że sprawa jest załatwiona, tym bardziej, że Herbert nieraz pomagał mu, gdy znajdował się w opałach.

Od czasu owej sprawy, Herbert ochłódł znacznie w stosunku do kuzyna. Teo jednak nie przywiązywał do tego wagi, gdyż nigdy nie żywił

sympatii do Herberta. Był przekonany, że Herbert już dawno zniszczył nieszczęsny dokument, a tymczasem kuzyn używał go teraz jako broni przeciw niemu.

Otarł chusteczką pot z czoła, pytając:

- Więc posiadasz jeszcze ten weksel?

- Tak, przecież go jeszcze nie wykupiłeś. Zapłaciłem za ciebie trzy tysiące marek - odparł chłodno Herbert.

- Cicho! Jeszcze ktoś usłyszy! - szepnął Teo, mocno zaniepokojony.

- Jesteśmy sami! Wybieraj...

- Boże drogi, widzę, że ci ogromnie zależy na tej dziewczynie, jeżeli każesz mi teraz pokutować za jeden lekkomyślny krok...

- Nie miałem innego wyjścia. Czy dajesz mi słowo honoru?

Teo tupnął nogą, jak uparty, krnąbrny chłopak.

- Nie pozostaje mi nic innego, kładziesz mi nóż na gardle. Nie mogę powiedzieć, żebyś postępował szlachetnie w stosunku do mnie. Tłumaczę to jedynie okolicznością, żeś się zadurzył w tej dziewczynie...

- Nie zadurzyłem się... Mam dla niej zbyt wiele szacunku...

Teo wykrzywił usta cynicznym grymasem.

- Może się z nią ożenisz? O ile cię znam, gotów jesteś popełnić to szaleństwo...

- Nie popełnię tego szaleństwa, gdyż na razie nie mógłbym zapewnić bytu mojej żonie. Nie jestem tak lekkomyślny, żeby się żenić, nie mając środków utrzymania.

- W tym, wypadku można ci jedynie powinszować, że nie jesteś lekkomyślny. Zmarnowałbyś sobie życie, żeniąc się z dziewczyną biedną jak mysz kościelna.

- Skończmy tę rozmowę. Czy dajesz mi słowo honoru?

- Tak!

- Dobrze.

Herbert odwrócił się i zapalając papierosa, udał się powoli do parku, który wciąż jeszcze był rześkie oświetlony. Teo przez kilka chwil śledził go wzrokiem, w którym malowała się głucha nienawiść. Gdy pomyślał o tym, że został tym razem pokonany, w sercu jego zbudził się gniew i chęć odwetu.

- Nie daruję ci tego, jeszcze się porachujemy, świętoszku! - syknął przez zęby.

Potem odwrócił się i poszedł do sali baletowej.

Herbert nie czuł się na siłach, żeby wmieszać się w grono tańczących. Było mu bardzo przykro, że musiał przypomnieć kuzynowi o wekslu. Nigdy nie zrobiłby tego, gdyby nie okoliczność, która go zmusiła. Nie potrafił jednak znaleźć innego środka, żeby uwolnić Brytę od natarczywości Teodora.

Podczas niemiłej rozmowy z kuzynem zaczął sobie jasno zdawać sprawę ze swoich uczuć. Uświadomił sobie, że kocha Brytę i z rozkoszą poddawał się urokowi tej miłości. Na razie nie mógł jeszcze starać się o rękę ukochanej dziewczyny, gdyż nie posiadał odpowiednich środków. Przypuszczał jednak, że wkrótce otrzyma lepsze stanowisko, miał wszelkie dane, iż w najbliższym czasie awansuje na kierownika laboratorium. Na razie trzeba się było uzbroić w cierpliwość.

A może uda mu się wbrew przypuszczeniu prędzej osiągnąć cel? Jakże byłby szczęśliwy, gdyby Bryta Lossen zechciała podzielić jego skromny los. Ach, jak rozkosznie byłoby kochać i posiadać świadomość tej miłości!

Ocknął się z błogiej zadumy, ogarnięty uczuciem nagłej tęsknoty za Brytą. Rzucił niedopałek papierosa i powrócił znowu do sali tanecznej. Zaraz na progu spotkał ukochaną. Dziewczyna zauważyła, że obaj kuzynowie wyszli na taras i że Teo po chwili powrócił sam. Gdy porucznik przechodził obok niej, nie zwrócił się do niej ani jednym słowem, choć była sama. Nie rzucił też, jak zazwyczaj, płomiennego spojrzenia w jej stronę. Ze sposobu jego zachowania Bryta się domyśliła, że musiała mieć miejsce decydująca rozmowa między kuzynami. Doznała nagle uczucia niewytłumaczonego lęku i dopiero, ujrawszy Herberta, odetchnęła z ulgą. Spozrzegłszy go, podniosła na niego oczy, w których malowało się pełne trwogi pytanie.

Uśmiechnął się, pragnąc ją uspokoić i odezwał się półgłosem:

- Wszystko w porządku, proszę pani. Mój kuzyn przestanie się narzucać pani, a ja w jego imieniu proszę o przebaczenie.

Bryta spojrzała badawczo na Herberta.

- Czy naprawdę nie miał pan żadnych przykrości? Byłabym niepokieszona, gdyby pana spotkała jakaś nieprzyjemność z mego powodu...

- Nie, zapewniam panią. Nie dojdzie ani do przelewu krwi ani do skandalu. Sprawa została załatwiona zupełnie spokojnie. Proszę się nie martwić, mój kuzyn już nigdy nie zaczepi pani. Żałuje bardzo, że się zapomniał do tego stopnia.

Oczy Bryty zabłysły radośnie.

- Dziękuję panu, och, dziękuję panu bardzo! - zawołała z uczuciem, a ponieważ oczy jej napełniły się łzami, przeto odwróciła się szybko i zniknęła za progiem.

Przez jakiś czas śledził ją wzrokiem, myśląc przy tym:

- Och, ty słodkie, urocze stworzenie! Jakże byłbym szczęśliwy, gdyby mi się udało ciebie zdobyć.

W ciągu wieczoru mieli jeszcze kilka razy sposobność zetknąć się bliżej. Bryta bez przerwy tańczyła, wszyscy panowie dobijali się o taniec z piękną dziewczyną. Pod koniec balu Herbert również zaprosił ją do walca. Rozmawiali ze sobą jednak o sprawach ogólnych. Aczkolwiek Herbert był zakochany do szaleństwa, to przecież potrafił panować nad sobą. Nie należał do ludzi, którzy wszystko czynią pod wpływem pierwszego porwy.

Uroczystość skończyła się późno w nocy. Goście rozchodzili się powoli, wyrażając żal, że minęły tak prędko rozkoszne godziny. Obaj kuzyni również pożegnali panią domu. Teo skłonił się sztywno i oficjalnie przed Brytą. Herbert natomiast mocno i serdecznie uścisnął jej rączkę.

- Czyś przestała się martwić? Czy uspokoiłaś się? - zdawały się pytać jego oczy.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego, pełna wdzięczności.

Pani Steinbrecht, która stała obok swej towarzyszki, zauważyła to milczące pożegnanie. Jej ciemne oczy spoczęły badawczo na młodej parze. Gdy wstępowała na schody, wsparta na ramieniu Bryty, twarz jej opromieniał wyraz niezwyklej słodyczy.

Kiedy obie panie zatrzymały się przed drzwiami, prowadzącymi do pokoju pani Klaudyny, Bryta zapytała, czy będzie jeszcze potrzebna. Pani

Klaudyna ujęła jej głowę w obie ręce i serdecznie pocałowała dziewczynę w czoło.

- Czy dobrze się bawiłaś, Bryto? - zapytała.

- Ach, tak! Było cudownie! Nigdy w życiu jeszcze nie spędziłam równie pięknego wieczoru.

- To doskonale! A teraz chodźmy spać! Dobranoc, dziecinko!

Bryta ucałowała jej ręce.

- Dobranoc, pani! Dziękuję serdecznie za tyle dobroci...

- Nie dziękuj mi, dziecko. Postaraj się mnie pokochać choć troszeczkę - szepnęła pani Klaudyna i zniknęła w swoim pokoju.

Bryta jeszcze przez chwilę stała przed drzwiami.

- Pokochać? Ach, ja cię przecież tak bardzo kocham, ty szlachetna, dobra kobieto - rzekła do siebie, idąc na górę do swego pokoju.

Gdy znalazła się sama, nie zapaliła światła, lecz stanęła przy oknie, wodząc rozmarzonym wzrokiem po niebie, lśniącym od gwiazd. Myślała przy tym o Herbercie Frensenie. Ogarnął ją przy tym ogromny smutek.

- Nie wolno mi się zapomnieć - dumiała - nie sążone mi tak wielkie szczęście! O Boże, dopomóż mi, żebym nie cierpiała zbyt wiele! Kocham go, bezgranicznie kocham...Przecież to nie grzech, wielki Boże! Nie pragnę niczego, chcę go tylko niekiedy spotykać... On jest taki szlachetny, taki rycerski... Spraw Panie, żebym potrafiła panować nad moją miłością...

XIII

W kilka dni po balu, pani Steinbrecht wraz z Brytą wyjechały na sześć tygodni nad morze. Przed wyjazdem odbyło się u pani Klaudyny jeszcze jedno sobotnie przyjęcie. Dnia tego Teo Frensen nie przyszedł, tłumacząc się, że został zaproszony do znajomych. Nikt nie odczuwał jego braku, oprócz jednej tylko pani Zuzanny Michels.

Herbert pozornie poświęcał Brycie mało uwagi, nie chcąc dziewczyny narażać na obmowę. Udało mu się jednak niepostrzeżenie zamienić z nią kilka ciepłych słów. Młodzieniec cieszył się, że Bryta okazywała mu

wielkie zaufanie, rozmawiając z nim jak z dobrym przyjacielem, którego wierność zdołała wypróbować.

Nikt nie domyślał się, co się działo w sercach obydwójga młodych ludzi. Zauważyła to jedynie pani Klaudyna, zdawała się jednak nie mieć nic przeciwko temu.

Nazajutrz pani Steinbrecht wyjechała na kilka tygodni. Obie panie zatrzymały się w Berlinie, gdyż pani Klaudyna miała tu do załatwienia rozmaite sprawunki.

Pewnego wieczoru, gdy były w teatrze na operze, spotkały w szatni dwóch panów, którzy rzuciwszy okiem na Brytę, zatrzymali się zdumieni. Jeden z nich, młody oficer, zdawał się sobie przypominać piękną dziewczynę. Gdy towarzysz jego uklonił się jej, on również złożył jej ukłon.

Bryta chłodno skinęła głową.

- Do diabła, powiedz mi mój drogi, kto to była ta elegancka dziewczyna? - spytał oficer, wchodząc na widownię.

Jego towarzysz uśmiechnął się sarkastycznie.

- Nie unoś się, była to tylko panna do towarzystwa mojej ciotki, generałowej Feldheim...

- Byłbym przysiągł, że to kobieta z naszej sfery! Jest wyjątkowo piękna i dystygowana...

Panowie odwrócili się, żeby raz jeszcze zobaczyć Brytę.

- Czy to twoi znajomi? - spytała pani Klaudyna.

Dziewczyna westchnęła i uśmiechnęła się smutno.

- Jeden z nich jest siostrzeńcem pani Feldheim - odparła.

- Ma bardzo nieprzyjemną fizjonomię.

- Charakter jego jest znacznie gorszy niż wygląd - oświadczyła Bryta.

- Biedne dziecko! W twoim położeniu musiałas zapewne mieć wiele przykrych doświadczeń z mężczyznami.

- Niestety, ubogie dziewczęta muszą sobie same radzić w życiu! Mężczyźni uważają nas za rodzaj zwierzyny, na którą każdemu wolno polować. Nikt nie czuwa nad nami, jesteśmy bezbronni...

- Przestań myśleć o tym, drogie dziecko! Znajdujesz się teraz pod moją opieką.

Bryta spojrzała na nią z wdzięcznością.

- Jaka pani dobra! - rzekła.

Nazajutrz obie panie pojechały nad morze. Bryta miała po raz pierwszy sposobność poznać życie w wielkiej miejscowości kąpielowej. Najbardziej podobały się jej kąpiele. Pływała doskonale i czuła się w wodzie, jak w swoim żywiole.

Kto nie znał obu pań, ten sądził, że to matka i córka. Stosunek pani Klaudyny i Bryty stawał się coraz serdeczniejszy. Pani Klaudyna psuła Brytę, starała się jej pod każdym względem dogadzać, a dziewczyna odpłacała jej najtkliwszym przywiązaniem. Wyzbywała się zupełnie obawy przed swoją chlebodawczynią, pokochała jak matkę, tę zacną kobietę, która dawała jej tyle dowodów dobroci. Pani Klaudyna zmieniła się zupełnie, od czasu gdy Bryta przebywała u jej boku. Życie jej nabrało treści. Cieszyła się ze swego bogactwa, gdyż dawało jej ono możliwość uprzyjemnienia życia swej ulubienicy.

Bryta miała wielką ochotę wybrać się na wycieczkę żaglówką, pani Klaudyna jednak nie znosiła jazdy morzem. Pewnego dnia grono pań i panów, mieszkających w tym samym hotelu, postanowiło urządzić dłuższą przejażdżkę po morzu. Pani Steinbrecht i Bryta zostały również zaproszone.

- Jeżeli masz ochotę na tę wycieczkę, to nie krępuj się mną - oświadczyła pani Klaudyna.

- Nie mogę pani zostawić samej.

- To głupstwo. Jeden dzień prędko minie. Nie będę się z pewnością nudziła. Powiedz tym państwu, że się wybierzesz z nimi...

I rzeczywiście Bryta pojechała nazajutrz na całodzienną wycieczkę. Morze było bardziej wzburzone, niż poprzedniego dnia, lecz nie wzbudzało żadnej obawy.

Pani Klaudyna siedziała na plaży w koszu, spoglądając na fale. Poczuli się nagle dziwnie samotna i opuszczona. Pomyślała, że czułaby się bardzo nieszczęśliwa, gdyby w jej życiu zabrakło nagle Bryty. Postanowiła, że nigdy się z nią nie rozłączy.

Dzień wydawał się jej nieskończenie długi. Gdy po dłuższej przechadzce w lesie powróciła znowu na plażę, spostrzegła, że zanosi się na

burzę. Niebo było pokryte groźnymi chmurami, morze wściekle się pie-
niło.

Po południu zaczęła się okropna nawałnica. Panią Steinbrecht ogar-
nął niepokój i troska. Uzbrojona w lunetę, stanęła wraz z innymi gośćmi
na oszklonej werandzie hotelu, patrząc czy na horyzoncie nie ukaże się
żaglówka, która powinna była powrócić o tej porze.

Jakaś starsza osoba, której syn i córka również pojechali na wy-
cieczkę, płakała głośno przy każdej błyskawicy i grzmocie.

Burza wybuchnęła tak nieoczekiwanie, że rybacy za późno dali znak
do odwrotu. Po plaży biegali inni rybacy w nieprzemakalnych ubiorach.
Dwóch z nich stało na pomoście; obserwowali przez lunety morze, dając
swoim towarzyszom jakieś znaki.

Pani Klaudyna przypatrywała się im z daleka. Była szalenie zdener-
wowana, ciałem jej wstrząsały bezustannie dreszcze.

Nagle wszyscy zebrani ożywili się. Spostrzeżono wreszcie żaglówkę na
horyzoncie. Znajdowała się na pełnym morzu, walcząc z falami, które
podrzucały ją jak łupinkę. Raz po raz ukazywała się na spienionych
bałwanach, aby po chwili znowu zniknąć w głębinie.

Pani Klaudyna nie mogła już dłużej wytrzymać na swoim miejscu.
Denerwowała ją ta bezczynność. W tej chwili dopiero zdała sobie jasno
sprawę, jak bardzo pokochała Brytę.

- Nie zabieraj mi jej, Ojczy Niebieski! Uratuj jedyną istotę, którą
kocham - szeptała bezdźwięcznie. Wreszcie kazała sobie przynieść
płaszcz nieprzemakalny i nie zważając na ulewę, wybiegła z hotelu,
zmierzając na plażę do rybaków.

Zaczęła ich wypytywać lecz otrzymała niejasne odpowiedzi. Pojęła
jednak od razu, że rybacy byli bardzo niespokojni o los żaglówki.

Pani Klaudyna nie spuszczała załzawionych oczu z rozszalałego ży-
wiołu. Usta jej szeptały żarliwie modlitwy. Kilku panów z hotelu poszło za
nią na plażę. Wraz z nimi przybyła również zapłakana matka, która de-
nerwowała całe towarzystwo.

Przez dłuższą chwilę nie widać było żaglówki, zdawało się, że po-
chłonęły ją fale. Pani Klaudyna poczuła bolesny skurcz serca. Ogarnęła
ją bezgraniczna rozpacz.

Ale drobna łupinka wciąż jeszcze walczyła z falami. Rybacy, stojący na brzegu, nie spuszczaali wzroku z żaglówki. Z ich ciemnych, ogorzałych twarzy nie można było wyczytać, czy się obawiają, czy też mają nadzieję, że uda się ocalić łódź i pasażerów. Od czasu do czasu rozdzierał powietrze głuchy ryk grzmotu. Zygzaki błyskawic przecinały niebo. Burza uspokajała się powoli, morze jednak nie przycichło tak szybko. Minęły jeszcze dwie godziny, zanim żaglówka zbliżyła się na taką odległość, że rybacy, stojący na brzegu, mogli jej przybyć z pomocą. Chodziło o to, żeby łódź, podpływając do przystani, nie rozbiła się o pale pomostu. Dlatego też trzeba było cumować w innym miejscu.

Teraz, stojący na wybrzeżu, mogli już rozróżnić z daleka twarze pasażerów. Gdy pani Klaudyna dojrzała bladą twarzyczkę Bryty, oczy jej napełniły się gorącymi łzami.

Rybacy wyruszyli w małych czółenkach na morze, musieli jednak płynąć bardzo ostrożnie aby uniknąć zderzenia z żaglówką. Wreszcie udało im się dotrzeć do celu. Pasażerowie z żaglówki przesiedli się do małych łódeczek.

W ostatniej łódce zajęło miejsce trzech panów i Bryta. Dziewczyna dobrowolnie pozostała do ostatka na żaglówce. Zapłakana matka już od dawna tuliła do siebie swoje dzieci, gdy Bryta wychodziła dopiero z łodzi.

Pani Klaudyna wybiegła jej naprzeciw. Obie kobiety przez kilka sekund patrzyły na siebie w milczeniu, a wreszcie padły sobie w objęcia i gorąco się ucałowały.

Pani Klaudyna przesuwiała drżącymi palcami po mokrych włosach dziewczyny. Chociaż wszyscy uczestnicy wycieczki nosili płaszcze, przemokli jednak do suchej nitki.

Nie mówiąc ani słowa, pani Klaudyna pociągnęła Brytę za sobą, aby mogła jak najprędzej zrzucić mokrą odzież i bieliznę. Na drodze, przystanąła nagle i przytuliła się mocno do Bryty.

– Och, dziecko moje! Gdybyś nie powróciła... – zawołała, drżąc na całym ciele.

Bryta czuła się nieswojo. Była bardzo znużona ostatnimi wypadkami, gdyż łódź z wielkim trudem zdołała dotrzeć do brzegu. Wszyscy pasażerowie, za wyjątkiem Bryty i jeszcze dwóch panów cierpieli na morską

chorobę, zachowując się w ten sposób, że rybacy nie mogli sobie z nimi dać rady.

Pani Klaudyna kazała się Brycie natychmiast położyć do łóżka i napić gorącej herbaty. Dziewczyna z początku opierała się temu, wreszcie jednak uległa. Gdy leżała już w łóżku, pani Klaudyna usiadła przy niej, pojąc ją herbatą, jak troskliwa matka swoje ukochane dziecko. Pokojówka osuszyła włosy Bryty i wyniosła z pokoju przemokłe odzienie.

- Teraz prześpisz się, drogie dziecko. Potrzeba ci koniecznie odpoczynku - mówiła czule pani Klaudyna.

Bryta, leżąc w ciepłym, miękkim łóżku, doznawała niezwykle błogiego uczucia. Przejmowała ją głęboka radość. Cieszyła się, że żyje i zobaczy Herberta Frensena, cieszyła się także, iż dwoje ciemnych oczu kobiecych pochyła się nad nią z bezgraniczną miłością.

Była tak wzruszona, że po policzkach jej stoczyło się kilka wielkich, ciężkich łez...

Pani Klaudyna otarła je delikatnie, pytając przy tym:

- Czy bardzo się bałaś, drogie dziecko?
- Nie, proszę pani. Ta walka żywiołów miała w sobie coś nieskończenie potężnego i wspaniałego. Tylko wszyscy jęczeli i lamentowali, a to było bardzo nieprzyjemne. Łzy moje nie są skutkiem przeżytego niebezpieczeństwa, wywołała je ogromna pani dobroć. Mam wrażenie, jakby niebo zesłało mi kochającą matkę.

Usłyszawszy to, pani Klaudyna serdecznie ucałowała Brytę, po czym wyszła z pokoju, pragnąc, żeby dziewczyna wypoczęła.

Podczas kolacji, w której Bryta oraz wszyscy ocaleni pasażerowie brali udział, toczyła się żywa rozmowa na temat wycieczki i burzy. Panowie jednogłośnie chwalili spokojne zachowanie się Bryty. Była ona jedyną z pośród pań, która ani na chwilę nie straciła odwagi. A gdy pewna młoda panna, wskutek wstrząsu nerwowego, chciała wskoczyć do wody, Bryta zatrzymała ją i starała się uspokoić towarzyszkę niedoli. Gdy matka owej panienki usłyszała tę opowieść, zerwała się z miejsca i serdecznie podziękowała Brycie. Potem zwróciła się do swego syna, pytając, dlaczego właściwie nie zaopiekował się siostrą. Wtedy jednak wszyscy „rozbitkowie” wybuchnęli głośnym śmiechem, spoglądając na zawstydzonego

młodzieńca, który siedział z nieszczęśliwą miną, nie mówiąc ani słowa. Okazało się, że biedak okrutnie cierpiał wskutek morskiej choroby, a gdy siostra jego zamierzała rzucić się do wody, bełkotał na pół przytomny:

– Elu, weź mnie ze sobą!

Teraz, gdy niebezpieczeństwo zostało zażegnane, wszyscy przypomnieli sobie to drobne zajście i śmiali się z owej przygody. W każdym razie Bryta stała się od tego dnia ulubienicą całego hotelu. Podziwiano nie tylko jej piękność, ale również jej odwagę.

Pobyt w miejscowości kąpielowej upłynął obu paniom spokojnie i bardzo przyjemnie. Pani Klaudyna nie pozwoliła jednak Brycie wyruszać na morze.

Pod koniec sierpnia obie panie powróciły do domu. Bryta myślała już z ukrytą radością o pierwszym sobotnim przyjęciu, na którym miała zobaczyć Herberta Frensena.

XIV

Bryta po przyjeździe miała wrażenie, że powraca do rodzinnego domu. Pani Stange wybuchnęła radosnym śmiechem, gdy młoda dziewczyna rzuciła się jej na szyję. Pocziwa staruszka przystroiła kwiatami cały pokój Bryty. Znajomi i przyjaciele pani Klaudyny nadesłali dla pani Steinbrecht wspaniałe kosze i wiązanki kwiecia.

Po kilku dniach zaczęły już ze wszystkich stron napływać zaproszenia. Państwo Michels wydawali elegancką kolację, państwo Frensen prosili „na skromną wieczerę”. Oczywiście, że wszyscy zapraszali również Brytę. Uczyniła to nawet „Habermania”, choć serce jej przy tym krwawiło. Radczyni rewanżowała się swoim znajomym w bardzo skromny sposób za doznaną gościnność. Na początku września urządzała doroczną herbatkę dla pań, w połowie grudnia wyprawiała śniadanie dla panów.

Zaproszeni bardzo niechętnie bywali na tych uroczystych przyjęciach, podczas których panie otrzymywały lekką herbatkę z ciasteczkami, panowie zaś gorące parówki oraz piwo.

Pani radczyni dała Brycie wyraźnie do zrozumienia, że powinna to zaproszenie uważać za wielki zaszczyt i odwdziżyć się za nie, pomagając służącej przy nalewaniu herbaty.

Bryta chętnie przystała na tę propozycję, lecz pani Klaudyna posłyszawszy o tym, zmarszczyła gniewnie czoło. „Habermania” pojęła natychmiast, że pani Steinbrecht czuje się dotknięta.

– O Boże! – pomyślała – co też ta kobieta wyprawia ze swoją panną do towarzystwa. Obchodzi się z nią jak z księżniczką.

Od pierwszej chwili radczyni czuła do Bryty głęboką niechęć, która wzmagala się z każdym dniem. Zazdrościła dziewczynie młodości i urody, zwłaszcza zaś wspaniałych włosów. Nieraz wyrażała przypuszczenie, że kolor włosów Bryty nie może być naturalny. Raz podzieliła się tym spostrzeżeniem z panią Michels.

– To niemożliwe – odparła wówczas pani Zuzia. – Przecież ona ma długie włosy, niepodobna, żeby je farbowała. Taki zabieg byłby niezmiernie kosztowny.

– A jednak włosy są utlenione – upierała się radczyni.

– Można by się o tym przekonać, gdyby kiedyś rozpuściła włosy – zauważyła pani Zuzanna – tlenione włosy nie mają jednolitego koloru.

Pani radczyni postanowiła skorzystać z pierwszej sposobności, żeby zawstydzić Brytę. Dziś właśnie nadarzyła się taka okazja.

– Wie pani – zwróciła się do Bryty – że nie chce nam się wierzyć, aby kolor pani włosów był naturalny. Zapewne pani je farbuje?

Dziewczyna zaczerwieniła się.

– Nie, proszę pani – odparła.

– Chciałabym kiedyś zobaczyć pani włosy rozpuszczone – ciągnęła radczyni.

– To nic nadzwyczajnego, proszę pani – rzekła Bryta z uśmiechem.

– A jednak, moje panie, byłby to dla nas bardzo interesujący widok – zwróciła się „Habermania” do zebranych – zwłaszcza w tych czasach, gdy nikt prawie nie nosi długich włosów...

Bryta zmarszczyła czoło. Uczesanie sprawiało jej zawsze wiele trudu, miała bowiem wyjątkowo długie i gęste włosy. Nie miała ochoty ich rozpuszczać i zaspokajać ciekawości radczyni.

Wtem pani Klaudyna podniosła się z krzesła i patrząc z ironią w złośliwie uśmiechniętą twarz radczyni, rzekła:

– Rozpuść włosy, Bryto, ja ci później pomogę. Pokaż tym paniom, że kolor ich jest zupełnie jednolity i wyklucza wszelkie podejrzenie, iż twoje włosy są farbowane.

To mówiąc, wyciągnęła szpilki z włosów Bryty, po czym rozplotła jeszcze jej długie warkocze. Gdy dziewczyna wstała, włosy opadły do jej stóp, otulając wiotką postać złocistym płaszczem.

– Proszę spojrzeć – rzekła pani Klaudyna do radczyni – żaden fryzjer nie potrafi wydobyć tego odcienia. Czy pozbyła się pani już wszystkich wątpliwości? – dodała z lekką ironią w głosie.

Wszystkie panie wydawały okrzyki zachwytu i podziwu, a radczyni pozieleniała z gniewu.

Doktorowa Frensen ujęła z zachwytem złociste pasmo włosów Bryty i ważąc je w dłoni, powiedziała:

– Posiadasz prawdziwy skarb, dziecinko. Jak to dobrze, że nie ścięłaś włosów.

Tego wieczoru, gdy bratankowie przyszli ją odwiedzić, opowiedziała im oraz swemu mężowi o przyjęciu u państwa Haberman.

Oczywiście, że wspomniała również o „próbie na kolor włosów”, unosząc się przy tym nad pięknnością Bryty.

Teo i Herbert słuchali tego opowiadania z wielką uwagą. Każdy z nich myślał przy tym w odmienny sposób o uroczej dziewczynie.

Teo dotrzymał słowa. Od owej pamiętnej sceny w parku zachowywał się w stosunku do Bryty zupełnie poprawnie, okazując jej chłodną uprzejmość. Nie pokonał jednak dotychczas swojej namiętności. Nie kochał Bryty, gdyż nie był zdolny do głębszych uczuć, wydawała mu się ona jednak wciąż jeszcze godna pożądania, tym bardziej, że była jedyną kobietą, która mu się oparła. Jego miłość własna odniosła bolesną porażkę.

Herbert nie zmienił swego sposobu postępowania. Dziewczyna jednak czuła, że młody człowiek lubi z nią rozmawiać i chętnie przebywa w jej towarzystwie. Zauważyła również, że wzrok jego nieraz spoczywa ukradkiem na jej twarzy, a wówczas w oczach jego odbija się uczucie

gorącej sympatii. Świadomość ta napełniała ją uczuciem ogromnego szczęścia.

Herbert nie opuszczał ani jednego sobotniego przyjęcia u pani Klaudyny. Od pewnego czasu pani Steinbrecht zaczęła go też zapraszać w inne dni. Niekiedy spędzał u niej całe wieczory. Były to niezwykle miłe, błogie godziny. Bryta, jej chlebodawczyni i Herbert rozumieli się bez słów. Podczas tych wieczorów, Bryta śpiewała swoje najpiękniejsze pieśni i grywała na fortepianie.

W pewien słotny wieczór siedzieli znowu wszyscy troje w zacisznym, ciepłym salonie pani Klaudyny. Rozmawiali właśnie o pewnej książce, która się niedawno ukazała, wywołując wiele rozgłosu. Dyskutowali żywo na temat tego dzieła, przy czym okazało się, że mają zupełnie podobne zdania i poglądy. Po chwili pani Klaudyna poprosiła Brytę, żeby przyniosła z biblioteki tę książkę, chciała bowiem przeczytać z niej pewien ustęp na głos.

Herbert śledził rozkochanym wzrokiem wychodzącą dziewczynę. Zamilkł, pogrążony w rozkosznych marzeniach. Gdy wreszcie ocknął się z długiej zadumy i podniósł głowę, oczy jego spotkały się z oczami pani Klaudyny. W spojrzeniu jej malowało się jakby badawcze pytanie.

Herbert pojął natychmiast, o co chodzi pani Steinbrecht. Zaczerwienił się mocno i przyciskając do ust dłoń pani Klaudyny, rzekł głosem, stłumionym ze wzruszenia:

- Tak proszę pani! Winien jestem odpowiedź na to milczące pytanie. Przeczucie nie omyliło pani. Kocham pannę Lossen i mam zamiar prosić o jej rękę. Oczywiście, że stanie się to dopiero wtedy, gdy będę mógł stworzyć mojej żonie odpowiednie warunki.

Pani Steinbrecht uścisnęła dłoń młodzieńca.

- Dziękuję ci za ten dowód zaufania, drogi Herbercie! Jestem przekonana, że serce twoje uczyniło dobry wybór, pragnę jednak, żebyś mi przez jakiś czas jeszcze nie zabierał Bryty. Przywiązałam się do niej serdecznie.

Herbert westchnął z uśmiechem.

- Zmuszony jestem zastosować się do tego życzenia. Nie mogę zakładać ogniska domowego, zanim nie otrzymam awansu. Byłbym już

dawno wyznał moje uczucia pannie Brycie, nie uczynię tego jednak, póki nie zostanę kierownikiem laboratorium. Są wszelkie dane, że uzyskam wkrótce to stanowisko, gdyż doktor Heinicke, który je zajmował dotychczas, ma zamiar przenieść się do innego miasta. Przypuszczam jednak, że minie jeszcze kilka miesięcy, nim ta sprawa zostanie wyjaśniona.

W tej chwili powróciła Bryta, niosąc książkę, toteż na tym urwała się rozmowa.

Bryta i Herbert spotykali się również poza obrębem domu pani Steinbrecht, widywali się u wspólnych znajomych oraz w teatrze.

Pani Klaudyna miała stały abonament do teatru miejskiego. Bryta, ogromna miłośniczka sceny, często korzystała z tej okazji. Obie panie spędzały zazwyczaj większość wolnych wieczorów w teatrze.

Ponieważ loża była na cztery osoby, przeto korzystali z niej często przyjaciele i znajomi pani Klaudyny. Doktor Frensen i jego żona bywali niekiedy w teatrze, najczęściej jednak przychodzili tam Herbert i Teo.

Teo bacznie obserwował Herberta i Brytę, starając się zauważyć jakąś zmianę w postępowaniu kuzyna. Młody porucznik wciąż jeszcze cierpliwie czekał, aż wybije godzina jego zemsty.

Tymczasem minęła jesień. Wspaniały park przystroił się w zimowe szaty. Bryta często przechadzała się po parku, zachwycając się srebrnobiałym przepychem.

Nadszedł wreszcie grudzień... W jeden z mroźnych, pogodnych dni, pani Stange przystąpiła znowu do wielkich przedsięwziętych porządków w willi „Klaudyna”. Wczesnym rankiem wyruszyła na wzgórze w towarzystwie całego zastępu służących.

Bryta i pani Klaudyna, stojąc przy oknie, patrzyły jak odchodziła. Oczy pani Steinbrecht miały smętny wyraz. Westchnęła z cicha. Dotąd jeszcze nie wyjawiała Brycie, że była pierwszą żoną jej ojca.

Zwlekała z dnia na dzień z tym wyznaniem. Wiedziała, że Bryta pokochała ją serdecznie, przyjmując od niej z wdzięcznością wszelkie dowody dobroci. Obawiała się utracić miłość dziewczyny. Jakże wobec niej zachowa się Bryta, dowiedziawszy się, iż ona jest tą właśnie kobietą, która zniszczyła życie ukochanego ojca?

Przywiązała się tak silnie do Bryty, że pragnęła za wszelką cenę zatrzymać ją przy sobie. Czy zostałaby ona w jej domu, gdyby wiedziała, że przebywa u pierwszej żony swego ojca? Dumną, nieugiętą panią Klaudynę trapiły bezustannie wątpliwości. Pragnęła wprawdzie gorąco, aby nareszcie nastąpiła decydująca rozmowa, gdyż spodziewała się, że Bryta odda jej wówczas pamiętnik ojca, z drugiej jednak strony lękała się tej przełomowej chwili.

Po obiedzie pani Klaudyna udała się, jak zwykle, na spoczynek. Bryta korzystając z wolnego czasu, wyszła na spacer do parku. Przechadzała się przez jakiś czas wśród obsypanych śniegiem drzew, po czym zaczęła się wspinać na wzgórze, gdzie stała willa „Klaudyna”.

Bryta nosiła krótką, sportową spódniczkę i obcisły, ciepły żakiecik. Nogi jej tkwiły w wysokich śniegowcach. Spod białej, wełnianej czapeczki wymykały się kosmyki złocistych włosów.

Policzki dziewczyny zaróżowiły się od mrozu, oczy jej błyszczały radośnie. Ach, jakże piękny wydawał się jej świat! Było jej tak wesoło i lekko na duszy, że miała ochotę krzyczeć ze szczęścia! Zwinnym, elastycznym krokiem wstępowała na wzgórze, nie okazując przy tym najlżejszego zmęczenia.

Znalazszy się na szczycie, posłyszała z willi „Klaudyna” jakieś głuchoe odgłosy. Pani Stange i jej pomocnice zajęte były właśnie trzepaniem mebli i dywanów.

Z piosenką na ustach zbliżyła się Bryta do willi. Dziś wszystkie żaluzje były podniesione, a kilka okien otwartych. W jednym z nich ukazała się pocziwa, uśmiechnięta twarz pani Stange.

Bryta uśmiechnęła się do zacnej staruszki

– Może mam przyjść i pomóc? – spytała.

Gospodyni przecząco potrząsnęła głową.

– Obejdzie się bez pomocy, dziecinko! Za dwie godziny będzie wszystko posprzątane.

Bryta rzuciła tęskne spojrzenie przez otwarte okno.

– Ach, jaka szkoda! Zajrzałabym chętnie do tego zaczarowanego domku! Ilekroć spoglądam na tę willę, na zamknięte drzwi i spuszczone żaluzje, tyle razy mam ochotę wejść do wnętrza. Robi ona dziwnie ta-

jemnicze wrażenie. Muszę przyznać, że w mej wyobraźni powstawały już najrozmaitsze nieprawdopodobne historie na temat tej willi...

Pani Stange zaśmiała się serdecznie.

- W takim razie, niech panienka wejdzie na górę. Jest tu wiele pięknych rzeczy, to prawda! Skoro panienka tu przyszła, to proszę skorzystać z okazji. Pani zabroniła wprawdzie wpuszczać tutaj obcych, ale to panienki na pewno nie tyczy...

- Och, jeżeli posługaczki mają tu wstęp, to na pewno i mnie wolno będzie zwiedzić ten pałac śpiącej królowny! Wytłumaczę to pani Steinbrecht i powiem jej, że prosiłam tak długo, aż się pani zgodziła.

- Dobrze, dobrze! Niech panienka wejdzie...

Bryta wbiegła do willi, prosząc panią Stange, żeby ją oprowadzi po całym domu. Było to śliczne, zaciszne gniazdko, stworzone dla młodego, szczęśliwego małżeństwa. Pokoje były kompletnie umeblowane, urządzenie odznaczało się wykwintnym smakiem. Zdradzało ono na każdym kroku rękę artysty.

- Jaka szkoda, że ten prześliczny domek stoi pustkami - zauważyła Bryta - ja na miejscu pani Steinbrecht, spędzałabym w willi letnie miesiące.

Na twarzy pani Stange pojawił się tajemniczy wyraz.

- W tym właśnie sęk, panienko! Tu na górze mieszkała nasza pani ze swoim mężem, gdy była jeszcze bardzo młoda i szczęśliwa. Ostatnio przestała tu przychodzić. Gdybym nie dbała o porządek, to by dom stał zamknięty na wszystkie spusty, a mole zniszczyłyby meble i obicia. Dawniej pani wstępowała tu niekiedy, gdy nadchodziły wielkie skrzynie z obrazami, które wiszą w atelier...

Bryta spojrzała zdumiona na panią Stange.

- W atelier? Więc tutaj jest pracownia malarska?

- A jakże, panienko! Piękna pracownia...

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Ma się rozumieć! Jak sprzątniemy pokoje na parterze, to wejdziemy potem na górę. Ale jeżeli nasza pani nie zapyta panienki, to proszę lepiej nie wspominać, że panienka tu była...

Bryta przycisnęła rękę do serca.

- Ach, biedaczka na pewno kochała ogromnie swego zmarłego męża. Nie może znieść widoku wszystkiego, co jej przypomina szczęśliwą przeszłość... Czy jej mąż już dawno nie żyje?

- To dziwna historia, dziecinko - rzekła półgłosem pani Stange. - Kiedyś tu nastąpiła dwadzieścia lat temu - wtedy krążyły pogłoski, że nasza pani rozwiodła się ze swoim mężem. Mówię to panience w największej tajemnicy. Niech panienka nigdy o tym nie wspomina, bo to rana, która się dotychczas nie zabiłiła. Mnie się zdaje, że to ma jakiś związek z dziwnym usposobieniem naszej pani... Ale teraz chodźmy dalej, panno Bryto...

Dziewczyna westchnęła głęboko. Była dziwnie wzruszona, oczy jej płonęły gorącym blaskiem. Miała wrażenie, że słyszy jakąś historię, którą niegdyś już czytała. Gdy wszystkie pokoje na parterze zostały sprzątnięte, pani Stange zaprowadziła Brytę na pierwsze piętro, do pracowni.

- Kto tutaj malował? - zagadnęła Bryta.

- Nie wiem, panno Bryto. Wisi tam jednak mnóstwo obrazów, które zapewne kupiła nasza pani.

Bryta, drżąc z niecierpliwości, wbiegła szybko na górę.

- O rety, dziecinko! Nie potrafię nadażyć - rzekła ze śmiechem pani Stange, szukając w swoim koszyku, gdyż nie mogła od razu znaleźć klucza od pracowni. Bryta nie posiadała się z ciekawości. Jako córka malarza, interesowała się wszystkim, co tylko miało coś wspólnego z obrazami.

Wiedziała, że i pani Steinbrecht okazywała wielkie zamiłowanie do sztuki. Gdy pokazała jej kiedyś mały, włoski pejzażyk, pędzła swego ojca, zdawało się, że pani Klaudyna nie może się rozstać z tym obrazkiem. Poprosiła nawet Brytę, żeby jej pozwoliła przez kilka dni zatrzymać go w swoim pokoju. Bryta spostrzegłszy, że podobał się tak bardzo chlebowdawczyni, zaproponowała jej, by obrazek stale wisiał na tym miejscu tak długo, póki ona będzie przebywała w domu pani Klaudyny. Pani Steinbrecht podziękowała jej z ogromną radością. Ten drobny wypadek utkwił w pamięci Bryty.

Właściwy klucz został wreszcie znaleziony i wsadzony w zamek. Pani Stange otworzyła drzwi na oścież. Z otwartej pracowni popłynęła smuga światła.

Bryta zmrużyła oczy, oślepiąca ostrym blaskiem. Musiała dopiero przywyknąć do tej jasności.

– Jak tu pięknie! – zawołała po chwili.

Pokój był rzeczywiście duży, jasny i urządzone z niebywałym przepychem. Na posadzce leżały wzorzyste perskie dywany, brokatowe draperie spływały w miękkich fałdach ze ścian.

Bryta, z natury niezmiernie wrażliwa na piękno, rozglądała się z zachwytem wokoło. Zbudziła się w niej córka artysty. Pani Stange patrzyła na nią z uśmiechem.

– Prawda, panienko, jak tu ładnie?

Bryta skinęła głową. Odwróciła się, a wzrok jej spoczął na ścianie, gdzie wisiał cały szereg obrazów. Dziewczyna nagle drgnęła... Pochyliła się całą postacią, zastygła w bezruchu, jakby rażona piorunem... Oczy jej błąkały się od jednego obrazu do drugiego... Zdawało się, że z twarzy jej ucieka cała krew... Wyciągnęła ręce przed siebie, jakby pogrążona w lunatycznym śnie i powoli, automatycznym krokiem, zbliżyła się do ściany... Drżąc na całym ciele, przyglądała się rozwieszonym płótnom... Odnosiło się wrażenie, że pociąga ją jakaś niewidzialna moc, która kieruje jej krokami... Wreszcie doszła do ostatniego obrazu i padając przed nim na kolana, wybuchnęła spazmatycznym płaczem...

Ach, jakże dobrze znała te obrazy! Patrzyła na nie, jak na starych, dobrych przyjaciół. Widziała, jak kolejno powstawały, pamiętała te chwile, gdy ojciec za każdym razem, niezadowolony z własnego dzieła, posyłał je do salonu sztuki. Tak, były to przecież jego obrazy, każdy nosił dziwnie splecione monogramy, w którym litery H i L łączyły się w jedną całość.

Bryta podniosła załzawione oczy. Wszystkie pejzaże zdawały się ją witać, jak dawni, dobrzy znajomi. Każdy obraz miał swoją historię, z każdym łączyło się jakieś wspomnienie. Bryta przypominała sobie, jak ukochany ojciec stawał przed nimi ze zmęczoną, smutną twarzą, wilgotnymi oczami i gorzkim uśmiechem na ustach.

Nie potrafiła w tej chwili zebrać myśli, lecz wzruszona do głębi spoglądała z rozrzewnieniem na obrazy, nie mogąc oderwać od nich wzroku.

Pani Stange przypatrywała się przestraszona młodej dziewczynie.

– O Boże, dziecinko! Co się stało? – spytała wreszcie.

Bryta ocknęła się. Nagła błyskawica rozświetliła jej umysł. Zdawało się, że błyskawica ta przedarła się przez zwartą zasłonę chmur, rozjaśniając ukrytą za nimi tajemnicę.

Tu wisiały obrazy ojca, który przypuszczał, że zostały one sprzedane w Ameryce... A pani Steinbrecht okazywała zawsze tyle zainteresowania wszystkim, co dotyczyło ojca... W pamięci Bryty zjawilo się nagle wspomnienie owego wieczoru, pierwszego wieczoru, spędzonego w domu pani Klaudyny... Przypominała sobie, jak pani Klaudyna wypytywała ją gorączkowo o stosunki rodzinne, jak pragnęła usłyszeć imię kobiety, które ojciec wymieniał w swoim pamiętniku...

Dziewczyna była tak zaskoczona, tak oszołomiona swoim odkryciem, że nie potrafiła skupić myśli. Czuła tylko instynktownie, że należało w tym wypadku strzec cudzej tajemnicy i zachować bezwzględnie milczenie.

Z trudem powstała z klęczek i wyjąkała:

– To nic, droga pani Stange... Niech się pani nie przejmuję... To tylko dlatego, że... że lubię bardzo obrazy... a te obrazy przypominają mi dom rodzinny...

Pani Stange z wyrzutem potrząsnęła głową.

– Aj, dziecinko, a ja się okropnie przeleżałam. Zdawało mi się, że pannie zrobiło się słabo... Czy te obrazy naprawdę są ładne? Bo, prawdę mówiąc, nie znam się na tym...

Bryta drżała na całym ciele z tłumionego wzruszenia. Oczy jej ślizgały się bezustannie po obrazach, wodziły po całym pokoju. Wzrok jej padł nagle na niski tapczan... Ściana, przy której stał, pokryta była draperią z przepysznego brokatu... Na złotym tle materii odbijał się piękny, wyjątkowo oryginalny wzór...

Dziewczyna wlepiła oczy w draperię. Zdawało się jej, że czyta w tej chwili wypisane ognistymi zgłoskami słowa, które znalazła w pamiętniku ojca:

- „Widzę cię oczami duszy, moja najdroższa Dino... Siedziałaś na tapczanie w pracowni, spoglądając na mnie z miłości twymi czarnymi oczyma... Jakże pięknie wyglądała twoja ciemnowłosa główka i delikatna, biała twarzyczka na tle złotego brokatu...”

Bryta przycisnęła ręce do serca, z wysiłkiem powstrzymując okrzyk, cisnący się na usta. Stała, patrząc osłupiałym wzrokiem na błyszczącą draperię. Zdawało się jej, że za chwilę straci zmysły...

Czuła, że nie potrafi teraz powiedzieć ani słowa. Wybiegła z pracowni, jakby ją ktoś ścigał, przemknęła szybko przez schody, a znalazłszy się na dworze, puściła się pędem w stronę domu.

- Muszę z nią pomówić... Muszę się dowiedzieć, skąd się tu wzięły obrazy ojca...

Nurtowała ją ta myśl, nie potrafiła jej odegnąć.

Zbliżając się do domu, zauważyła w jednym z okien panią Klaudynę. Nie zwróciła nawet uwagi, że pani Steinbrecht, która zazwyczaj o tej porze spała, tym razem wyrzekła się poobiedniej drzemki.

Tego dnia pani Klaudyna nie położyła się, nie mogąc zaznać spokoju. Wpadło jej na myśl, że Bryta, spacerując po parku, mogłaby dotrzeć do willi na wzgórzu. Co by się stało, gdyby dziewczyna weszła do wnętrza domu, gdyby zapragnęła go zwiedzić i dotarła do pracowni?

Ta myśl nie dawała jej spokoju. Zdenerwowana, podeszła do okna, nie wiedząc, co począć. Zastanawiała się, czy nie byłoby wskazane, gdyby poszła za Brytą, lecz w tej chwili zobaczyła młodą dziewczynę, która biegła przez park...

Bryta wpadła do swego pokoju, zdjęła zakieciak i czapeczkę, po czym natychmiast wybiegła. W kilka minut później stanęła drżąca i wzburzona przed panią Klaudyną. Twarz jej była blada jak płótno, w oczach malował się lęk. Odbijało się w nich trwożne pytanie. Dziewczyna z trudem panowała nad sobą, a wreszcie rzekła ochryplym głosem:

- Przepraszam panią, że bez pytania wtargnęłam tutaj. Zobaczyłam panią przy oknie i pozwoliłam sobie wejść niewołana... Jestem taka wzburzona... proszę mi wybaczyć... Ale powracam z willi „Klaudyna” i... i... prosiłam panią Stange, żeby mi pokazała cały dom...

Stara kobieta przymknęła nagle oczy i zbladła jak śmierć. Rzuciwszy jednak wzrokiem na młodą, zalaną łzami, twarzyczkę, odzyskała równowagę.

- No i co? - spytała cicho.

- I... Ach, Boże! Byłam w pracowni... Na miłość boską, niech mi pani powie, skąd się tam wzięły obrazy mego ojca? - zawołała Bryta, nie mogąc już dłużej panować nad sobą.

Przez chwilę obie kobiety mierzyły się płonąącym spojrzeniem. Wreszcie pani Klaudyna odezwała się drżącym głosem:

- Dziecko... o, dziecko najdroższe! Wiedziałam że pewnego dnia zwrócisz się do mnie w tej sprawie... Niestety, zadałaś mi to pytanie wcześniej, zbyt wcześniej... Czy nie domyślasz się prawdy, dziecinko? Czy twój ojciec w swoim pamiętniku nie wymienił imienia Diny? Tak, Bryto, ja byłam pierwszą żoną twego ojca...

Dziewczyna osunęła się na kolana i otaczając ramionami panią Klaudynę, ukryła twarz w fałdach jej sukni. Pani Steinbrecht pochyliła się nad nią i podnosząc ją, powiedziała:

- Uspokój się, najdroższe moje dziecko! Czyż nie czujesz, że stałaś mi się wszystkim? Kocham cię przecież tak bardzo, ciebie, córkę Henryka Lossena. Czy potrafisz mnie choć troszkę polubić? A może nienawidzisz kobietę, która zniszczyła życie twego ojca? O dziecko drogie, okupiłam moje przewinienie długimi latami katuszy...

Bryta, płacząc, padła w jej objęcia. Obie kobiety stały złączone serdecznym uściskiem, patrząc sobie w oczy. Płakały obydwie ze wzruszenia i radości, nie mogąc się przez dłuższy czas uspokoić.

Wreszcie Bryta podniosła zalaną łzami twarzyczkę.

- Czy to możliwe? Czy to prawda? Więc pani była pierwszą żoną mego ojca? Pani jest jego ukochaną Diną?

Pani Klaudyna przesunęła tkliwie ręką po jej włosach.

- Czy serce twoje, Bryto, nie dyktuje ci żadnej innej nazwy dla mnie? Pomyśl, że mogłam mieć córkę w twoim wieku, gdyby się wszystko nie ułożyło inaczej! Czy nie mam do ciebie żadnego prawa? Czyż nie łączy nas wspólna miłość do twego ojca? Przecież, mimo wszystko, nigdy nie zapomniałam go... Jakże byłabym szczęśliwa, gdybyś zechciała zostać

moim dzieckiem... Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak samotnie się czułam, zanim zjawiałaś się w moim domu. Wszystko we mnie zamarło. Początkowo starałam się bronić przed urokiem, jaki wywierałaś na mnie. Potem jednak pokochałam cię z całej duszy, starałam się pozyskać twoje serce... Spodziewałam się wciąż, że i ty ofiarujesz mi odrobinę uczucia.

Bryta przytuliła się do niej mocno, mówiąc:

- Kocham cię od dawna, bo byłaś dla mnie tak dobra jak matka...

Och, najdroższa, ukochana moja mateczko!

Pani Klaudyna rozplakała się z radości i przyciągnęła ku sobie dziewczynę.

- Moje dziecko, ukochane dziecko! Teraz znowu spoglądasz na mnie oczami twego niezapomnianego ojca... O, Bryto, kochałam go bezgranicznie, a jednocześnie znęcałam się nad nim, aż wreszcie mnie porzucił...

Bryta ujęła jej ręce.

- A jednak kochał cię aż do ostatniego tchnienia. Matkę moją uważał jedynie za przyjaciółkę, która łagodziła jego cierpienia. Szukał ucieczki od życia, lecz sercem zawsze był przy tobie. On sam jednak powie ci to wszystko, przyniosę jego zapiski, przeznaczone dla ciebie. Zrozumiesz je lepiej ode mnie...

Pani Klaudyna usiadła na kanapie, przyciągając Brytę ku sobie.

- O, gdybyś wiedziała, co czułam, gdyś wspominała o tym pamiętniku... Oddałabym cały majątek, żeby go dostać...

Bryta pogładziła tkliwie ręce przybranej matki.

- Czyż to nie istny cud, że będę mogła wręczyć ci ten pamiętnik? Zdaje mi się, że samo przeznaczenie skierowało mnie do twego domu...

- Tak, dziecko, to prawdziwy cud... Nieraz już myślałam o tym. Teraz będziesz mi mogła wszystko opowiedzieć dokładnie...

- Sądzę, że dowiesz się wielu szczegółów z tego pamiętnika. Ojciec opisywał wszelkie swoje przeżycia i wzruszenia. Czy też przeczuwał, że ten notatnik dostanie się kiedyś w twoje ręce?

- Kto wie, kochanie? W każdym razie jego pamiętnik stanowi dla mnie bezcenny skarb, za który nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć.

- Nie mów tego! To ja winnam tobie wdzięczność! Nigdy nie potrafię się odplacić za tyle dobroci. A teraz opowiedz mi wreszcie, skąd się wzięły obrazy mego ojca w willi „Klaudyna”.

Pani Klaudyna zaczęła opowiadać, jak nabyła obrazy, pragnąc przynajmniej w ten sposób brać jakiś udział w życiu Henryka Lossena. Wyznała dzieje swej gorącej, władczej miłości, spowiadała się ze swych win, mówiła o latach spędzonych w męce i samotności. A Bryta uważnie słuchała, płacząc z litości nad dumną kobietą, która tyle przecierpiała. Na koniec pani Klaudyna wyznała wśród łez, że dopiero, gdy Bryta zjawiała się u niej, poznała cały ogrom swej winy.

- Gdy sobie jasno zdałam sprawę, że zmarnowałam życie Henrykowi, wtedy zrodziła się we mnie obawa, że, dowiedziawszy się kim jestem, odwrócisz się ode mnie, pełna nienawiści. Pragnęłam zdobyć niepodzielnie twoją miłość – a teraz zbyt wcześnie odkryłaś moją tajemnicę.

Bryta potrząsnęła głową.

- Nie! Kocham cię od dawna, byłaś dla mnie prawdziwą matką. Nieraz już pragnęłam cię uściskać, powstrzymywał mnie jedynie szacunek należny mojej chlebodawczyni...

Pani Klaudyna spojrzała na nią z miłością.

- Będiesz teraz musiała to naprawić! Nie rozstaniemy się nigdy, nigdy, moje ukochane dziecko!

- Matko, mateczko! O, nie pojmujesz, co czuję w tej chwili... To takie błogie uczucie, że wolno mi nazwać cię imieniem matki...

Obie kobiety miały sobie jeszcze wiele do powiedzenia. Potem Bryta pośpieszyła na górę i po chwili przyniosła pani Klaudynie pamiętnik ojca.

Była to mała, skromna książeczka w czarnej oprawie, lecz pani Klaudynie wydawała się ona królewskim darem. Przycisnęła książeczkę do serca, a z jej oczu polały się strumienie łez. Bryta otoczyła ją ramieniem i ucałowała, szepcząc jej słowa pociechy.

- Uspokój się, droga mateczko! Nie przejmuj się, to ci zaszkodzi. Napijmy się herbaty, a potem musisz się położyć i wypocząć. Wyrzekłaś się dziś przecież poobiedniej drzemki.

Pani Klaudyna usiadła przy stole. Była dziwnie rozrzuwniona, a pieszczotliwe słowa Bryty działały na nią jak kojący balsam. Na kolanach jej spoczywała mała książeczka w czarnej oprawie...

Obie panie poprzednio miały zamiar pojechać do miasta po świąteczne sprawunki. Teraz pani Klaudyna nie była do tego usposobiona. Chciała się zamknąć w swoim pokoju i w samotności przeczytać pamiętnik ukochanego.

Bryta pojmowała, co się dzieje w duszy pani Klaudyny, toteż zaproponowała, że sama załatwi wszystkie zakupy. Pani Klaudyna zgodziła się na to, dała Brycie cały szereg poleceń i wskazówek, po czym tkliwie pożegnała dziewczynę.

- Weźmiesz powóz, kochanie moje...
- Wolałabym iść pieszo...
- Ależ jest już bardzo ciemno.
- Ulice są oświetlone, a w mieście panuje wielki ruch. Nieraz już wychodziłam sama o tej porze.
- Jak chcesz, kochana Bryto.

Bryta odeszła, żeby się przebrać, a pani Klaudyna schroniła się w swoim pokoju. Zaledwie została sama, gdy otworzyła czarną książeczkę i zatopiła się w czytaniu.

Chwilami podnosiła oczy znad pamiętnika, nie mogąc czytać dalej, gdyż oczy jej wilgotniały od łez. Zdawało się, że te łzy obmyły jej duszę z dawnych cierpień i smutków. Pozostało w niej jedynie ciche, łagodne uczucie szczęścia i wielkiego spokoju. Czytając, doznawała wrażenia, że przeżywa po raz wtóry promienne dni młodości, że słowa Henryka Lossena przywracają jej dawno zapomniane godziny miłosnych uniesień.

Gdy dobiegła końca i przeczytała ostatnie słowa ukochanego, które nakreśliła Bryta, wówczas złożyła ręce jakby do modlitwy. Przymknęła oczy i wydało się jej, że stoi przed nią umiłowany małżonek i z bezgraniczną miłością spogląda na nią.

- Henryku - szepnęła - przysłałeś mi twoje dziecko, wiem o tym... Stanie się ono „naszym” dzieckiem... Przymknęłam ci, że odtąd będę miała jeden tylko cel w życiu: szczęście naszej córki. Wyrządziłam ci ogromną krzywdę, lecz postaram się okupić błędy młodości. Wynagrodzę Brycie

wszystkie cierpienia, których ty doznałeś przeze mnie... Czyś zadowolony, najdroższy mój, jedyny?

Trwała wciąż w bezruchu, nie otwierając oczu, aby nie spłoszyć widzenia. Duch Henryka uśmiechnął się do niej, a wreszcie znikł. Wtedy dopiero otworzyła zapłakane oczy, ścigając jeszcze przez chwilę obraz ukochanego, póki nie rozpląnął się w mroku.

XV

Nazajutrz rano zaraz po śniadaniu, pani Klaudyna zatelefonowała po doktora Frensena, prosząc go, żeby się do niej pofatygował w bardzo ważnej sprawie. Następnie oświadczyła Brycie, że doktor Frensen odwiedzi ją przed południem i że konferencja z nim potrwa zapewne do obiadu. Powiedziała też, że do tej chwili Bryta może dowolnie rozporządzać swoim czasem.

– Jeżeli pozwolisz, mateczko, to pójdę do willi „Klaudyna”. Pracownia pociąga mnie ogromnie, a wczoraj nie zdążyłam się w niej porządnie rozejrzeć. Czy mogę tam iść?

Pani Klaudyna uśmiechnęła się.

– Możesz robić, co ci się podoba, kochane dziecko.

Bryta ucałowała ją serdecznie.

– Ja na twoim miejscu nie udzielałabym nikomu nieograniczonej władzy, zwłaszcza takiej osobce, jak ja – rzekła filuternie.

– Czynie to może z egoistycznych pobudek. Im więcej swobody ci zostawię, tym bardziej przywiążesz się do mnie, a na tym mi zależy. A teraz zawołaj moją poczciwą Stange.

Bryta wypełniła polecenie, a po chwili, pani Stange stanęła na progu pokoju.

– Powiedz mi, Stange, czy na górze w willi „Klaudyna” wszystko jest w porządku?

Gospodyni spojrzała ze zdumieniem na swoją panią, która nigdy ani jednym słówkiem nie pytała o willę.

- Naturalnie, proszę pani. Przecież dopiero wczoraj posprzątano we wszystkich pokojach.

- A w jakim stanie znajdują się piece? Czy można w nich palić?

Pani Stange dziwiła się coraz bardziej.

- Tak, proszę pani. Wczoraj je właśnie wypróbowałam...

- Doskonale! Poślij kogoś na górę, żeby dobrze napalił w pracowni. I daj klucze pani Brycie. Chciałaby w spokoju obejrzeć sobie willę.

Gospodyni w milczeniu pokiwała głową i wyszła, myśląc przy tym:

- Trzeba przyznać, że panna Bryta ma szczególne łaski u naszej pani. Komu innemu odmówiłaby z pewnością...

Staruszka nie zazdrościła jednak Brycie tego wpływu, gdyż od czasu, jak dziewczyna przebywała w domu, pani Steinbrecht stała się o wiele spokojniejsza i łagodniejsza.

Po wyjściu gospodyni, Bryta rzuciła się ze śmiechem na szyję pani Steinbrecht.

- Ach, mateńko, pani Stange wyglądała tak, jakby wierzyła w czary. Wczoraj nie chciała mnie wpuścić do willi, obawiając się, że byłoby to wbrew twojej woli. A teraz ty sama dajesz jej takie zlecenie...

Pani Klaudyna spojrzała z miłością na dziewczynę.

- Pani Stange nieraz jeszcze będzie się dziwić.

- Cóż powie na to, gdy usłyszy, że nazywam cię matką?

- Wkrótce już wyjaśnię jej wszystko. Ale teraz idź na górę, Bryto. Jeżeli wcześniej skończę konferencje z panem Frensenem, to przyjdę po ciebie i posiedzimy jeszcze godzinkę w willi. Przestałam się już obawiać duchów, które krążyły w tym domu. Wypędziłaś okrutne zmary twymi jasnymi oczami...

Gdy doktor Frensen nadszedł, Bryta udała się do willi. Pani Klaudyna przeszła ze starym prawnikiem do swego gabinetu.

- Drogi doktorze - rzekła poważnie i uroczyście - wezwałam pana, gdyż pragnę z nim omówić coś ważnego. Przede wszystkim zaś muszę powiedzieć panu, jako memu staremu przyjacielowi i powiernikowi, że wczoraj nareszcie wyznałam prawdę Brycie Lossen.

Doktor Frensen podniósł na nią oczy.

Pani Klaudyna opowiedziała mu w zwięzłych słowach, jak doszło do decydującej rozmowy, po czym ciągnęła:

- Bardzo to smutne, drogi przyjacielu, jeżeli ktoś w moim wieku przychodzi do przekonania, że postępował niesłusznie. Teraz dopiero pojęłam, że z własnej winy utraciłam ogromne szczęście. Mój mąż pozostawił pamiętnik, który przeczytałam. Zrozumiałam, że ja sama byłam jedyną sprawczynią wszystkich naszych cierpień. Zmarnowałam Henrykowi życie, cierpiał bardziej ode mnie. Pragnę wynagrodzić za to jego córkę. Musi ona wobec prawa zostać moją córką, a pan przeprowadzi potrzebne formalności. Krótko mówiąc, pragnę zaadoptować Brytę Lossen i uczynić z niej moją wyłączną, jedyną spadkobierczynię.

Frensen pogładził podbródek, po czym zapadł w głęboką zadumę.

- Pragnę, żeby to dziecko było szczęśliwe. Mam tu na myśli jej przyszłość, lecz o tym nie mogę teraz mówić, bo to cudza tajemnica. W każdym razie zwalnię pana ze słowa. Może pan teraz wszystkim powiedzieć, kim jest Bryta Lossen. Oszczędzi mi pan w ten sposób ciekawych pytań. Gdy znajomi dowiedzą się, że Bryta jest córką mego męża, zrozumieją, dlaczego zajmuje ona w mym domu wyjątkowe stanowisko. Spodziewam się, że rozumie pan moje postępowanie.

Frensen z uśmiechem uścisnął dłoń pani Klaudyny.

- Nie mam pani nic do zarzucenia, tym bardziej, że nie posiada pani żadnych krewnych. Rozumiem panią doskonale.

- To mnie cieszy, doktorze.

Zaczęli się oboje naradzać, jakie kroki należy wszcząć celem uzyskania adopcji. Potem pani Klaudyna podyktowała w zarysach testament, któremu doktor Frensen miał nadać właściwą formę prawną. Klaudyna Lossen z domu Steinbrecht wyznaczyła kilka legatów dla rozmaitych osób, czyniąc Brytę Lossen swoją uniwersalną spadkobierczynią.

Po kilku godzinach gorliwej współpracy, doktor Frensen pożegnał panią Klaudynę. Zanim odszedł, pani Steinbrecht zatrzymała go na chwilę, mówiąc:

- Jeszcze jedno, drogi doktorze! Pragnę osobiście zawiadomić Brytę, że zapisuję jej cały majątek.

Frensen uśmiechnął się dyskretnie.

- Rozumiem doskonale, że pragnie pani osobiście powiedzieć młodej osobce, jak wielkie szczęście ją spotyka.

Oczy pani Klaudyny zalśniły radosnym blaskiem.

Podczas powrotnej drogi pan Frensen nie przestawał myśleć o tych błyszczących oczach.

- Dziwne, zaiste, jest serce kobiety, tajemnicze i pełne zagadek. Tym razem jednak rozwiązanie zagadki wypadło jak najlepiej - myślał z uśmiechem, wracając spieszenie do domu. - Nie mógł się doczekać chwili, żeby opowiedzieć żonie i bratankom, jak wielka i szczęśliwa zmiana zaszła w życiu Bryty Lossen.

Przyśpieszył kroku. Myślał o swoich obydwu bratankach, których serdecznie kochał. Nie można mu było brać za złe, że pragnął z całego serca, aby piękna, szlachetna - a teraz także i bogata Bryta - uszczęśliwiła jednego z nich.

Dotychczas wierny swemu przyrzeczeniu nie zdradził nikomu, że Bryta jest córką męża pani Klaudyny Steinbrecht. Teraz uśmiechał się z zadowoleniem, myśląc, że wolno mu było o tym mówić i ponadto wspomnieć o zapisie.

W domu zastał jedynie żonę, gdyż w dni powszednie bratankowie odwiedzali tylko wieczorami ciotkę i stryja. Doktorowa wysłuchiwała z ogromnym zajęciem opowiadania męża. Ona również pomyślała o bratankach i rzekła z westchnieniem:

- Ach, Hermanie, co by to było za szczęście, gdyby ona wyszła za mąż za Teodorka. Temu chłopcu naprawdę przydałyby się pieniądze, rozrzuca je pełnymi garściami.

- Czemuż to szczęście nie miałyby spotkać Herberta? - zagadnął z uśmiechem stary prawnik.

Żona jego zaśmiała się serdecznie.

- Herbertowi życzę także szczęścia, lecz troszczę się bardziej o Teodorka. Herbert potrafi dać sobie radę, nawet, gdyby nie miał pieniędzy. Oboje jednak gadamy głupstwa. Teraz, gdy Bryta stała się majątną panną, nie zbraknie jej z pewnością konkurentów. Dlaczego właśnie nasi chłopcy mieliby wyciągnąć wielki los? No, no, obaj zdziwią się zapewne, gdy usłyszą tę wielką nowinę...

XVI

Bryta spędziła w pracowni niezapomniane godziny. Patrząc na obrazy ojca, przypominała sobie wczorajsze popołudnie, które przyniosło jej tak wielkie, oszałamiające przeżycia, że dotąd jeszcze nie potrafiła otrząsnąć się z wrażenia.

Potem przyszła do Bryty pani Klaudyna. Ujrawszy ją, dziewczyna wybiegła na jej spotkanie.

Obie panie, złączone serdecznym uściskiem, weszły do pracowni. Tutaj poświęciły uroczystą godzinę pamięci człowieka, który niegdyś na próżno szukał w tym pokoju natchnionej, twórczej chwili.

Przypatrywały się z uwagą tym obrazom, które ongiś znalazły tak mało uznania w oczach publiczności. A jednak wionął z nich smętny, przedziwny czar, który powinien był wzruszyć serca widzów.

Być może, iż malarz nie natrafił na odpowiednią publiczność, kto wie, może obrazy przedstawiały większą wartość, niż przypuszczał ich twórca. Henryk Lossen nigdy przecież nie starał się o reklamę dla siebie i swoich pejzaży.

To właśnie przyszło teraz na myśl pani Klaudynie. Obejmując Brytę, rzekła z błyszczącymi oczami:

- Wiesz dziecko, postanowiłam urządzić u Friedberga wystawę obrazów twego ojca. Friedberg jest doskonałym krytykiem i znawcą sztuki. Poproszę go, aby wydał o nich sąd. Kto wie, może doczekają się wreszcie właściwej oceny. Jeżeli Friedberg uzna, że są dobre, wówczas urządzimy później drugą wystawę w stolicy.

Bryta słuchała tych słów z wielką uwagą. Westchnęła ciężko, po czym rzekła z pewnym wahaniem w głosie, jakby sobie coś przypominając:

- Nie pamiętam dobrze, jak to było. Ojciec posłał kiedyś na wystawę jeden ze swych obrazów, który został zresztą odrzucony przez sędziów. Mimo to, jeden z członków jury napisał wówczas osobiście do ojca...

Dziewczyna usiadła na kanapie i pogrążyła się w zadumie. Po chwili podniosła głowę i rzekła półgłosem:

- Ten pan napisał: „*Jury nie przyjęło pańskiego obrazu, co mnie osobiście ogromnie zmartwiło. Usiłowałem na próżno przekonać moich kolegów, że pański „Jesienny poranek w górach” odznacza się wyjątkowo pięknym kolorytem i owiany jest nastrojem, który subtelnemu widzowi może wycisnąć łzy z oczu*”. Tak mniej więcej brzmiał ów list, zdaje się, że posiadam go dotąd. Ojciec wprawdzie nie przywiązywał wielkiej wagi do zdania tego znakomitego krytyka, mimo to zachował list na pamiątkę.

- Musisz znaleźć ten list, dziecinko! Może zwrócimy się do tego pana. Ach, Bryto, gdybym doczekała chwili, że ojciec twój uzyska pośmiertną sławę. Wtedy dopiero czułabym, że wszystkie moje winy wobec niego zostały zmasane! – mówiła pani Klaudyna.

Bryta przytuliła się do niej.

- Czemu dręczysz się wciąż jeszcze tym poczuciem winy, moja droga, ukochana mateczko? Jeżeli kiedykolwiek byłaś winna, to od dawna odpokutowałaś za to. Mój ojciec dawno ci przebaczył...

- Tak, dziecko, lecz ja sobie samej nie przebaczę. W każdym razie uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby rozślawić imię Henryka...

Siedziały obok siebie, naradzając się z zapalem. Układały projekty i plany na przyszłość. Zdawało się im, że w obrazy wstąpiło nagle życie, obie miały wrażenie, że z oczu ich spadła nagle zasłona, która przeszkadzała im dotychczas napawać się pięknem smętnych krajobrazów. ,

Po upływie godziny obie powróciły do domu. Przy stole debatowały jeszcze z wielkim ożywieniem na temat wystawy. Po obiedzie pani Klaudyna napisała do antykwariusza Friedberga, prosząc go, by pofatygował się do niej w charakterze rzeczoznawcy. Gdy list został wysłany, pani Klaudyna rzekła:

- Mam jeszcze mnóstwo sprawunków do załatwienia, lecz nie mogę dziś wyjść. Czy nie chciałabyś mnie wyręczyć, droga Bryto? Omówiliśmy przecież wszystko. Dla moich ubogich zamówisz u stałych dostawców ciepłą odzież, obuwie, czapki, fartuszki i chustki. Wstąpisz również do sklepu z zabawkami i do cukierni. Wszędzie mnie znają i chętnie odeślą towar do domu. A ponieważ tego roku pragnę wyjątkowo wesoło i uroczyście spędzić święta, więc postanowiłam przeznaczoną na ten cel sumę zwiększyć o połowę.

Bryta ucieszyła się jak dziecko.

– Cudownie! Pysznie! – wołała – O jak to dobrze! Dla dziewczynek wybiorę lalki, a dla chłopców koniki, żołnierzy i armatki! Okropnie się cieszę! Zaraz się przebiorę i wyruszę do miasta!

– Dobrze, dziecinko! Nie śpiesz się... Jeżeli się nawet spóźnisz na podwieczorek, to nie szkodzi...

Dziewczyna wyszła z domu, skręcając w Aleję Steinbrechta, ciągnąc się wzdłuż brzegu rzeki. Maszerowała żwawo, a śnieg skrzypiał pod jej krokami. Mroźne, świeże powietrze zimowe zaróżowiło jej policzki.

Znalazła się wkrótce w centrum dzielnicy handlowej. Wstępowała do rozmaitych sklepów załatwiając szybko wszystkie polecenia. Najdłużej zatrzymała się w sklepie z zabawkami, gdyż wybór podarunków dla dzieci sprawiał jej widoczną przyjemność.

Tymczasem zaczęło się ściemniać. Na ulicach i w wystawach sklepowych zapłonęły światła. Na zakręcie spotkała Bryta kilku oficerów, wśród których znajdowali się również kapitan Görger i Teo Frensen. Wszyscy uprzejmie ją pozdrowili.

– Jest to najśłodsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałem – rzekł Görger półgłosem.

Teo wzruszył ramionami.

– Nudny typ guwernantki – rzucił lekceważąco.

– Oj, przypomina mi się bajka o lisie i kwaśnych winogronach – zaśmiał się kapitan.

Teo zapalił papierosa, po czym oświadczył z ironią:

– Gadasz głupstwa! Phi! Gdybym tylko chciał... Nie miałem jednak w tym wypadku ochoty...

Bryta przeszła dalej, aby załatwić ostatni sprawunek – zakup łakoci.

W tej chwili, gdy wychodziła ze sklepu na ulicę, spotkała się z Herbertem Frensenem. Na twarzach obojga objawiła się tak wielka radość z tego niespodziewanego spotkania, że gdy ją sobie uświadomili, spłonęli oboje rumieńcem.

Herbert zdjął kapelusz i pochwycił małą rączkę dziewczyny, która wyciągnęła się ku niemu z pewnym wahaniem.

- Co za szczęście, panno Bryto! Mam wrażenie, że cały dzisiejszy dzień stoi pod dobrą gwiazdą – rzekł z niezwykłym ożywieniem, przy czym w oczach jego rozpały się swawolne ogniki.

Bryta opanowała się szybko.

- Dziwię się, że spotykam pana o tej porze na ulicy – powiedziała.

- Czy pani jest niemiłe zdziwiona? – zagadnął.

- Gdyby tak nawet było, to musiałabym przez grzeczność zaprzeczyć – odparła filuternie.

- Ho! Ho! Cięta z pani osóbką! Więc według pani zdania, powinienem się o tej prze znajdować w laboratorium?

- Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Dzisiejszy dzień jest dla mnie wyjątkowo radosny i uroczysty, dlatego też zwolniłem się wcześniej. Awansowałem na kierownika laboratorium. Ponieważ z tym awansem związana jest znaczna podwyżka uposażenia, przeto wydaje mi się, że zostałem Krezusem, co wpływa naturalnie na moje usposobienie.

Wyciągnęła do niego rękę. Oboje patrzyli sobie głęboko w oczy.

- Winszuję panu, serdecznie winszuję!

Podniósł jej dłoń do ust.

- Dziękuję! Uważam za dobry omen, że to właśnie pani złożyła mi pierwsze gratulacje.

Bryta, zaniepokojona jego spojrzeniem, wyciągnęła szybko dłoń z jego ręki.

- Nie zatrzymuję pana, doktorze! Ja również muszę się śpieszyć, aby zdążyć na czas do domu.

- Czy mogę panią kawałeczek odprowadzić?

Spojrzała nań niepewnie, lecz w oczach jego wyczytała tak gorącą prośbę, że nie potrafiła zdobyć się na odmowę. Herbert pozostał więc przy jej boku.

Z początku rozmawiali, poruszając zdawkowe tematy, ich serca jednak nie chciały brać udziału w tej banalnej wymianie zdań. Toteż wkrótce oboje zamilkli, lecz choć usta były nieme, gwarzyły ze sobą dwie młode dusze. Gdy minęli wreszcie ruchliwe ulice i most i znaleźli się w długiej, odludnej i pustej Alei Steinbrechta, ocknęli się oboje z milczenia.

- Nie chcę pana dłużej trudzić, panie doktorze! Wkrótce już będę w domu - rzekła szybko Bryta.

Obrzucił ją spojrzeniem.

- Czy zamierza mnie pani odesłać za karę, że tak źle panią bawiłem?

Potrząsnęła głową.

- Przecież ja także milczałam.

Przystanął nagle i zaczerpnąwszy głęboko tchu, rzekł:

- Milczałem tylko dlatego, że mam pani nieskończenie dużo do powiedzenia. Szczęśliwy przypadek pozwolił mi panią spotkać właśnie dzisiaj...

Nie mógł dalej mówić ze wzruszenia. Oczy Bryty, pełne niepokoju, zawisły na jego twarzy. Ujął jej rękę, patrząc na nią z gorącym uwielbieniem. W spojrzeniu jego malowało się serdeczne uczucie. Zdradzało ono jawnie to wszystko, co żyło w sercu Herberta. Zdawało się, że Brytę urzekły jego wymowne oczy, gdyż nagle zadrżała.

- Bryto, Bryto! Czujesz chyba od dawna, że cię bezgranicznie kocham. Do dziś nie mogłem wyjawić moich uczuć, bo nie byłem w stanie stworzyć ci odpowiednich warunków. Teraz moje położenie polepszyło się, mogę ofiarować ukochanej kobiecie życie skromne, lecz dostatnie. Bryto, czy chcesz zostać moją żoną?

Bryta ponownie zadrżała, a z jej ust dobył się okrzyk, podobny do łkania.

- Pańską żoną... O Boże! Pańską żoną?

- Tak, Bryto! Czy kochasz mnie? Powiedz! Z oczu twych czytam zapowiedź wielkiego szczęścia.

Wtedy w jej brązowych, aksamitnych oczach zalśniły złociste iskierki. Odrzekła poważnie, z głębokim wzruszeniem:

- Kocham cię... kocham już od dawna... Teraz, gdy pragniesz mnie przytulić do serca... nie mam siły, żeby się bronić przed tą miłością...

Odetchnął głęboko i przyciągnął Brytę ku sobie. W najwyższym napięciu położył sobie jej dłonie na oczach. Potem porwał ją w ramiona, całując z uniesieniem jej wargi. W porywie miłości zapomnieli, że znajdują się na ulicy. Nikt nie zmaćcił spokoju tych błogich chwil. Wokoło

panowała cisza, tylko w sercach obojga młodych ludzi śmiało się promienne szczęście.

Po kilku minutach poszli dalej, przytuleni do siebie w gorącym uścisku. Bez przerwy spoglądali sobie w oczy, a wargi ich spotykały się raz po raz.

- Słodka moja jedyna! Jakaś ty piękna. Jaki jestem szczęśliwy, że obdarzasz mnie skarbem twojej miłości. Zawsze będę żałował, że nie będę mógł dać twojej urodzie odpowiedniej oprawy.

- Daj mi tę oprawę, w której będę ci się najbardziej podobała - odparła Bryta, spuszczać nieśmiało oczy - O, Herbercie, moja dusza przepelniona jest szczęściem. Pojąć nie mogę, że pragniesz poślubić ubogą, samotną dziewczynę.

- Powtórz raz jeszcze, że mnie kochasz! - błagał Herbert.

Przytuliła się do niego.

- Kocham cię nad życie. Cieszę się niemal z mego ubóstwa, gdyż mogę się przekonać o mocy twojej miłości. Teraz jednak musimy się pożegnać najdroższy.

- Zostań jeszcze chwilkę - prosił Herbert - kto wie, kiedy znów będziemy mieli sposobność pozostać sam na sam. A mam ci przecież tyle do powiedzenia...

- Ja tobie również, lecz mimo wszystko muszę powrócić do domu.

Porwał ją w ramiona i ucałował.

- Musisz jak najprędzej zostać moją żoną! Jutro przyjdę do pani Steinbrecht i zawiadomię ją o naszych zaręczynach. Ach, a potem, Bryto... Niestety, wszyscy będą nam przeszkadzali, nie można będzie zamienić jednego słówka na osobności. Trzeba będzie kraść przelotnie słodczyce życia. Czy wiesz, najdroższa, że to okropne?

Zaśmiała się radośnie.

- Okropne, a jednocześnie takie rozkoszne!

- Co jest rozkoszne? Że się w tej chwili musimy rozstać? - zażartował.

- Że należymy do siebie i...

- Nie mogę w tej chwili całować do syta twoich warg, a to jest okropne. Posłuchaj, Bryto... Mam do ciebie wielką prośbę...

- Spełnię każdą twoją prośbę! Mów prędko...

- Przyjdź jutro rano do parku. Wiesz, od strony ulicy Klaudiusza, koło bocznej furtki... Chciałbym cię przynajmniej zobaczyć... I przynieść klucz od małej furtki. Czy masz go jeszcze, kochanie?

Spojrzała na niego z promiennym uśmiechem.

- Naturalnie, że go mam. I przyjdę bardzo chętnie...

Pocałował ją znowu.

- Ale nie przychodź zbyt późno, moja droga! Chciałbym spędzić z tobą przynajmniej godzinę...

- A o której tam będziesz?

- O ósmej rano. Wtedy będziemy mogli przez godzinkę swobodnie pogawędzić. O dziewiątej muszę być w laboratorium. Pani Steinbrecht zapewne także nie wstaje przed dziewiątą?

- Nie! O, Herbercie, muszę ci o niej opowiedzieć mnóstwo ciekawych rzeczy. Ale teraz nie mam czasu...

- Jeszcze jednego buziaka! - błagał.

Sploniona, podała mu usta do pocałunku. Zatrzymał ją w objęciu, mówiąc:

- Jaka szkoda, najmiłsza, że musimy o tym wszystkim mówić na ulicy.

Ujęła jego głowę w obie ręce i patrząc mu głęboko w oczy, odparła:

- Mnie się wydawało, że znajduję się w kościele! O, Herbercie, ty nie wiesz, jak bardzo cię kocham.

Raz jeszcze go pocałowała, po czym wyrwała się z jego ramion i pośpiesznie się oddaliła.

- Nie zapomnij... Jutro rano... - wołał za nią Herbert.

- Przyjdę na pewno - zabrzmiał wśród mroku głos Bryty.

Herbert wciąż jeszcze wodził za nią wzrokiem. Stanąwszy przy furtce, odwróciła się raz jeszcze i posłała mu ręką pozdrowienie. W odpowiedzi usłyszała stłumiony okrzyk radości. Weszła do parku i przycisnęła ręce do serca.

- Herbercie! Ukochany! Jedynty! - szepnęła do siebie.

W przedpokoju spotkała panią Stange.

- Pani prosiła, żeby jaśnie panienka sama wypila herbatę. Nasza pani się położyła.

Bryta przeleżała się.

- Czy czuła się źle? Czy jest chora?

- Nie, nie! Była tylko zmęczona, bo nie spała w nocy. Przyniosę herbatę dla jaśnie panienki.

Bryta ujęła rękę pocziwej staruszki.

- Co się stało, pani Stange? Czemu to nagle tytułuje mnie „jaśnie panienka”? - spytała zdumiona.

- Wiem, co się komu należy. Nasza pani powiedziała mi, że jaśnie panienka jest jej krewną. O, Boże, jak się to nieraz dziwnie w życiu składa! Moja pani opowiedziała mi wszyściuteńko, a ja aż się popłakałam ze wzruszenia! Teraz już rozumiem, dlaczego jaśnie panienkę tak wzruszył widok tych obrazów w pracowni...

- Tak, droga pani Stange, życie daje czasami miłe niespodzianki! Proszę jednak bardzo nie nazywać mnie „jaśnie panienka”. Jestem i pozostanę ubogą Brytą Lossen...

- Jak panienka sobie życzy, ale właściwie tak być nie powinno. Ja wiem, co wypada! Panienka należy teraz do państwa...

Bryta mogła bez przeszkody, snuć dalej złotą przędzę swoich marzeń. Pani Klaudyna nie ukazała się przez cały wieczór.

XVII

Herbert Frensen powrócił z wolna do miasta. Twarz jego promieniała szczęściem. Gdy poprzednio spotkał Brytę, szedł właśnie do stryjostwa, aby zawiadomić ich o swoim awansie. Postanowił to obecnie jakoś uczcić.

Przed bramą stał właśnie Teo. Obaj kuzynowie przywitali się oziębło, po czym w milczeniu weszli na schody.

Zastali ciotkę i stryja w saloniku. Ciotka zajęła się herbatą, a stryj przyniósł pudełko cygar.

Tutaj, w atmosferze miłego ciepła rodzinnego, wszyscy czuli się dobrze, nawet zblazowany Teo. Jeżeli żywił dla kogoś cieplejsze uczucie, to właśnie dla tej pary pocziwych staruszków, którzy uczynili tak wiele dla swoich przybranych synów.

Jego lekkomyślność przysporzyła wprawdzie państwu Frensen nie-
mało kłopotów, nie znali jednak istotnego stanu rzeczy. W ich obecności
Teo starał się zawsze być dobrym, miłym chłopcem.

Obaj kuzynowie usiłowali ukryć przed okiem stryjostwa wzajemną
antypatię. Herbertowi udawało się to dziś z wielką łatwością.

Był tak przepełniony uczuciem szczęścia, że zapomniał o wszelkich
nieporozumieniach. Teo za to nie stłumił dotąd zaciętej złości, grani-
czącej z nienawiścią. Ilekroć spotykał Brytę, tylekroć budziła się w nim od-
nowa chęć zemsty. Wiedział, że nie zazna spokoju, póki nie pomści
upokorzenia, na jakie naraził go Herbert.

Pan Frensen przez chwilę popatrzył z zadowolonym uśmiechem na
obydwa młodych ludzi.

- Mam dla was wielką nowinę, chłopaki - rzekł - będziecie się obaj
dziwili...

- Czy wygrałeś wielki los? - zażartował Teo.

- To niemożliwe, ponieważ nie gram na loterii. A jednak otworzycie
szeroko oczy... - Nowina moja dotyczy panny Bryty Lossen - mówił pan
Frensen z wolna, patrząc przy tym uważnie na bratanków, którzy się
mocno zaczerwienili.

- Panny Lossen, stryjku? Co się stało? - spytał raptownie Herbert.

- Została majątną panną. Przypadnie jej w udziale olbrzymi spadek -
odpowiedział stary prawnik.

- Nabierasz nas, stryjku. Pierwszy kwiecień dawno już minął! Czy
podobna, żeby uboga panna do towarzystwa pani Klaudyny nagle się
wzbogaciła?

- Pani Steinbrecht postanowiła ją zaadoptować i zapisała jej cały
majątek. Panna Bryta jednak nic jeszcze o tym nie wie.

Obydwaj młodzieńcy zerwali się z miejsca. Herbert zmarszczył czoło,
patrząc trwożnie na stryja.

- To chyba żart! Prawda, stryjku?

Pan Frensen wybuchnął śmiechem.

- Aha! Powiedziałem przecież, że się będziecie dziwić. Nie, to nie żart,
mój chłopcze. Usiądźcie, a opowiem wam wszystko. Zapewne słyszeliście
o tym, że pani Klaudyna nie nazywa się wcale „Steinbrecht”...

- Coś takiego opowiadano u nas w pułku. Jakaś romantyczna historia, która skończyła się rozwodem... Ale to się chyba działo sto lat temu? - rzekł Teo.

- Panięskie nazwisko pani Klaudyny brzmi „Steinbrecht”. Jej mężem, z którym rozwiodła się przed dwudziestu pięciu laty, był Henryk Lossen...

- Ojciec Bryty! - wykrzyknął Herbert.

- Tak, ojciec Bryty.

Pan Frensen opowiedział teraz szczegółowo wszystko. Zarówno Herbert, jak i Teo, słuchali z zapartym tchem, a pani doktorowa przypatrywała się z uwagą swoim bratankom, wyciągając z ich zachowania rozmaite wnioski.

W końcu pan Frensen dodał:

- Wspomniałem już, że panna Bryta dotąd nie wie o tym, że zostanie przybraną córką i spadkobierczynią pani Klaudyny. Dlatego też proszę was o dyskrecję. Zawiadomiłem was o tym jedynie dlatego, moi chłopcy, gdyż zauważyłem, że obaj interesujecie się tą młodą osobą. Póki była uboga, musieliście miarkować swoje zapęły, teraz to już zbyteczne. To wszystko, co miałem wam do powiedzenia.

Wiadomość ta wywołała odmienne uczucia u obu kuzynów. Herbert po wysłuchaniu tej zdumiewającej nowiny, doznał raczej przykrości niż zadowolenia. Myślał o tym, że nigdy nie odważyłby się prosić o rękę Bryty, gdyby poprzednio wiedział, że ukochana stanie się majątną panną. Odychając z ulgą, rzekł w duchu:

- Chwała Bogu, że rozmówiłem się z Brytą, zanim dowiedziałem się o tym!

Teo, zaskoczony nie ruszył się z miejsca. Był ogromnie wzburzony.

- Psiakrew! Co za pech! - myślał - Gdybym to przeczuwał, zachowałbym się zupełnie inaczej. Straciłem łaski w oczach pięknej Bryty i trudno mi będzie naprawić mój postępek. Teraz, gdy zaproponuje ołtarz i ślubną obrączkę, nie odepchnie mnie chyba? Należy tylko usunąć Herberta z drogi. Oczywiście, że i on zechce złowić sobie tę złotą rybkę! Mój kuzyn ma większe fory, gdyż udawał świętoszka i obrońcę uciśnionej niewinności... Mniejsza o to! Potrafię sobie dać z nim radę! Dałem mu

przecież słowo honoru, że nie będę się narzucał pannie Brycie – wolno mi jednak w uczciwych zamiarach starać się o jej rękę!

I Teo zwycięskim ruchem pogładził wąsiki. Porucznik wpadł nagle w doskonały humor. Był niezmiernie zarozumiały, toteż nie wątpił, że zwycięży. Obserwował ukradkiem poważną twarz Herberta. Czyżby on również doznał porażki? Wyglądał, jakby go Bryta odpaliła...

Herbert myślał właśnie w tej chwili o tym, że powinien udać się do pani Steinbrecht i oficjalnie prosić o rękę Bryty. Przypomniał sobie rozmowę z panią Klaudyną, gdy wyznał jej swoją miłość.

– Pragnę, żebyś mi przez jakiś czas jeszcze nie zabierała Bryty. Przywiązałam się serdecznie do niej – powiedziała wówczas pani Steinbrecht. Ach, jak dobrze, iż wyznał jej wówczas swoje uczucie. Gdyby tego nie uczynił, mogłaby go teraz uważać za zwykłego łowcę posagowego.

Herbert nie mógł się doczekać chwili, gdy Teo odejdzie. Nie chciał w jego obecności opowiedzieć stryjostwu o swoim szczęściu. Teo był tego wieczoru zaproszony do znajomych, toteż wkrótce się pożegnał.

Zaledwie zamknęły się za nim drzwi, gdy Herbert zawiadomił państwa Frensen najpierw o otrzymanym awansie, potem zaś o zaręczynach z Brytą.

Ach, jakże się cieszyli staruszkowie!

Doktorowa płakała z radości, że Herbertowi przypadło w udziale takie ogromne szczęście, a jednocześnie z żalu, że ominęło ono Teodora. Wypowiedziała nawet głośno to zdanie.

Jej mążonek, ujął Herberta za ramiona i rzekł ze śmiechem:

– Przecież obydwaj nie mogą się ożenić z jedną dziewczyną! Cieszymy się, że ten diabelski chłopak zdobył jej serce! Przynajmniej jeden z nich ją dostanie! Spójrz na niego, stara, przecież on cały promienieje! Musiał się zakochać po same uszy, jeżeli zaręczył się lekkomyślnie z ubogą dziewczyną. Teraz jednak, Herbercie, rad jesteś, że się tak stało... Prawda, chłopcze?

– Nie stryju – odparł młodzieniec z powagą – wcale z tego nie jestem zadowolony. Wolałbym, żeby Bryta była uboga i wszystko otrzymała ode mnie. Uważałem to za najwyższe szczęście!

Oczy obojga staruszków zwilgotniały.

- Masz słuszość, Herbercie! Młodzież powinna mieć ideały! W każdym razie dobrze się złożyło, żeście sobie wyznali miłość, zanim zaczęły grać rolę pieniądze! Nie żałuj jednak, mój drogi, że Bryta będzie miała majątek.

- Spodziewam się, że nie zmaci to naszego szczęścia! Kocham Brytę bezgranicznie, reszta mnie nie obchodzi.

- Szkoda, żeś nam o tym powiedział tak późno! Teo nie zdążył usłyszeć tej radosnej nowiny - rzekła z lekkim wyrzutem doktorowa.

Herbert ucałował ją serdecznie.

- Pragnąłem, żebyście tylko wy dziś dowiedzieli się o tym.

- Przecież Teo należy do rodziny!

- Zapewne, ciciu! Pragnę jednak zachować przed nim tajemnicę, dopóki nie pomówię z panią Klaudyną.

- Jak sobie życzysz, drogi chłopcze. Ach, jakże się cieszę, że się żenisz z tą słodką, czarującą dziewczyną. Pokochałam ją od pierwszej chwili, gdy tylko spojrzała na mnie swymi promiennymi oczami.

Stryjostwo zatrzymali Herberta na kolacji. Staruszkowie pragnęli się jeszcze dowiedzieć od bratanka wielu szczegółów.

XVIII

Nazajutrz Bryta zbudziła się wcześniej niż zazwyczaj. Zawładnął nią rozkoszny niepokój, toteż stawiała się w parku przed umówioną godziną. Ulica Klaudiusza była niemal pusta. Nagle dziewczyna ujrzała na zakręcie wysoką postać mężczyzny. Otworzyła spiesznie furtkę i wybiegła Herbertowi na spotkanie.

Młodzi ludzie, promieniejąc szczęściem, patrzyli sobie w oczy. Herbert ujął Brytę pod ramię, mówiąc:

- Kochanie, słodka moja dziewczyno! Zdawało mi się, że ta noc nie skończy się nigdy. Dziękuję ci, żeś przyszła...

Pociągnął ją za sobą w głąb parku, gdzie nikt nie mógł ich dojrzeć z ulicy. Byli teraz sami wśród milczącego, srebrnego przepychu zimy. Herbert porwał ukochaną w ramiona i całował ją tak długo, aż obojgu

zabrakło tchu. Spojrzeli sobie głęboko w oczy, po czym znowu ich usta spotkały się.

- Najdroższa moja! Sam teraz nie rozumiem, że mogłem tak długo wytrzymać bez ciebie i zachowywać się poprawnie. Ach, jakże cię pragnąłem... Powiedz, czy ty również tęskniłaś za mną? – spytał wreszcie Herbert.

- Och jedyny, ja musiałam panować nad moją tęsknotą i pragnieniami. Staralam się stłumić moje uczucie, bo nigdy, nigdy nie miałam nawet promyczka nadziei, że będzie mi przeznaczony tak ogromne szczęście. Nigdy nie przypuszczałam, że zostanę twoją żoną.

- Czy dawno mnie już kochasz?

- Ach, nie pamiętam! Zdaje mi się, że od czasu, gdy cię ujrzałam po raz pierwszy. A ty? Od jak dawna?

- Kocham cię świadomie od tej chwili, gdy cię uwolniłem z objęć mego kuzyna. Mam jednak wrażenie, że miłość zjawiała się wcześniej, bo byłem zawsze zazdrosny o Teodora.

Wybuchnęła szczęśliwym śmiechem.

- Dziś rano wydawało mi się to snem. Tyle szczęścia przypadło mi w udziale... Zdobyłam nie tylko twoje serce – jeszcze jedno otrzymałam w darze – serce matki. To właśnie chciałam ci opowiedzieć. Posłuchaj co się stało!

I opowiedziała ukochanemu dzieje swego ojca i pani Klaudyny. Ponieważ Herbert dał stryjowi słowo, że Bryta na razie nie dowie się o niczym, przeto udawał, że słucha z uwagą jej opowieści. Ta komedia jednak sprawiała mu przykrość.

- Widzisz, kochanie, mam teraz dobrą matkę. Taki ogrom miłości stanie się mym udziałem. Czemu jednak spoglądasz na mnie tak poważnie, mój drogi?

Ucałował jej ręce i oczy.

- Jestem egoistą, Bryto. Pragnę, żeby serce twoje stało się niepodzielnie moją własnością. Nawet pani Steinbrecht zazdroszczy twą miłości...

Przytuliła się doń tkliwie.

- Nie mów tak, najdroższy! Starczy dla niej i dla ciebie. Ty jesteś moim największym skarbem, nikogo nie kocham, tak jak ciebie. Ta kobieta cierpiała wiele przez mego ojca, czyż nie powinnam osłodzić jej życia? Darzyła mnie przecież zawsze macierzyńskim uczuciem, jest taka dobra i nieszczęśliwa...

- Cierpiała przez własny upór i dumę - zauważył Herbert.
Bryta z powagą podniosła oczy.

- Rozumiem ten upór i tę dumę. Cóż to za okropne uczucie dla kobiety, gdy zacznie wątpić w swego męża i nie jest pewna jego miłości. Chwała Bogu, że mnie to nie spotka. Nie posiadam się z radości, że jestem uboga. W ten sposób jestem pewna twego bezinteresownego uczucia! O, ty mój kochany...

- Najdroższa, to przecież wszystko jedno czy jesteś uboga czy bogata. Wiemy, że się kochamy i to nam wystarczy.

Przystroiła twarz w zabawnie zatroskaną minkę i westchnęła.

- Obym tylko nie stała się dla ciebie ciężarem, mój drogi! Przywykłam wprawdzie do skromnych warunków, lecz byłoby mi przykro, gdybyś z mego powodu musiał zmienić dotychczasowy tryb życia i wyrzec się rozmaitych rzeczy!

Mówiąc to, wyglądała tak powabnie i uroczo, że Herbert przede wszystkim musiał jej okazać swój zachwyt. Gdy wypuścił ją wreszcie z objęć, rzekł z udaną powagą:

- Tak najmiłsza, musisz mnie bardzo kochać i pieścić. Będzie to odszkodowanie za wszystko, czego się wyrzeknę dla ciebie, na przykład za zimny pokój kawalerski, za niesmaczną kawę, którą pijam na śniadanie, za samotne posiłki... Ale, ale! Powiedz mi kochanie, czy umiesz gotować?

Oboje wybuchnęli śmiechem, po czym Bryta rzekła z zapalem:

- Naturalnie, że umiem. Nauczyłam się tego w domu. Za życia ojca sama gotowałam i podobno znam się na kuchni. Bardzo nam zawsze smakowało. W ogóle, potrafię bardzo oszczędnie gospodarować. Suknie będę sobie również sama szyła.

Zachwyconym spojrzeniem wodził po jej ożywionej twarzyczce. W tej chwili zapomniał zupełnie, że Bryta miała zostać bogatą dziedziczką.

Trzymał w ramionach prostą, skromną dziewczynę, którą nade wszystko ukochał.

Szybko ubiegła godzina szczęścia. Bryta rzekła Herbertowi na pożegnanie, że musi przygotować panią Klaudynę. Herbert miał przyjść dopiero po południu, żeby się oświadczyć pani Steinbrecht.

Młodzieniec opowiedział Brycie, że stryj i ciotka są zachwyceni jego wyborem. Potem nastąpiło pożegnanie, które trwało bardzo długo. Wreszcie Herbert odszedł, a Bryta zamknęła furtkę na klucz i spieszenie podążyła do domu.

Odpooczynek pokrzepił znacznie panią Klaudynę. Wesoła i rześka zjawiała się na śniadaniu. Uściskała serdecznie przybraną córkę.

Bryta przeczuwała, że pani Klaudyna zmartwi się trochę, gdy się dowie o jej rychłym zamażpójściu. Wahała się przez chwilę, zanim opowiedziała o swoich zaręczynach. Z początku mówiła jedynie o sprawunkach w mieście, potem wspomniała, że pan Herbert Frensen spotkał ją i odprowadził do domu. Nadmieniła także, iż otrzymał on awans i został kierownikiem laboratorium. Pani Klaudyna bacznie obserwowała Brytę. Wreszcie młoda dziewczyna zaczerpnęła tchu i rzekła:

- Mam ci jeszcze coś do powiedzenia, mateczko...

Na tym zwierzenie się urwało. Pani Klaudyna ujęła jej główkę w obie dłonie, spoglądając z uśmiechem na zarumienione policzki dziewczęcia. Potem ucałowała pieśczośliwie jej oczy mówiąc:

- Dziecinko najdroższa! Masz oczy tak promienne, jakbyś była narzeczona!

Bryta zaczerwieniła się i rzuciła się na szyję przybranej matce.

- Skąd wiesz o tym, mamusiu?

- Nic nie wiem, tylko zgaduję! Zdaje się, że się nie mylę. Zaręczyłaś się z doktorem Frensenem?

- Tak, ukochana mateczko.

- Czy kochasz go?

- Bezgranicznie!

Pani Klaudyna tkliwie ucałowała Brytę.

- Oby cię Bóg obdarzył ogromnym, promiennym szczęściem, najmiłsza moja! A teraz opowiedz mi wszystko.

Bryta nie posiadała się ze zdumienia.

- Czy podobna, że się domyśliłaś mojej miłości? Przecież robiłam wszystko, żeby się nie zdradzić...

- Tak - odparła z uśmiechem pani Steinbrecht - nie zapominaj jednak, że oczy twoje zdradzają mi więcej tajemnic, niż innym ludziom. Przez cały czas bacznie cię obserwowałam.

Bryta rozpoczęła opowieść, a pani Klaudyna przysłuchiwała się z uśmiechem. Nie wspomniała jednak Brycie, że Herbert już dawno zwierzył się jej ze swej miłości. Była zbyt subtelna i obawiała się, że urazi Brytę tym wyznaniem. Dziewczyna mogła się czuć dotknięta, że inna osoba wiedziała wcześniej o uczuciu Herberta, niż ona sama.

Nie wspomniała również o tym, że ułożyła już plany, dotyczące przyszłości młodej pary. Pragnęła, żeby Bryta przez jakiś czas jeszcze przypuszczała, że Herbert uściele dla niej skromne gniazdeczko.

Pani Klaudyna powzięła oczywiście niezłomne postanowienie, że nie rozłączy się tak prędko z przybraną córką. Była zadowolona z wyboru Bryty, ceniła bowiem Herberta za niezwykle przymioty charakteru.

Około jedenastej zjawił się pan Friedberg, właściciel salonu sztuki. Pani Klaudyna i Bryta udały się z nim razem do willi, gdzie wisiały obrazy Henryka Lossena.

Pani Steinbrecht wyjaśniła Friedbergowi w zwięzłych słowach, o co jej chodzi. Friedberg, niski pan w podeszłym wieku z początku uśmiechał się sceptycznie. Brał przede wszystkim pod uwagę fakt, że milionerka zapłaci mu z pewnością znaczną sumę za urządzenie wystawy obrazów nieznanego malarza. Gdy jednak pani Klaudyna dała mu do przeczytania list znakomitego krytyka, Friedberg począł się żywo interesować całą sprawą.

Wszedłszy do pracowni, przechodził od jednego płótna do drugiego, przyglądając się im w milczeniu. Obejrzawszy wszystkie, zwrócił się do obu pań, wołając:

- Oryginalne, bardzo oryginalne! Każde pociągnięcie pędzla zdradza głębię uczucia. Technika ogromnie śmiała! To właśnie zdumiewa w pierwszej chwili, ponieważ najzupełniej odbiega od szablonu! O to rozbiło się powodzenie artysty, którego nikt nie potrafił zrozumieć. Jeden tylko

ocenił go i poznał, ten właśnie krytyk, który napisał list. Malarz wyprzedził swoją epokę, jego sposób interpretacji jest najzupełniej nowoczesny. Musi się znaleźć jakiś pośrednik między obrazami i widzem. Mówiąc szczerze, ja sam byłbym w pierwszej chwili przeszedł obok tych płócien i powiedział, że w przyrodzie nie spotyka się nic podobnego. Na szczęście przeczytałem list znakomitego krytyka. Przyjrzałem się dokładnie pejzażom i zrozumiałem artystę. Proszę spojrzeć na te fioletowe refleksy, rzucone na szare niebo słotnego dnia... Nieraz je przecież widzimy, lecz nie zwracamy uwagi na nie. Albo ten „Jesienny poranek w górach”

Mgła przygniata swoim ciężarem gałęzie, opada przejrzystą zasłoną na złoto i purpurę jesiennego listowia, łagodzi zbyt jaskrawy odcień... To przecież rzeczywistość...

Pan Friedberg, bardzo przejęty, wędrował znowu od obrazu do obrazu. Od czasu do czasu rzucał jakąś fachową uwagę. Zbliżał się do ściany, to znów cofał się w głąb pracowni, przyglądając się pejzażom z daleka.

Obie panie, trzymając się mocno za ręce, słuchały słów rzeczoznawcy. Wreszcie Friedberg zwrócił się stanowczym tonem do pani Klaudyny:

- A więc, proszę pani, wystawimy te obrazy. Przede wszystkim urządzimy wystawę w moim salonie, przy czym podwyższymy cenę biletów. To zawsze przyciąga publiczność. Zamieścimy również odpowiedni artykuł w prasie. Jeżeli ja się czymś zacznę interesować, to rzecz się uda. A na jaki cel przeznaczy pani czysty zysk, jaki osiągniemy ze sprzedaży biletów?

- Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym. Zależy mi przede wszystkim na tym, aby obrazy zostały ocenione tak, jak na to zasługują. Pragnę, żeby Henryk Lossen okrył się sławą, chociażby pośmiertną, skoro nie udało mu się jej zdobyć za życia. Jeżeli osiągnie pan rzeczywiście jakiś zysk, to oddamy te pieniądze na cel dobroczynny.

- Doskonale, wybornie! - zawołał Friedberg - tak właśnie i ja myślałem... Ogłosimy, że dochód z wystawy przeznaczony będzie na sanatorium dla ubogich gruźlików... Będzie to świetna reklama...

- Prosiłabym jednak, żeby reklama była dyskretna!

- Czy pani już słyszała kiedy, żeby jakiś artysta zdobył sławę bez reklamy? Proszę mi zostawić swobodę działania, znam się dobrze na podobnych sprawach. Gdyby obrazy były mierne, nie ruszyłbym palcem. Poślemy je potem do Berlina, a przekona się pani, że i w stolicy wzbudzą one zachwyty miarodajnych sfer. Wszystkie te pejzaże są owiane jakimś smętnym czarem... Rzecz dziwna, obrazom tym brakuje słońca...

- Mam jeden obraz mego ojca, który tonie w słońcu. Może pan zechce nam towarzyszyć, chętnie go panu pokażę - rzekła Bryta.

Wszyscy troje przeszli do mieszkania pani Klaudyny, gdzie Friedberg obejrzał mały krajobraz włoski. Po chwili odwrócił się i rzekł z uśmiechem:

- Bardzo miłutki obrazek. Pełen ciepła i słońca. Ale tamie podobają mi się lepiej. Każdy inny malarz mógł namalować obrazek w tym rodzaju, lecz z owych płócien, które wiszą na górze, wieje odrębny czar, właściwy jednemu artyście. Nikt nie potrafiłby naśladować twórcy...

- A memu ojcu zdawało się, że to właśnie jego najlepsze dzieło - zauważyła Bryta.

- Szanowna pani - odparł Friedberg - artyści bardzo rzadko wydają trafny sąd o swoich dziełach. Ten słoneczny obrazek powstał pod wpływem radosnego, beztroskiego nastroju, tamte świadczą o smutkach i cierpieniu. Wystawimy jednak dla kontrastu i ten promienny pejzażyk...

- Friedberg omówił jeszcze z paniami rozmaite szczegóły, po czym się pożegnał.

Gdy pani Klaudyna pozostała sama z Brytą, przytuliła do siebie dziewczynę i przez chwilę stały złączone niemym uściskiem, niezdolne do powiedzenia jednego słowa.

W chwilę później Fryderyk zameldował, że przyszedł w odwiedziny porucznik Frensen. Pani Klaudyna poleciła, żeby poprosić gościa. Po ustach jej przebiegł przy tym ironiczny uśmiech.

Teo wszedł do pokoju. Był elegancki, wyświeżony, piękny. Uśmiechał się czarująco, starając się wyrzeć możliwie korzystne wrażenie. Pani Klaudyna obserwowała z uśmiechem jak Teo zachowywał się dziś wobec Bryty. Dziewczyna nie powiedziała jej wprawdzie o zajściu, które miało miejsce podczas pikniku, lecz pani Steinbrecht zauważyła, że Teo w

ostatnich czasach sili się na obojętność, mając przy tym bardzo rzadką minę. Wywnioskowała stąd, że Bryta musiała mu dać porządną odprawę.

Dziś był niezmiernie uprzejmy, okazując dziewczynie niezwykłą galanterię. Oczy jego wyrażały błagalną prośbę. Bryta również zauważyła zmianę w postępowaniu młodego porucznika, nie domyślała się jednak powodu tej zmiany. W jej czystym sercu nie powstało najłżejsze podejrzenie. Przypuszczała, że dowiedział się od Herberta, iż została jego narzeczoną i dlatego stara się, aby zapomniała o doznanej przykrości. Sądziła, że Teo, jako kuzyn Herberta, pragnie ją do siebie dobrze usposobić.

Toteż chcąc dogodzić Herbertowi, Bryta była tym razem mniej chłodna i oficjalna, niż zazwyczaj, gdyż pragnęła ułatwić Teodorowi nawiązanie przyjaznych stosunków. Po raz pierwszy zdobyła się względem porucznika na pewną życzliwość.

Zarozumiały Teo wmawiał sobie jednak, że uprzejme zachowanie wypływa z innych pobudek i myślał:

- W parku popełniłem głupstwo, lecz powiem jej po prostu, że nie mogłem pohamować porywu namiętności. W takich razach kobiety zawsze skłonne są do przebaczenia. Może zresztą nie sprawiło jej to wcale takiej przykrości. Musiała udawać obrażoną, bo nadbiegł Herbert i przeszkodził nam... Mniejsza o to. W każdym razie wskazany jest pospiech inaczej bowiem ten poczciwy Herbert mnie uprzedzi i zarzuci się na złotą rybkę...

Ucieszył się niezmiernie, gdy w pewnej chwili odwołano na kilka minut panią Steinbrecht. Natychmiast ujął rękę Bryty, a składając na niej pocałunek pełen czci, rzekł z czarującym uśmiechem:

- Już od miesięcy czekam na sposobność, żeby prosić panią o przebaczenie. Żałuję z całego serca, że się tak niewłaściwie zachowałem w parku. Dręczą mnie bezustannie wyrzuty sumienia i pragnę się od dawna wytłumaczyć... Uległem wówczas nieprzepartemu urokowi pani i nie potrafiłem opanować porywu gorącego uczucia... To jedno, co mam na swoje usprawiedliwienie! Niech mi pani wybaczy! W przyszłości postaram się naprawić moje przewinienie... Odtąd będzie pani miała we mnie oddanego, pełnego szacunku przyjaciela...

Bryta wywnioskowała z jego słów, że czyni on aluzję do przyszłego pokrewieństwa, toteż odparła z życzliwym uśmiechem:

- Zapomnijmy oboje o tym wszystkim!

Ucałował znowu jej rękę, mówiąc z szacunkiem:

- Dzięki, serdeczne dzięki! Jakże jestem szczęśliwy, że mi pani przebaczyła!

Ponieważ pani Klaudyna weszła do pokoju, przeto nie mógł powiedzieć więcej. Zapytał jedynie, czy panie spędzą dzisiejszy wieczór w teatrze, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, poprosił o pozwolenie przyjscia do łoży. Pani Steinbrecht udzieliła swego przyzwolenia, patrząc przy tym ze szczególnym uśmiechem na młodego człowieka.

Teo pożegnał się z szacunkiem i odszedł. Pani Steinbrecht wodziła za nim wzrokiem, a z ust jej nie schodził ironiczny uśmiech. Położywszy rękę na ramieniu Bryty, rzekła drwiąco:

- Nie zazdroszczę ci tego kuzyna, moja droga!

Dziewczyna podniosła w zamyśleniu oczy na mówiącą.

- Mam wrażenie, że jest bardziej lekkomyślny, niż zły - zauważyła.

Pani Klaudyna potrząsnęła głową.

- Przeciwnie - odparła - jest nie tyle lekkomyślny, ile zły i zepsuty, a przy tym niezmiernie wyrachowany! Dobiegły mnie echa rozmaitych sprawek, które brzydsko świadczą o jego charakterze. Aż przykro było słuchać... Bądź rozsądna, drogie dziecko i trzymaj tego kuzyna w przyzwoitej odległości od siebie. Na szczęście Herbert podobał ci się lepiej od niego, a ja w zupełności podzielam twój gust!

XIX

Gdy po południu zjawił się Herbert, pani Klaudyna z początku przyjęła go sama w swoim gabinecie.

Młodzieniec wyznał szczerze i otwarcie, że wczoraj wieczorem, po rozstaniu się z narzeczoną, dowiedział się od swego stryja o zmianie, jaka miała zajść w dotychczasowym położeniu Bryty. Wyjawił bez ogródek,

jakie uczucia wywołała w nim ta wiadomość. Nadmienił również, jak mu było przykro udawać dziś rano wobec Bryty, że nie wie o niczym.

– Wprawdzie to wszystko nie może mieć najmniejszego wpływu na moją miłość, lecz byłoby mi znacznie przyjemniej, gdybym mógł Brycie powiedzieć prawdę. Dlaczego zależy pani na tym, żeby Bryta pozostawała w nieświadomości? Przecież tu chodzi o jej przyszłość...

Pani Klaudyna podniosła ręce takim ruchem, jakby wzbraniała Herbertowi dokończyć jego wywody.

– Nie, nie, drogi Herbercie, Bryta nie powinna jeszcze o tym wiedzieć. Wiadomo mi przecież, że kochasz ją od dawna, bo zwierzyłeś mi się wtedy, gdy ja sama nie miałam jeszcze pojęcia, że Bryta zostanie moją przybraną córką i spadkobierczynią. Gdybyś wyznał jej teraz to, czegoś się dowiedział od stryja, to zapewne nie zachwiałyby się jej wiara w twoje wielkie, bezinteresowne uczucie, ale... Widzisz, Herbercie, my kobiety jesteśmy bardzo subtelne i wrażliwe! Wiem o tym, niestety, z doświadczenia. Wystarczy jedna chwila smutnego nastroju, żeby nagle zrodziło się w duszy jakieś bezpodstawne podejrzenie. Nieszczęśliwe, bogate kobiety bywają z natury nieufne, to właśnie jest owo przekleństwo, które ciąży na złocie. We mnie tkwi jeszcze odrobina nieufności i dlatego nie mówię Brycie, że odziedziczy mój majątek. Pragnę, aby mnie pokochała niezależnie od okoliczności, że zostanie moją spadkobierczynią. Mam nadzieję, żeś zrozumiał moje motywy... Wy oboje nie powinniście sobie niczym innym zaprzętać głowy i myśleć wyłącznie o waszej miłości.

Herbert pocałował ją w rękę.

– Pojmuję i oceniam w zupełności pani postępowanie. Jestem przekonany, że pani nie wątpi iż wolałbym, aby Bryta była uboga i mogła wszystko otrzymać ode mnie.

Pani Klaudyna mocno uścisnęła jego dłoń.

– Znam cię dobrze, Herbercie, i rada jestem, że to ty i Bryta będziecie w przyszłości rozporządzać moim majątkiem. Nie rób sobie żadnych skrupułów, gdyż dziś mogę już wyjawić, że od dawna postanowiłam zapisać tobie część majątku. Zawsze czułam do ciebie wielką sympatię. Cieszę się bardzo, żeś pozyskał serce Bryty.

Te słowa głęboko wzruszyły Herberta. Pani Klaudyna w niezwykle delikatnej formie potrafiła usunąć ostatni cień, który ranił jego ambicje! Teraz z duszy Herberta pierzchyły wszelkie wątpliwości. Wiedział, że odtąd przestanie go raz na zawsze gnębić myśl o przyszłym bogactwie Bryty.

Nie potrafił się zdobyć na słowo odpowiedzi, lecz znowu przycisnął do ust rękę pani Klaudyny.

Pani Steinbrecht pogłaskała go dobrotliwie po głowie.

– A teraz kažemy przywołać Brytę – rzekła z uśmiechem. Gdy nadeszła Bryta i obrzuciła oboje spojrzeniem, pani Klaudyna skinęła głową i rzekła:

– Wybaczcie, drogie dzieci! Muszę was zostawić na chwilę samych, gdyż mam jeszcze wydać kilka poleceń gospodarskich.

Z tymi słowami wyszła z pokoju.

Herbert otworzył szeroko ramiona, a Bryta rzuciła się w jego objęcia.

– Bryto, dziewczyno moja! – szeptał zdławionym ze wzruszenia głosem.

Oboje starali się jak najlepiej wykorzystać krótkotrwałą nieobecność pani Klaudyny.

Po pewnym czasie siedzieli już wszyscy troje przy herbacie, omawiając rozmaite plany. Postanowiono, że następnego dnia zostaną ogłoszone zaręczyny i że się je wyprawi w najściślejszym kółku rodzinnym. Herbert pozostał aż do wieczora, a potem towarzyszył paniom do teatru.

Zaledwie weszli do łoży, gdy w chwilę potem stał się Teo. Widoczne było, że obecność Herberta sprawiła mu niemiłą niespodziankę. Zamierzał właśnie zająć krzesło, stojące za krzesłem Bryty, lecz Herbert go uprzedził. Teo rzucił kuzynowi wściekłe spojrzenie, po czym odwrócił się i nawiązał z Brytą ożywioną rozmowę. Herbert nie zwracał na niego uwagi.

Bryta siliła się na uprzejmość wobec porucznika, mniemając, że Herbertowi zależy na tym, aby zapomniała o przeszłości. Jednakże ani ona, ani też Herbert lub pani Klaudyna nie wspomnieli słówkiem o zaręczynach młodej pary. Bryta przypuszczała, że Teo został już zawiadomiony, zaś pani Klaudyna i Herbert nie uważali za stosowne poinformować Teodora wcześniej niż innych.

Toteż Teo nie szczędził trudu, żeby się wkraść w łaski dziewczyny. Ponieważ Herbert nie mieszał się zupełnie do rozmowy, w Teodorze utwierdziło się przekonanie, że Bryta zapewne odmówiła kuzynowi.

Po skończonym przedstawieniu, obaj panowie odprowadzili panie do samochodu i pożegnali się z nimi. Teo nie domyślał się nawet, że ręce Herberta i Bryty splotły się w gorącym uścisku. Nie zauważył również tkliwego spojrzenia, które zamieniła ze sobą młoda para.

Gdy samochód ruszył, obaj kuzynowie poszli wolnym krokiem przez ulicę. Przez dłuższą chwilę obaj milczeli, wreszcie Teo zagadnął jakby od niechcienia:

- No i cóż, Herbercie? Co słyhać? Czy teraz ustąpisz mi z drogi?

Herbert ocknął się z rozkosznych marzeń.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - odparł roztargniony.

- Mam na myśli pannę Lossen. Oświadczam ci, że mam zamiar starać się o rękę tej młodej osoby.

Herbert przystanął i spojrzał z niedowierzaniem na kuzyna.

- Jak to? Więc nie zawahałbyś się po tym co zaszło, prosić o jej rękę?

- Niepotrzebnie się denerwujesz. Podczas dzisiejszej wizyty uzyskałem przebaczenie. Kocham ją już od dawna. Zbłądziłem jedynie z miłości. Przez pewien czas trzymałem się na uboczu, boś mnie do tego zmusił. Teraz jednak, kiedy pragnę się do niej zbliżyć w uczciwych zamiarach, nie wolno ci powstrzymywać mnie dłużej. Spodziewam się, że nie będziemy sobie wzajemnie przeszkadzać, a jednemu z nas uda się ją zdobyć...

W ostatnich jego słowach drgała nutka triumfu. Zdawało się, że jest zupełnie pewny, iż jemu właśnie przypadnie w udziale to szczęście.

Herbert słuchał, zacisnąwszy mocno wargi. Nagle znowu przystanął i patrząc kuzynowi w oczy, rzekł spokojnie, stanowczym głosem:

- Szkoda twoich trudów, Teo! Bryta Lossen jest od wczoraj moją narzeczoną!

Teo drgnął i spojrzał osłupiałym wzrokiem w twarz Herberta, oświetloną blaskiem ulicznej latarni.

- Co to ma znaczyć? To chyba głupi żart? - wyjąkał wreszcie.

Herbert nie spuszczał oczu z jego twarzy, na której malowała się wściekłość.

- Nie, to nie żart. Panna Bryta jest moją narzeczoną. Wczoraj wieczorem ciocia i stryj udzielili mi swego zezwolenia, a dziś po południu zawiadomiłem panią Steinbrecht, że jestem z Brytą po słowie. Zaręczyny nasze odbędą się jutro u pani Klaudyny, w najściślejszym gronie rodzinnym. Ty również miałeś się dopiero jutro o tym dowiedzieć.

W jednej chwili runęły wspaniałe zamki na lodzie, które budował Teo. Twarz jego wykrzywił grymas okrutnej nienawiści. Po chwili odezwał się z cynicznym uśmiechem:

- To doprawdy ogromna niespodzianka! Pośpieszyłeś się, żeby cię nikt nie ubiegł w złowieniu złotej rybki. Tak, tak, od takich cnotliwych milczków można się niejednego nauczyć!

Herbert drgnął, lecz opanował się i rzekł chłodno:

- Nie mogę ci zabronić, żebyś mierzył mnie swoją miarką. Powiem ci tylko tyle, że od dawna już kocham Brytę, a jeżeli teraz dopiero poprosiłem ją, by została moją żoną, to jedynie dlatego że otrzymałem wczoraj awans na kierownika laboratorium. Gdybym jej nie kochał, żadne skarby świata nie skłoniłyby mnie do oświadczyn.

Teo zaśmiał się szyderczo.

- Naturalnie, nie brak ci nigdy wzniosłych słów! Ale ja znam cię na wskroś i przejrzałem twoje zamiary!

Herbert wzruszył ramionami.

- Nie pozostaje mi nic innego, jak złożyć ci powinszowanie – ciągnął Teo – na tym zakończymy chyba dziś naszą rozmowę. Dobranoc, idę jeszcze do kasyna.

To mówiąc, odwrócił się i oddalił pośpiesznie. Duszą jego miotła nienawiść i bezsilny gniew. Zazdrościł Herbertowi szczęścia, po które sam pożądliwie wyciągał ręce.

- Zapłacę ci za to i za wiele innych rzeczy! Poczekaj, bratku, jeszcze się porachujemy...

Herbert wolnym krokiem zmierzał ku domowi. Przykra scena z kuzynem nie zdołała zmącić jego szczęścia. Starał się zapomnieć o niemiłej rozmowie. Przed oczyma jego duszy zamajaczyła postać Bryty. Jakże była piękna dzisiejszego wieczoru! W oczach jej płonął cichy blask szczęścia.

I Herbert, przypominając sobie te brunatne oczy, promienne niby gwiazdy, zadrżał, ogarnięty nagłym przypływem czułości.

XX

Podczas ostatnich tygodni całe towarzystwo miało mnóstwo tematów do rozmowy. Nazwiska Steinbrecht-Lossen-Frensen brzmiały na wszystkich ustach.

Najpierw pojawiły się w dziennikach artykuły Friedberga, który jednocześnie dał ogłoszenie o wystawie. Henryk Lossen – to nazwisko zwracało powszechną uwagę. Zaczęto się zastanawiać, przypominać sobie, wypytywać znajomych. Friedberg zaznaczył w swoich artykułach, że obrazy znajdują się w posiadaniu pani Klaudyny Steinbrecht-Lossen. Teraz przypominano sobie, że zmarły malarz był małżonkiem pani Klaudyny, która się z nim rozwiodła. Przypominano sobie także, iż towarzyszka pani Steinbrecht nosiła nazwisko Lossen. Potem przyszła nagle wieść o zaręczynach Bryty z Herbertem Frensenem.

Całe towarzystwo uważało za obowiązek zwiedzić wystawę u Friedberga. Friedberg wyliczał tak szczegółowo wszystkie walory obrazów, że zwiedzający, bez względu na to, czy się znali na sztuce czy nie, uważali wystawione pejzaże za arcydzieła. Ponieważ cena biletów została podwyższona, a dochód przeznaczony na cel dobroczynny, przeto publiczność tłumnie zalegała wystawę.

We wszystkich pismach pojawiły się bardzo pochlebne wzmianki. Friedberg skrzętnie zbierał wycinki, po czym posłał je wraz z listem znakomitego krytyka do Berlina. Obrazy malarza Henryka Lossena wzbudziły zainteresowanie w kręgach znawców sztuki. Friedberg podpisał umowę z właścicielem wielkiego salonu sztuki w stolicy. Wystawa w Berlinie miała mieć miejsce już w lutym.

Pani Klaudyna i Bryta śledziły z zapalem przebieg tych spraw i cieszyły się powodzeniem wystawy.

Po zaręczynach w ścisłym kółku rodzinnym, pani Klaudyna wyprawiła jeszcze pewnej soboty oficjalne przyjęcie dla znajomych. Pomimo że

uroczystość ta wypadła przed świętami Bożego Narodzenia, przybyli na nią wszyscy zaproszeni. Powodowała nimi ciekawość. Bryta i Herbert nie bardzo byli radzi z tego wieczoru, wyprawionego na ich cześć, lecz pani Klaudyna pragnęła przy tej okazji zapewnić sytuację towarzyską swej przybranej córce.

Pani Klaudyna i Bryta spędziły wieczór wigilijny w towarzystwie państwa Frensenów i Herberta. Teo nie mógł przyjść, gdyż został zaproszony do Michelsów.

Od czasu rozłąki z Henrykiem, pani Klaudyna nie spędziła ani razu świąt tak mile, jak tego roku. Samotna kobieta pokochała całym sercem dziecko człowieka, którego nade wszystko umiłowała. Nie można było większej miłości okazywać nawet własnej córce. Przez wzgląd na Brytę okazywała również wielką serdeczność Herbertowi.

Ułożyła pod choinką wspaniałe dary dla „swoich dzieci”. Po wieczerzy wigilijnej, wszyscy przeszli do małego saloniku pani Klaudyny, gdzie zaczęto snuć rozmaite plany, dotyczące przyszłości młodej pary. Wtedy właśnie pani Klaudyna wyjawiała po raz pierwszy swoje zamiary.

Ślub miał się odbyć na Wielkanoc. Młodzi ludzie byli radzi, że nareszcie wyznaczono termin, gdyż przez wzgląd na panią Klaudynę nie odważyli się dotąd poruszać tego tematu.

- Nie chciałabym się rozstawać z moją córeczką i pragnę ją nadal zatrzymać blisko siebie. Dlatego też przeznaczyłam dla was na ślubny prezent willę „Klaudynę”. Tam będziecie w przyszłości mieszkali, drogie dzieci. Spodziewam się, że szczęście wasze będzie dłużej trwało, niż moje - rzekła na koniec pani Klaudyna.

Bryta patrzyła na nią z niedowierzaniem. Propozycja pani Steinbrecht zaskoczyła również Herberta, on jednak nie doznawał bynajmniej radości. Wolałby sam usłać dla Bryty skromne gniazdeczko. Niezadowolenie jego minęło jednak natychmiast, gdy Bryta z głośnym łkaniem padła mu w ramiona.

- Czyś słyszał Herbercie? Mamy mieszkać w tym cudnym pałacyku? O Boże!

Herbert mocno przytulił ją do siebie. Po chwili Bryta oswobodziła się z jego objęć i zarzuciła pani Klaudynie ręce na szyję.

- Mateczko jedyna, najdroższa, ukochana! Brak mi słów, żeby podziękować za tyle dobroci! - wołała, płacząc z radości.

Pani Klaudyna serdecznie ją ucałowała.

- Jestem wielką egoistką, drogie dziecko, pragnę, żebyś została przy mnie. Wyznaczę ci również pewną kwotę miesięcznie, abyś mogła łatwo i dobrze gospodarować...

Bryta na chwilę oniemiała. Potem znowu podbiegła do Herberta.

- Herbercie najdroższy, teraz nie przyjdę do ciebie z pustymi rękami, teraz nie będziesz miał potrzeby liczyć się z każdym groszem. Powiedz, dlaczego masz taką smutną minę? Czy ci przykro, że zamiast ubogiej dziewczyny, pojmiesz za żonę dziecko szczęścia? O, Herbercie, mnie się zdaje, że to bardzo przyjemnie być bogatą! Byłabym bez szemrania znosiła z tobą ubóstwo i niedostatek, cieszę się jednak, że życie oszczędzi nam trosk i kłopotów!

Herbert spoglądał z rozkoszą na ukochaną dziewczynę, po czym przyciągnął ją ku sobie i ucałował jej usta. Następnie, pełen wdzięczności, podniósł do ust rękę pani Klaudyny. Uśmiechnęła się ona dobrotliwie do młodzieńca, po czym znowu zwróciła się do Bryty:

- Wyraziłaś zdanie, że to bardzo przyjemnie być bogatą, dowiedz się zatem, że odtąd zawsze nią będziesz. Mój zacny, stary przyjaciel pan Frensen załatwił wszelkie potrzebne formalności... Postanowiłam cię adoptować, aby ci przysługiwały takie prawa, jak memu dziecku... Zostaniesz moją córką, a po mej śmierci odziedziczysz cały mój majątek...

Bryta zbladła. Na twarzy jej zamiast radości odmalował się lęk. Wiedziała, jak bogatą była pani Steinbrecht, toteż pojęła całą doniosłość tych słów. Wiadomość ta wytrąciła ją do tego stopnia z równowagi, że padła pani Klaudynie na piersi, wybuchając spazmatycznym płaczem.

Oczy pani Klaudyny zwilgotniały ze wzruszenia. Pani doktorowa Frensen ocierała łzy rozczulenia. Nawet obu panów ogarnęło rozrzewnienie. Myśleli o tym, jak wielka i potężna była miłość tej szlachetnej kobiety, która jeszcze po śmierci składała ukochanemu zmarłemu tak wielkie dowody uczucia.

Pierwsza otrząsnęła się ze wzruszenia pani Klaudyna. Z czułością gładziła złociste włosy Bryty.

- Uspokój się dziecinko! Cóż, czy przestałaś się już cieszyć, że będziesz bogata?

Dziewczyna przytuliła się mocno do przybranej matki i odparła cicho:

- O, droga moja matko, myślałam w tej chwili o moim biednym ojcu. On się tak lękał o moją przyszłość, a teraz, kiedy mam wszystko tobie do zawdzięczenia... właśnie tobie... a on tego już nie widzi i nie czuje... Och, mamo, nie potrafię wypowiedzieć, co odczuwam w tej chwili...

Oczy pani Klaudyny napełniły się łzami. Ujęła delikatnie dłoń dziewczyny i podprowadziła Brytę do Herberta mówiąc:

- Tutaj zwracaj się, dziecinko, z każdą radością i każdym smutkiem, jakie cię spotkają w życiu!

Herbert objął Brytę silnym ramieniem i rzekł głosem pełnym uczucia:

- Kochanie moje! Obyś nigdy nie była zmuszona wylewać innych łez, jak te, które ci z oczu wycisnęło szczęście!

Wtedy piękne oczy Bryty zajaśniały poprzez łzy nieziemskim blaskiem. Podczas kiedy pan Frensen starał się rozweselić obie starsze panie, Herbert pociągnął swoją narzeczoną do małej niszy w oknie. Znalazłszy się tam, scałował łzy z długich rzęs, szepcząc Brycie na ucho wszystkie słodkie, szalone pieścotliwe słówka, jakie potrafią zawsze znaleźć zakochani.

XXI

Bryta spędziła rozkoszny okres narzeczeństwa. Nie potrafiła ogarnąć pełni szczęścia, które teraz na nią spływało. Pani Klaudyna pieściła ją i dogadzała jak mogła, państwo Frensen kochali ją jak rodzoną córkę, a Herbert ubóstwiał narzeczoną. Życie wydawało się jej czarownym słodkim snem.

Na domiar obrazu jej ojca zyskały ogólny podziw i cieszyły się wszędzie rozgłosem. Oceniono wreszcie ich wartość. Pewnego dnia nadeszła wieść, że muzeum narodowe pragnie zakupić „Jesienny poranek w górach”. Po długich naradach pani Klaudyna i Bryta postanowiły odstąpić ten obraz. Obie czuły się niezmiernie dumne i zaszczycone tą propozycją muzeum.

Drugi obraz ofiarowała pani Klaudyna muzeum, znajdującym się w jej rodzinnym mieście.

Reszta obrazów pozostała jej własnością. Urządzono wystawy we wszystkich większych miastach, a dochód z tych imprez rozdawano na cele dobroczynne. Toteż Bryta doznawała uczucia radosnego zadowolenia myśląc, że ojciec jej stał się niejako dobroczyńcą ludzkości.

Obie panie ze smutkiem wspominały drogiego zmarłego, który nie dożył tej wielkiej radości. Była to jedyna chmura, która zaciemniała obecnie życie Bryty. Na ogół przyszłość przedstawiała się jej w różowych barwach. Dziewczyna starała się gorącą wdzięcznością odpłacić za hojne dary, którymi ją obsypywano.

Szybko jak sen zbiegły krótkie miesiące, które dzieliły ją od dnia ślubu. Trzeba było załatwić mnóstwo sprawunków i poczynić wszelkie przygotowania do wesela.

Pani Klaudyna odmłodziła. Pełna miłości kompletowała wyprawę dla ukochanej córeczki, wybierając starannie każdą sztukę bielizny, każdy przedmiot domowego użytku. Bryta starała się ją nieraz powstrzymać w jej zapędach, zwłaszcza, gdy widziała, jakie kwoty pochłaniała jej wyprawa. Raz, gdy pani Klaudyna nabyła dwa prześliczne, koronkowe szlafroczyki, dziewczyna ciężko westchnęła, mówiąc:

- Ach, matenka najukochańsza, do czego to doprowadzi? Psujesz mnie, jakbym była księżniczką! Czasami przypomina mi się bajka o księciu, który pozwolił pewnemu biedakowi przez trzy dni odgrywać swoją rolę. Na czwarty dzień obudził się znowu w łachmanach, a trzydniowe panowanie wydawało mu się tylko pięknym snem!

Pani Klaudyna roześmiała się.

- Nie obawiaj się, ja nie zachowam się jak ten okrutny książę. Nie obudzisz się z twego czarownego snu.

Bryta podniosła w górę jeden z pajęczych szlafroczków i tańcząc radośnie po pokoju, zawołała:

- Ach, jak to przyjemnie, gdy się można ładnie ubierać! Rok temu nie śniłam nawet o podobnych cudach.

Herbert codziennie odwiedzał Brytę. Okres oficjalnego narzeczeństwa okazał się mniej straszny, niż to sobie młodzieniec wyobrażał. Pani

Klaudyna zawsze zostawiała narzeczonych przez kilka chwil sam na sam, a te rozkoszne momenty rozjaśniały im cały dzień.

Między Herbertem a panią Klaudyną panowała ogromna harmonia. Oboje starali się na wyścigi pieścić Brytę.

Herbert oswoił się już z myślą, że zamieszka w willi „Klaudyna”. Prześliczny pałacyk był całkowicie urządzony i wymagał jedynie drobnych zmian. Wszystko tam było gotowe na przyjęcie młodej pary.

Na życzenie pani Klaudyny, Herbert przystąpił ze znacznym kapitałem jako udziałowiec do fabryki farb, w której dotychczas pracował. Stał się nie tylko kierownikiem laboratorium, ale też współnikiem firmy. Młodzieniec z początku opierał się temu, lecz pani Klaudyna zdołała go namówić.

– Proszę – rzekła – abyś od razu zajął niezależne stanowisko w fabryce. Kapitał, który ci każe wypłacić, przeznaczyłam dla ciebie od dawna w moim testamencie, wtedy, gdym jeszcze nie wiedziała, że zostaniesz mężem Bryty. Na razie uważaj te pieniądze za pożyczkę. Odsetki dostanie Bryta na prowadzenie gospodarstwa. W ten sposób zyskacie od pierwszej chwili pewną niezależność. Przy pomocy tego kapitału możesz przecież zdobyć własny majątek, co nareszcie zaspokoi twoją dumę. Spostrzegam niestety, że wciąż jeszcze gnębi cię myśl, że ożenisz się z majątną panną.

Herbert podziękował jej serdecznie za tak wspaniałomyślną propozycję.

Od dawna już pracował nad pewnym wynalazkiem chemicznym, którego dla braku środków nie mógł dotąd eksploatować. Obecnie pani Klaudyna ułatwiła mu zadanie. Herbert był przekonany, że uda mu się teraz zdobyć majątek. Ta świadomość uspokajała nieco jego wrażliwe sumienie. Przestał się martwić, że zostanie małżonkiem posażnej panny.

Wkrótce podpisał umowę z fabryką farb i został udziałowcem w tej firmie. Dzięki zastosowaniu wynalazku Herberta, przedsiębiorstwo to po pewnym czasie ogromnie się rozwinęło, przynosząc nadspodziewanie wysokie zyski.

Na Wielkanoc odbył się ślub Herberta i Bryty. Wesele wyprawiono z wielkim przepychem, jak przystało dla córki pani Steinbrecht. Wśród gości znajdował się naturalnie i Teo Frensen. Jego nastrój podczas tej

uroczystości był godny pożałowania. Wciąż jeszcze czekał na sposobność do zemsty. Herbert zrzekł się na korzyść kuzyna części schedy, która miała mu przypaść po śmierci stryja, a pan Frensen podwyższył porucznikowi miesięczną pensję. Teo jednak uważał, że nie wynagrodzi mu to nigdy utraty młodej milionerki. Był pewny, że Herbert jedynie dlatego oświadczył się o rękę Bryty, bo dowiedział się od stryja o jej przyszłym majątku.

Nie wątpił ani na chwilę, że Bryta wolałaby poślubić jego, pięknego, dziarskiego porucznika Frensena, niż Herberta. Fakt, że stało się inaczej, kładł wyłącznie na karb okoliczności, że Herbert nie pozostawił Brycie czasu do namysłu.

Pożerała go zawiść, tym bardziej, że Bryta zdołała zbudzić w nim namiętność, jakiej dotąd nigdy nie doznawał. Stał w kościele za młodą parą, a w głowie jego kłębiły się złe myśli. Był naturalnie dość rozsądny, aby się z tym nie zdradzić. Wydawał się bardzo wesoły, tylko od czasu do czasu rzucał melancholijne spojrzenia pannie młodej.

Jakże piękna była Bryta! Zdawało się, że w jej promieniujących szczęściem oczach zostały zaklęte i uwięzione wszystkie blaski słońca. Jak cudnie wyglądała w białym welonie i zielonym mirtowym wieńcu na złocistych włosach!

Gdy Teo składał jej po ślubie życzenia, przycisnął do ust jej drobną rączkę, szepcząc smętnie:

- Obyś zaznała wielkiego szczęścia, które mnie w udziale nie przypadło! Nie zapominaj o tym, że jestem ci szczerze oddany i będę ci wierny aż do śmierci!

Bryta, cokolwiek zmieszana, podniosła nań oczy. Uścisnęła serdecznie jego rękę, mówiąc:

- Kochajmy się jak rodzeństwo, drogi Teo! Będę cię zawsze uważała za brata!

Herbert posłyszał te słowa, a w oczach jego zapaliły się iskry gniewu. Byłby najchętniej wyrwał rękę Bryty z dłoni Teodora. Nie potrafił zapomnieć o tym, że Teo uniesiony nieczystą żądzą, ośmielił się niegdyś porwać Brytę w ramiona. Zdawał sobie sprawę, że ani on, ani kuzyn, nie będą już nigdy żywili do siebie braterskich uczuć.

Mimo to milczał, nie chcąc mącić radosnego nastroju w dniu ślubu.

Gdy Herbert i Bryta wymknęli się z grona gości, żeby udać się w podróż poślubną, Teo stał się nagle ogromnie wesoły. Tryskał humorem, sypał dowcipami i bawił całe towarzystwo. Wszyscy byli oczarowani jego niepospolitymi zaletami towarzyskimi.

XXII

Bryta stała przy oknie swego prześlicznego saloniku w willi na wzgórzu, spoglądając na Herberta, który rozstał się z nią przed chwilą i wychodził do laboratorium.

Przystanął właśnie na dole i raz jeszcze posłał jej ręką serdeczne pozdrowienia. Odpowiedziała na nie z okna, a oczy obojga młodych małżonków zatoneły w sobie z niewysłowioną rozkoszą.

Już od trzech miesięcy Bryta była żoną Herberta Frensena. Odbyli wspaniałą podróż poślubną przez francuską Szwajcarię, potem zaś zatrzymali się przez pewien czas na Riwierze. Niedawno powrócili do swego pałacyku, w którym życie wydawało się im promiennym pasmem szczęścia. Miłość ich spotężniała, dusze coraz bardziej lgnęły ku sobie.

Pewnego dnia Bryta rzekła do Herberta:

- Jest nam tak dobrze, tak błogo, że lękam się niemal o nasze szczęście!

Herbert ze śmiechem ucałował żonę.

- Skąd ten lęk, moja miła? Powinniśmy mocno wierzyć w nasze szczęście, a wówczas nie opuści nas ono nigdy.

Bryta przytuliła się do męża i, podnosząc oczy, powiedziała:

- Wiesz, dawniej bywały w moim życiu dni, o których mawiałam, że mi się nie podobają. A teraz jeden dzień podoba mi się lepiej od drugiego.

- Widocznie los pragnie cię wynagrodzić za te smutne dni przeszłości. Mnie się również należy tego rodzaju odszkodowanie. Dzieciństwo moje upłynęło bez słońca, chociaż stryj i ciocia starali się robić wszystko, co było w ich mocy. Oboje powinniśmy żyć nadzieją, że przeznaczenie obdarzy nas w przyszłości pięknymi, słonecznymi dniami.

Bryta zakryła mu usta ręką.

– Nie bądź taki zuchwały i pewny siebie! Możemy wiele stracić, bo bardzo wiele posiadamy!

Ucałował tkliwie jej różowe paluszki.

– Najdroższa moja! Obyśmy tylko nigdy nie stracili siebie. O resztę nie dbam...

Bryta często myślała o tych słowach Herberta. Wpadły jej one na myśl i w tej chwili, gdy śledziła wzrokiem odchodzącego.

– Obyśmy tylko siebie nie utracili! – szepnęła błagalnie, posyłając ku niebu żarliwą modlitwę.

Pomimo że był to letni, ciepły dzień, ciałem Bryty wstrząsnął nagły dreszcz.

– Utracić Herberta! O Boże! Znaczyłoby to przecież utracić życie! – pomyślała młoda kobieta, przyciskając obie dłonie do serca.

Zaczęła się strofować i robić sobie wyrzuty. Dlaczego nasuwały się jej wciąż takie niemądre myśli? Pewno dlatego, że nie przywykła do szczęścia. Toć zaledwie rok minął od chwili, gdy przyjechała do domu pani Steinbrecht, jako uboga, samotna panna do towarzystwa! Nie potrafiła się odzwyczaić od uczucia troski.

Odwróciła się z uśmiechem od okna i przeszła się wolno po całym domu. Lubiła przechadzać się po swoim małym królestwie. Stąpała cicho po puszystych, miękkich dywanach, otulona w powiewne fałdy białej sukni. Wśród pełni szczęścia jeszcze bardziej rozkwitała jej uroda. Jej słoneczne oczy promieniały coraz jaśniejszym blaskiem. Podczas nieobecności Herberta malowała się w nich tęsknota, lecz gdy ukochany małżonek powracał, z oczu Bryty tryskało szczęście.

Idąc na górę do pracowni, Bryta rozmyślała o swoim ojcu i przybranej matce. Oni także mieszkali niegdyś w tym domu, kochali się, byli szczęśliwi, a potem...

– Co mi się dzisiaj stało? Dlaczego myślę wciąż o smutnych rzeczach? – pomyślała Bryta, otrząsając się energicznie ze złych przeczuć.

Znalazłszy się w pracowni, usiadła w zacisznym kąciku przy kominie. Było to jej ulubione miejsce. Leżały tu zawsze przygotowane rozmaite książki i czasopisma. Na małym stoliku, ustawionym przed fotelem, stał

wysoki wazon, do którego Herbert wkładał codziennie świeże kwiaty. Bryta zagłębiła się wygodnie w fotelu. Siedząc w tej pozie, przypominała czarujący obrazek, pełen wdzięku i wiosnianej piękności.

Zanim zabrała się do czytania, spojrzała na zegarek. Miała jeszcze godzinę czasu. Potem zamierzała zejść do matki, żeby z nią razem wypić herbatę. Przed południem, gdy Herbert był w laboratorium, Bryta również odwiedzała panią Klaudynę. Gdy powracał wieczorem z zajęcia, wstępował zwykle po nią i szli razem do domu. Niekiedy zostawali jeszcze przez godzinkę u pani Klaudyny i jedli z nią kolację.

Potem, mocno przytuleni do siebie, wędrowali razem przez wąskie ścieżki parku do swego zacisznego gniazdko.

Bryta otworzyła wreszcie książkę, pragnąc się zabrać do czytania, gdy nagle wszedł służący i zameldował „pana porucznika”.

Był to Teo Frensen, który od niedawna stał się częstym gościem w willi „Klaudyna”. Zazwyczaj przychodził o tej porze, gdy wiedział, że Herbert jest w laboratorium; znacznie rzadziej zjawiał się podczas obecności kuzyna. Bryta, w swej naiwności, nie dopatrywała się w tym żadnych zamiarów. Wprawdzie wizyty Teodora nie sprawiały jej szczególnej przyjemności, lecz starała się zawsze okazywać mu siostrzaną przychylność.

Teo przychodził jednak w szczególnych zamiarach i w obecności Herberta silił się na swobodny, miły ton, pełen młodzieńczej niefrasobliwości. Herbert sądził, że kuzyn pragnie naprawić swoje dawne błędy i zatrzeć przykre wrażenie, dlatego też przyjmował go bardzo serdecznie.

Bryta poprosiła Teodora do pracowni, gdzie nieraz przyjmowała swoich gości. Gdy wchodził, powstała z miejsca, aby go powitać. Teo obrzucił płomiennym spojrzeniem czarujące zjawisko i podszedł spieszenie do Bryty.

- Nie krępuj się mną - rzekł - nie chciałbym ci przeszkadzać. Przy-szedłem na krótką pogawędkę. A może wolisz, żebym sobie poszedł? - spytał, podnosząc ze swoim zwykłym uwodzicielskim uśmiechem jej rękę do ust.

- Ależ, nie! Zostań, Teo! Rozerwiesz mnie trochę, gdyż właśnie czekała mnie długa, nudna godzina. Usiądź, proszę... A może się czegoś napijesz? - odparła uprzejmie Bryta.

Przysunął sobie krzesło do jej fotela i usiadł.

- Nie, dziękuję! Twoje towarzystwo starczy mi za wszystko. Więc czekała cię godzina nudów? Czy to się w ogóle zdarza u młodego małżeństwa?

- Owszem, zdarza się, gdy jestem sama. Wiesz przecież, że Herbert większą część dnia spędza poza domem.

- A godziny jego nieobecności wydają ci się długie jak wieczność?

Westchnęła ukradkiem, posyłając w dal tęskne, rozmarzone spojrzenie.

Teodora ogarnęło nagle jakby szaleństwo. Z sukien i włosów Bryty unosiła się jakaś subtelna, rozkoszna woń, która go oszalała. Jej rozmarzone spojrzenie zbudziło w nim piekielną zazdrość. Nienawidził w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek Herberta, którego uważał za złodzieja swego szczęścia. Jednocześnie wybuchła w nim ze zdwojoną siłą namiętność do tej pięknej, młodej kobiety, która swoim chłodem przyprawiła go o utratę zmysłów. Obrzucając Brytę palącym spojrzeniem, rzekł zdławionym głosem:

- Mężczyzna, którego kochasz, godny jest zazdrości.

Bryta natychmiast ocknęła się ze słodkiej zadumy. Na czole między brwiami zarysował się maleńki, dobrze mu znany trój kącik. Spojrzała surowo na Teodora, mówiąc spokojnie:

- Mówmy o czym innym!

Teo odetchnął głęboko, a wzrok jego błędził po całej postaci Bryty i zatrzymał się wreszcie na drobnej nóżce.

- Tak, tak... wiem, że zabraniasz mi mówić o tym... Gniewasz się na mnie... - wykrztusił, po czym znowu zatopił w jej twarzy płonące spojrzenie i ciągnął dalej:

- Gdybyś wiedziała, ile mnie kosztuje ten spokój! Wydaje mi się czasem, że nie zniosę tego dłużej. Och, nie domyślasz się nawet, jak bardzo cię kochałem, jak cię jeszcze dotąd Kocham...

W głosie jego brzmiała nuta prawdziwej namiętności. Bryta zbladła i podniosła się z miejsca.

- Opanuj się, kuzynie! Inaczej będę zmuszona prosić, abyś opuścił mój dom!

Zacisnął zęby i spojrział na nią wyzywająco, po czym przesunął ręką po rozpalonym czole.

- Nie, nie... Przebacz... Zapomnij o tym... Ale to tak ciężko patrzeć, jak inny trzyma w ramionach szczęście, po które ja na próżno wyciągałem rękę! Herbertowi udało się je zdobyć bez trudu, ja niestety jestem upośledzony przez los! Przebacz mi... Z czasem i ja nauczę się panować nad sobą i odzyskam wtedy równowagę.

Zwróciła ku niemu pobladłą twarz. Rozbrajała ją szczerość, która była z tych słów.

- Jeżeli jeszcze się nie uspokoiłeś, to nie powinieneś nas odwiedzać - rzekła łagodnie.

Każdą szlachetną kobietę przejmuje współczucie, gdy widzi, że ktoś cierpi z jej przyczyny. Mimo to Teo odczuł słowa Bryty jak policzek.

- Zabraniasz mi bywać u siebie? - zagadnął, podczas gdy w jego duszy walczyła namiętność z nienawiścią.

- Mówię ci jedynie to, co uważam za stosowne - odpowiedziała Bryta, siłąc się na spokój - jeżeli nie potrafisz zapanować nad sobą, to najlepiej zrobisz, gdy będziesz nas unikał.

Teo położył sobie dłoń na oczach i zaczerpnął tchu. Potem nagle zerwał się z miejsca.

- Nie będziesz odtąd miała powodów do żalu. Pozwól mi tylko raz jeden zadać ci pytanie: czy jestem rzeczywiście tak godny potępienia, dlatego, że cię bezgranicznie kocham? Czy doprawdy zasługuję na pogardę? Obraziłem cię niegdyś, gdyż miłość przyprawiła mnie o utratę zmysłów. Lecz kochałem cię przecie, uczucie moje było szczere, chociaż dzikie i nieokiełznane. Herbert miał łatwiejsze zadanie. Oświadczył się dopiero wtedy, gdy się dowiedział, że odziedziczysz ogromny majątek. Aż do tego czasu miłość nie zakłócała mu spokoju, tak jak mnie. Jego uczucie do bogatej dziedziczki zbudziło się z taką potęgą, że poprosił o twoją rękę jeszcze tego samego dnia, kiedy stryj Herman zakomunikował nam, że pani Steinbrecht pragnie cię zaadoptować. Pośpieszył się, aby nikt nie zdążył go ubiec... Czy dlatego jest on bardziej godny twej miłości niż ja?

Bryta śmiertelnie zbladła, a w jej oczach zabłysnął gniew i obraza.

- Kłamiesz! – zawołała – Herbert wyznał mi swoją miłość, nie wiedząc jeszcze o tym, że będę bogatą!

Oczy Teodora rozgorzały namiętnością i chęcią odwetu.

- Nie kłamie! Dawno już, zanim ty sama wiedziałaś o tym, stryj Herman oznajmił nam, że zostaniesz spadkobierczynią pani Steinbrecht. Gdy byłaś uboga, nie mogłem cię poślubić, ponieważ sam nie miałem środków. Gdy się dowiedziałem, że jesteś bogata, musiałem się ciebie wyrzec! Herbert jednak, mądry spokojny, opanowany Herbert udał się natychmiast do ciebie i prosił, byś została jego żoną. Nie zdradził ci naturalnie, że się dowiedział o twoim przyszłym bogactwie. Nazajutrz – przypomnij sobie dokładnie – byliśmy wieczorem w teatrze. Gdyśmy powracali do domu, oświadczyłem mu, że mam zamiar mimo wszystko starać się o ciebie. Wtedy odparł z chłodnym uśmiechem: „Za późno, mój drogi! Bryta jest od wczoraj moją narzeczoną!”. Tak, on nie popełnił żadnej omyłki w obliczeniu. A teraz, odpowiedz mi kto jest bardziej godny potępienia: on – czy ja?

Oczy Bryty nagle przygasły. Opanowała się jednak i rzekła:

- Przypuszczam, że się mylisz! Herbert nie byłby zdolny do takiego postępowania.

Teo roześmiał się chrapliwie.

- Zapytaj go o to! Nie będzie mógł zaprzeczyć, że zaręczył się z tobą tego samego dnia, gdy się dowiedział, że zostaniesz bogatą dziedziczką – zawołał.

Bryta drgnęła i podniosła na Teodora oczy. On jednak nie opuścił powiek i spokojnie wytrzymał jej spojrzenie. Wierzył przecież niezłomie w prawdę swoich słów.

Młoda kobieta wyczytała z jego oczu, że nie kłamie. Wydało się jej w tej chwili, że jakaś niewidzialna dłoń ściska ją za gardło, że za chwilę dom cały zachwieje się w posadach, że pod jego gruzami zostanie pogrzebane jej wielkie, promienne szczęście. Przez chwilę tylko zwątpiła w swego męża, potem zawstydziała się raptem tych wątpliwości.

- Nie wierzę ci, lecz spytam o to Herberta. Nie uwierzę w tę ohydę, póki z ust mego męża nie usłyszę potwierdzenia. A teraz, proszę cię, odejdz... Powiedziałaś mi to wszystko, bo nienawidzisz Herberta...

Podniósł się, nieco spokojniejszy i zadowolony że udało mu się wreszcie zaspokoić pragnienie zemsty. Zbliżył się do Bryty, wyciągając do niej dłoń. Ona jednak cofnęła swoją rękę i rzekła bezdźwięcznie:

– Nie podam ci nigdy ręki, jeżeli się okaże, że skłamałeś. Muszę najpierw zapytać Herberta.

Wtedy Teo skłonił się pośpiesznie i wyszedł. Bryta padła na fotel, pocierając ręką czoło.

– Nie, to nieprawda! Kłamał, albo też zaszła jakaś omyłka – rzekła głośno do siebie.

Potem wstała i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. Przywoływała w pamięci wszystkie szczegóły dnia swoich zaręczyn, każde słowo, które mówił Herbert. Jakże wówczas cieszył się z otrzymanego awansu... Zapewniał ją, że stworzy jej skromny, lecz dostatni byt... Czyżby mógł ją oszukać, udawać miłość, wiedząc o tym, że czeka ją w przyszłości ogromny majątek? Nie, Herbert nie był zdolny do takiej obłudy.

– Zapytam go... zapytam, gdy wieczorem powróci... Wyłaje mnie na pewno, że mogłam choć na chwilę stracić do niego zaufanie... Teo nie nawidzi Herberta, pragnie zburzyć nasze szczęście... Ale to mu się nie uda... Jedno słowo mego ukochanego męża rozproszy wszelkie wątpliwości. Wszystko będzie dobrze... Ach, gdybyż on już wrócił.

Tak rozmyślała Bryta, starając się uspokoić, lecz mimo to ciążyła na jej duszy jakaś niejasna obawa, której nie potrafiła się pozbyć.

W tym nastroju niepodobna było iść do pani Klaudyny. Posłała służącego, aby oświadczył pani Steinbrecht, że Bryta dziś nie przyjdzie, gdyż źle się czuje.

Popołudnie upłynęło wśród niejasnej obawy i przebłysków nadziei. Brycie wydawało się, że godziny wloką się bez końca...

XXIII

Herbert wstąpił do pani Steinbrecht po Brytę, lecz tam się dowiedział, że nie przychodziła dziś wcale. Pani Klaudyna pytała się o stan zdrowia

Bryty. Herbert nie mógł jej udzielić żadnych wyjaśnień, nadmienił jedynie, że przed obiadem czuła się zupełnie dobrze.

Pożegnał się i pośpiesznie podążył do willi „Klaudyna”.

Tym razem Bryta nie wybiegła mu na spotkanie, aby rzucić się w jego ramiona. Odwieszając płaszcz i kapelusz, zapytał służącego o żonę i otrzymał odpowiedź, że pani znajduje się w swoim saloniku.

Odetchnął z ulgą. Zapewne stan Bryty nie był groźny, inaczej położyłaby się do łóżka.

Wbiegł spiesznie do salonu. Bryta stała przy oknie, a słysząc kroki męża, odwróciła ku niemu pobladłą twarz. Herbert zbliżył się do niej, chcąc ją ucałować:

– Co ty wyprawiasz, kochanie moje? Co się stało, czemuś taka blada?
– zapytał z czułością.

Położyła mu ręce na ramionach, podnosząc ku niemu oczy, w których malowała się trwoga i niepokój.

– Nie jestem chora, Herbercie, tylko niespokojna... Muszę ci zadać jedno pytanie... ale natychmiast...

– A może mnie przedtem pocałujesz, kochanie?

– Nie, nie... Nie teraz... Najpierw muszę się zapytać...

Spojrzał na nią zatroskany.

– Herbercie, przecież to nieprawda, że dowiedziałeś się w dniu naszych zaręczyn, iż matka uczyniła mnie swoją spadkobierczynią? – spytała cicho.

Herbert boleśnie zmarszczył czoło.

– Dziecko najdroższe! Kto ci to powiedział?

– Powiem ci później. Teraz proszę cię o odpowiedź! Czy wiedziałeś już o tym w dniu naszych zaręczyn?

– Tak, kochanie, słyszałem od stryja Hermana, ale...

Zbladła śmiertelnie i przerażona, podniosła ręce do góry.

– Milcz... milcz... Na miłość boską, ani słowa więcej... Nie chcę słyszeć... – krzyknęła, wybiegając spiesznie z pokoju.

Pobiegł za nią, lecz zanim zdołał ją dogonić, posłyszał zgrzyt klucza w zamku. Bryta zamknęła się w swoim buduarze.

Zapukał do drzwi, prosząc, aby mu otworzyła. Ale wewnątrz nic się nie ruszało. Bryta leżała na kanapie jak martwa. Nie potrafiła w tej chwili myśleć o niczym, zdawało się, że przestała nawet czuć. W świadomości jej żyła tylko jedna myśl:

– Okłamał mnie, oszukał...

Nie potrafiła przejść nad tym do porządku dziennego. Uciekła od Herberta, aby nie patrzeć na niego, aby nie słuchać jego wykrętnych tłumaczeń.

Oto nagle z jej życia pierzchno słońce. Była tak dumna, gdy zapragnął się z nią ożenić, z nią biedną samotną sierotą! Potem dowiedziawszy się, że będzie bogata, czuła się ogromnie szczęśliwa, głównie przez wzgląd na Herberta. Teraz byłaby chętnie wyrzekła się wszystkich skarbów świata, aby w zamian móc uzyskać pewność, że mąż ją kocha.

Herbert przez chwilę jeszcze nadsłuchiwał pod drzwiami. Nie chcąc zwracać uwagi służby, przeszedł do jadalni, gdzie stół był już nakryty do kolacji. Powiedział służącemu, aby nie podawano, gdyż pani źle się czuje. Sobie kazał przynieść przekąskę i szklankę herbaty. Gdy po chwili służący wniósł tacę, Herbert spytał na pozór obojętnie:

- Czy dziś po południu byli jacyś goście?
- Przychodził tylko pan porucznik – odparł służący.

Gdy Herbert pozostał sam, zerwał się z miejsca, zaciskając pięści.

– Więc to on! Powinienem się być domyślić, że to on wymierzył tę zatrutą strzałę! – jęknął, po czym zaczął niespokojnie krażyć po pokoju. – Nie mogę mu nawet zarzucić, że kłamie. Przecież Teo jest przekonany, że pociągało mnie wyłącznie bogactwo Bryty... Cóż ten człowiek może wiedzieć o głębokiej miłości? Wsączył jad w serce Bryty, aby zniszczyć nasze szczęście! Nie wiem co powiedział mojej żonie, lecz uczynił to w niegodziwym zamiarze. A teraz Bryta cierpi przez niego! Biedactwo, była taka blada, taka przerażona! Zapewne jest przekonana, że ją oszukałem. Gdyby wysłuchała mnie do końca!...

Herberta ogarniał coraz większy niepokój. Podeszedł znowu do drzwi buduaru i zapukał:

– Błagam cię, Bryto, otwórz! Pragnę ci wszystko wytłumaczyć. Męczysz siebie i mnie, najzupełniej niepotrzebnie – prosił ściszym głosem.

Lecz z buduaru nie dochodził żaden dźwięk. Bryta wciąż jeszcze leżała bezwładnie na kanapie, zatykając sobie uszy, aby nie słyszeć błagalnych słów męża. Cóż on mógł jej powiedzieć? Okłamał ją, oszukał, udawał szlachetnego chłopca, który pragnie poślubić ubogą dziewczynę, który pragnie dla niej żyć i pracować! Patrzyła na niego z zachwytem, podziwiała siłę jego uczucia, moc poświęcenia! A to wszystko okazało się kłamstwem! Bryta czuła w tej chwili, że nigdy nie potrafi odzyskać wiary w swego męża!

Spadło na nią wielkie nieszczęście, które niejasno przeczuwała. Było jej dotychczas za dobrze, zbyt błogo! Nie wolno nikomu być tak długo szczęśliwym! Teraz na życie jej padł okrutny, czarny cień.

Bryta spędziła bezsenną noc, wsłuchując się jednocześnie w kroki swego małżonka, który także aż do rana nie zmrużył oka. Słyszała także, że jeszcze raz podchodził do drzwi buduaru.

Nazajutrz Bryta nie zeszła na śniadanie, lecz zaczęła, aż mąż wyjdzie do biura. Herbert, będąc już na dole, zaglądał kilkakrotnie w jej okna. Twarz jego była blada, malował się na niej wyraz troski. Bryta stłumiła okrzyk bólu. Chciało się jej płakać nad utraconym szczęściem.

Blada i wyczerpana zeszła do jadalni i zasiadła przy stole. Przed talerzem leżała wąska koperta. Otworzyła ją. Zawierała małą, ołówkiem zapisaną kartkę.

Kochanie!

Nie mogę czekać dłużej, aż wyjdiesz z pokoju, lub zechcesz mnie wpuścić! Muszę niestety iść w ważnej sprawie do laboratorium. Nie potrafię jednak odejść, nie powiedziawszy Ci, że zupełnie niepotrzebnie męczysz nas oboje. Kocham cię i cierpię wraz z Tobą. Bądź dobra i wysłuchaj mnie gdy wrócę dziś w południe.

Twój Herbert

Przeczytała te słowa, wpatrując się tępym wzrokiem w kartkę papieru. Lękała się niezmiernie rozmowy z mężem i jego wyjaśnień. Czuła, że nie potrafi słuchać jego usprawiedliwienia, że każde słowo sprawi jej katusze bez granic.

Bryta wstała od stołu i poszła się przebrać, gdyż miała zamiar zejść potem do matki. Zdawało się jej, że to jedyne miejsce, gdzie będzie mogła doznać pociechy.

Nie mogła wprawdzie wyjawic pani Klaudynie tego, co powiedział Teo, ponieważ pragnęła oszczędzić Herberta, przypuszczała jednak, że w towarzystwie matki zdoła zapomnieć o swoim bólu. Czuła, że nikt w tym wypadku nie potrafi jej tak dobrze zrozumieć, jak właśnie pani Klaudyna.

Pani Steinbrecht przywitała serdecznie młodą kobietę.

- Co ci jest, dziecinko? Czemuś taka blada? Lękałam się już o ciebie. Czy teraz czujesz się lepiej?

- Głowa mnie trochę boli, mameczko, lecz to wkrótce przejdzie - rzekła cicho Bryta.

Pani Klaudyna przyciągnęła ją tkliwie ku sobie.

- Wyglądasz bardzo mizernie! Czy nie masz gorączki?

- Nie, nie, mameczko... Spałam tylko bardzo źle w nocy...

Pani Klaudyna spojrzała badawczo w dziwnie zmienioną twarz młodej kobiety. Bryta nigdy nie uskarżała się na żadne niedomagania, była zdrowa jak ryba. Teraz jej promienne oczy przygasły, na czole rysował się mały trójkącik, usta ściągnięte były wyrazem cierpienia. Czyżby to wszystko miało być spowodowane jedynie bólem głowy?

Pani Klaudyna nie zadawała już Brycie dalszych pytań, lecz zaczęła ją uważnie obserwować.

- Chodź, kochanie - rzekła spokojnie - przejdziemy się godzinę po parku. Jestem pewna, że przechadzka dobrze ci zrobi.

Ujęły się pod rękę i zeszły na dół. Bryta starała się zmusić do rozmowy, lecz pani Klaudyna potrząsnęła głową.

- Nie, nie mów nic, drogie dziecko! Bywają takie chwile, w których milczenie jest ulgą.

Bryta ukradkiem otarła z oczu kilka łez. Pani Klaudyna udawała, że tego nie spostrzega. Po twarzy jej przebiegł przelotny uśmiech.

Wydało się jej, że między młodą parą doszło do jakiejś drobnej sprzeczki.

- Pierwsze małżeńskie nieporozumienie - myślała pobłaźliwie. Po przechadzce Bryta powróciła na obiad do domu. Najchętniej byłaby po-

została na dole, aby nie mieć potrzeby widzenia Herberta. Przyszło jej jednak na myśl, że matka z pewnością zwróciłaby na to uwagę, więc zaniechała tego zamiaru.

Z ciężkim sercem udała się do domu, stąpając wolno pod górę. Droga ta, którą zazwyczaj przebywała lekko jak na skrzydłach, wydawała się jej dzisiaj niezmiernie uciążliwa.

Znalazłszy się w willi „Klaudyna”, poczuła znowu dziwny lęk przed rozmową z mężem. Nie miała odwagi spojrzeć Herbertowi w oczy.

Pod wpływem nagłej decyzji oświadczyła służbie, że musi jeszcze załatwić przed południem kilka ważnych sprawunków i że obiad będzie jadła na dole, u pani Steinbrecht. Poleciała, żeby to powtórzono jej mężowi, kiedy powróci z fabryki.

Bryta rzeczywiście poszła do miasta, gdzie porobiła kilka drobnych zakupów. Potem wstąpiła do małej cukierenki, gdzie bywały przeważnie tylko panie. Ponieważ od wczorajszego popołudnia nie miała nic w ustach, a żołądek upominał się o swoje prawa, przeto wypła filiżankę czekolady. Kazała sobie przynieść pisma, lecz nie rozumiała ani słowa z tego, co czytała. Przerzuciła kilka dzienników, odrywając wciąż od nich oczy, żeby spojrzeć na zegarek.

Poczuła wreszcie, że nie potrafi dłużej wytrzymać w ciasnym, dusznym lokalu. Zapłaciła i wyszła z cukierni. Znalazłszy się na ulicy, skinęła na taksówkę i poleciała szoferowi pojechać na przeciwległy koniec miasta.

Spoglądała bezustannie na zegarek. Wreszcie orzekła w myśli, że godzina jest dość późna i że można już wrócić do domu. Dała więc szoferowi znak, aby zawrócił.

Gdy samochód skręcił w ulicę obok parku, Bryta poleciała szoferowi, aby w tym miejscu przystanął. Wysiadła z taksówki, zapłaciła, po czym zaczęła wolnym, ociężałym krokiem wspinać się pod górę.

Kiedy Bryta przybyła do domu, zapytała przede wszystkim o swego męża. Służący oznajmił jej, że pan wrócił o zwykłej porze, lecz wkrótce potem wyszedł z domu.

XXIV

Herbert rzeczywiście był w domu tylko chwilę, po czym wyszedł. Pobiegnął spiesznie do pani Klaudyny, spodziewał się bowiem, że u niej zastanie Brytę.

Ku swemu najwyższemu zdumieniu dowiedział się, że żony jego tu nie ma. Herbert ogromnie się przeraził.

– Jak to, mamó, więc Bryty nie ma? Powiedziała naszemu służącemu, że będzie jadła obiad u ciebie. O Boże, dokąd mogła pójść?

Pani Steinbrecht obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

– Niepotrzebnie się lękasz, Herbercie. Nie masz powodu do obaw. Bryta zapewne daśa się trochę i dlatego unika spotkania z tobą. Przyznaj się, może doszło między wami do sprzeczki? Zapewne oboje przejmujecie się zbytnio pierwszą kłótnią małżeńską – rzekła z uśmiechem.

Herbert, bardzo zmieszany, przesunął ręką po włosach.

– Niestety, chodzi tu o coś poważniejszego, niż o drobne nieporozumienie małżeńskie – odparł ze smutkiem.

Pani Klaudyna spojrzała zaskoczona w jego poważną twarz.

– Dzieci, dzieci, co wy też wyprawiacie! Już dziś rano zauważyłam, że Bryta jest jakaś nieswoja, a teraz i ty wyglądasz tak dziwnie. Jestem wprawdzie zdania, że osoby trzecie nie powinny się mieszać do spraw młodego małżeństwa, mimo to proszę cię, żebyś mi wyznał całą prawdę. Może będę ci mogła służyć dobrą radą.

Herbert w zwięzłych słowach opowiedział wszystko, co zaszło. Wyraził również przypuszczenie, że to zapewne Teodor wyrządził mu tę wielką krzywdę, skazując go na niewysłowione katusze.

Pani Klaudyna wysłuchiwała z wielką uwagą jego opowieści.

– Tak, drogi Herbercie, twój kuzyn jest nędznikiem. Wiem o tym już od dawna – rzekła z odrazą.

– A w dodatku powiedział to Brycie w najlepszej wierze. Nie mogę mu nawet zarzucić kłamstwa. Niestety, wszystkie pozory są przeciwko mnie – zawołał Herbert z rozpaczą w głosie.

Pani Steinbrecht położyła mu rękę na ramieniu.

- Uspokój się, mój synu! To wszystko nie jest tak straszne, jak ci się wydaje.

- Ale Bryta bezustannie mnie unika. Nie mogę jej nawet udzielić żadnych wyjaśnień. Zresztą nie wiem, czy w wypadku, gdyby w końcu zechciała mnie wysłuchać, uwierzyłaby w moją niewinność.

Pani Klaudyna zamyśliła się, a wreszcie powiedziała:

- Nie powinieneś wcale mówić z twoją żoną na ten temat. Nie staraj się udowodnić twej niewinności. Ja lepiej od ciebie potrafię się wczuć w stan duszy Bryty. Mam wrażenie, że tam na górze, w willi „Klaudyna” panuje jakiś trujący bakcyl, który sączy jad nieufności w serca jej mieszkańców. Ach, jakże ja rozumiem to biedne dziecko, jakże gorąco współczuję Brycie!

- Ale co mam uczynić? – zawołał Herbert wzburzony. – Nie wymagasz chyba ode mnie, abym nadal przypatrywał się spokojnie, jak moją Brytę trawi ból! Nie wyobrażasz sobie, mamu, jak bardzo cierpię z tego powodu, że moja żona mnie unika!

Oczy starej kobiety zwilgotniały. Uśmiechając się przez łzy, rzekła:

- O, Herbercie, pojmuję to doskonale. Ja powrócę ci wiarę i zaufanie Bryty. Ja jestem temu winna, żeś nie wyznał jej wtedy otwarcie całej prawdy. Wiem dobrze, co się dzieje w sercu, które pragnęłoby wierzyć i ufać, lecz nie może. Nie, nie mów jej nic na twoje usprawiedliwienie. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jakie to okropne uczucie dla kobiety, która słucha podobnego usprawiedliwienia i wątpi w prawdę słów ukochanego mężczyzny. Mnie Bryta uwierzy, bądź tego pewny. A po rozmowie ze mną pierwsza wyciągnie do ciebie rękę, prosząc o przebaczenie. Na razie pozwól, żeby się trochę uspokoiła. Jeżeli dziś jeszcze będzie się starała cię unikać, to nie nalegaj, aby cię wysłuchała. Jeżeli zobaczysz ją, zanim ja się z nią rozmówię, nie poruszaj ani jednym słowem tego tematu.

- Ależ, mamu, takim postępowaniem sprawię jej tylko jeszcze większy ból!

Pani Klaudyna spojrzała na niego z powagą.

- Lepiej żeby się teraz przez kilka dni martwiła, niż gdyby później miała cierpieć przez całe życie. Bądź powściągliwy! Bryta powinna wy-

czuć z twego zachowania, że cię boleśnie zraniła. Udawaj obrażonego, tak będzie najlepiej! A resztę pozostaw mnie!

Herbert, wzdychając ciężko, zgodził się na to.

– Nie wytrzymam tego długo! – szepnął głosem, pełnym udręki.

Pani Klaudyna uśmiechnęła się łagodnie.

– Ten stan nie potrwa długo. Być może, iż Bryta dziś jeszcze mnie odwiedzi, a jeżeli nie, to z pewnością jutro. Pomówię z nią i wszystko się dobrze skończy!

Herbert, do pewnego stopnia uspokojony, udał się do laboratorium, gdzie miał bardzo dużo pracy.

Pani Klaudyna patrzyła długo za odchodzącym.

– I ja byłam niegdyś tak szalona, jak Bryta. I ja własnymi rękami zburzyłam gmach swojego szczęścia, lecz niestety, nie miałam wówczas nikogo, kto by mi pomógł. Zapewne i Henryk był ongiś tak zrozpaczony jak Herbert. O, ileż on wycierpiał, zanim został doprowadzony do ostateczności. To ja przywiodłam cię do tego kroku, ukochany mój! O Boże, o Boże! Jakże wielką krzywdę wyrządziłam sobie i tobie, ty mój jedyny, niezapomniany...

Bryta znowu nie poszła po obiedzie do pani Klaudyny, tłumacząc się lekką słabością. Czuła się rzeczywiście bardzo wyczerpana i śmiertelnie znużona.

Nie mogła dłużej unikać Herberta, gdyż to zwróciłoby uwagę służby, a także pani Klaudyny. Matka nie powinna się była dowiedzieć o tym, co jej zdradził Teodor. Z pewnością zaczęłaby wówczas pogardzać Herbertem. Bryta za nic w świecie nie chciała przedstawić go w złym świetle, gdyż mimo wszystko zbyt głęboko kochała jeszcze swego męża.

Młoda kobieta usiłowała sobie wyobrazić pierwsze spotkanie. Mnie-mała, iż Herbert ucieknie się do rozmaitych wybiegów i postara się na pewno zbagatelizować całą sprawę.

A potem? Jakież będzie potem ich małżeństwo? Stanie się ono chłodnym, konwencjonalnym związkiem, pozbawionym głębi uczucia, odartym z zaufania i wzajemnego zrozumienia!

Bryta zacisnęła zęby, a po jej ciele przebiegł dreszcz. Goniąc ostatkiem sił, wyprostowała się dumnie, powziawszy niezłomne postanowienie, że będzie panowała nad sobą.

O tej porze, gdy Herbert zazwyczaj powracał, Bryta przeszła do salonu, aby tam czekać na męża. Była blada, lecz zupełnie spokojna.

Herbert przyszedł punktualnie. Słyszała jego kroki, lecz nie ruszyła się z miejsca. Była jakby sparaliżowana. Gdy zjawił się w pokoju, Bryta odwróciła głowę do okna. Cała jej postawa zdradzała opór. Postanowiła bronić się przed jego pieśzcotami, które obecnie odczułaby jako zniewagę.

W pierwszej chwili chciał do niej podbiec, lecz wyraz jej twarzy ostrzegł go przed tym krokiem. Przypomnił sobie rady pani Klaudyny.

Zbliżył się tylko spokojnie do żony, ucałował jej rękę i zapytał:

- Dobry wieczór, Bryto! Czy teraz będę już mógł pomówić z tobą?

Odwróciła ku niemu twarz i spostrzegła w oczach Herberta wyraz cierpienia. Wyciągnął mimo woli ramiona, pragnąc ją objąć. Uczyniła jednak obronny ruch ręką, wobec czego Herbert zaniechał swego zamiaru.

- Dobry wieczór - odparła bezdźwięcznie Bryta - czułam się niedobrze, wybacz mi!

Mówiąc te słowa, pomyślała jednocześnie:

- Teraz zaczniesz się wykręcać i tłumaczyć!

Ku jej zdziwieniu nic takiego nie nastąpiło. Herbert rzekł z pozornym spokojem:

- Spodziewam się, że czujesz się już lepiej. Chodźmy do stołu.

Podniosła się z takim uczuciem, jakby traciła grunt pod nogami. Co się stało Herbertowi? Czyżby nie uważał nawet za stosowne wyrzec kilka słów na swoje usprawiedliwienie?

W Brycie zbudziła się duma. Spokojna i opanowana siedziała naprzeciw męża, nie odzywając się jednym słowem. Zazwyczaj młodzi ludzie przekomarzali się przy stole, śmiejąc się i żartując wesoło. Dziś spożywali posiłek w milczeniu, a właściwie udawali tylko, że jedzą, gdyż w rzeczywistości żadne z nich nie mogło przełknąć ani kęsa. Herbert ukradkiem obserwował Brytę, myśląc:

- Nie wytrzymam tego dłużej!

Było jednak coś nieokreślonego w jej zachowaniu, co nakazywało mu ostrożność. Obawiał się, że zepsuje wszystko, jeżeli się nie zastosuje do rad pani Klaudyny.

Jednocześnie podnieśli się od stołu. Obojgu ciążył ten nastrój, toteż nie byli zdolni wytrzymać w atmosferze ponurego milczenia. Bryta zdołała z trudem wydobyć kilka słów:

- Zejdę jeszcze na godzinkę do mamusi, nie byłam u niej po południu...

Powiedziawszy to, wyszła z pokoju.

Mimo woli postąpił za nią kilka kroków, potem jednak zatrzymał się w połowie drogi.

- Idzie do matki, tym lepiej. Zaczekam, aż powróci... - pomyślał.

Udał się do swego gabinetu i zasiadł przy biurku. Nie miał jednak ochoty do pracy, a przy tym nie potrafił się skupić. Wsparłszy głowę na dłoni, pograżył się w ponurej zadumie. Serce jego przepełniał żal do Teodora, któremu miał do zawdzięczenia te godziny udręki. Co by się stało, gdyby nie posiadał w osobie pani Klaudyny bezstronnego świadka swej niewinności? Wtedy przecież szczęście jego zniknęłoby na wieki! O to wszak chodziło Teodorowi, na tym polegała jego zemsta. Zaprağnał odwetu, dlatego że mu się nie udało zdobyć serca Bryty.

Herbert zacisnął pięści, a oczy jego zabłyśły groźnie.

- Nikczemnik! Gdyby nie to, że pragnę oszczędzić bólu tym poczciwym starym ludziom, którym tak wiele zawdzięczamy, to bym się z nim rozprawił tak, jak na to zasługuje!

XXV

Bryta wchodziła na górę, nie mogąc się pozbyć smutnego nastroju. Serce jej tonęło w rozpacz. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć dziwnego usposobienia Herberta. Nie mogła pojąć obojętności męża.

Więc tak wyglądała jego twarz bez maski? To było wszystko, co z niego pozostało, w chwili, gdy przestał odgrywać komedię? Sądził zapewne, że obecnie nie ma już potrzeby udawać czułego kochanka.

Bryta przycisnęła ręce do serca, tłumiąc okrzyk straszliwego bólu, cisnący się przemocą na usta. Zbudziła się w niej duma i zacięty upór. Postanowiła ukrywać swoje uczucia. Nie, nie zdradzi mu ani jednym słowem lub spojrzeniem, jak bardzo cierpi z jego powodu.

Błada, z dumnie podniesioną głową, weszła do pokoju pani Klaudyny. Tylko maleńki trójkącik między brwiami zdradzał, co się działo w duszy młodej kobiety. Toteż pani Steinbrecht poznała od razu, że Bryta wciąż jeszcze nie odzyskała równowagi ducha.

Bryta przytuliła się tkliwie do matki. Ach, jakże dobrze rozumiała teraz dzieje pani Klaudyny. Obecnie zdawała sobie jasno sprawę, ile niegdyś musiała przecierpieć ta dumna, nieugięta kobieta!

Bryta postanowiła, iż matka nigdy się nie dowie, że jej ogromne, bezgraniczne szczęście zostało także rozbite. Nie dowie się o tym również i Teo. Nie powinien nigdy poznać po niej, że swoim oświadczeniem zadał jej miłości śmiertelny cios.

Pani Klaudyna serdecznie uściskała młodą kobietę.

– Przyszłaś nareszcie na godzinę pogawędki. Dobrze uczyniłaś, kochanie, bo stęskniłam się już za tobą. Jakże się teraz czujesz?

Bryta objęła ją tak mocno, jak gdyby potrzebowała w tej chwili oparcia. Czuła napływające do oczu łzy. Zapanowała jednak nad sobą i odparła:

– Głowa boli mnie jeszcze trochę, ale to minie. Nie martw się o mnie, mateńko.

– A co porabia Herbert? Czy pozwolił ci przyjść do mnie, kochanie?

Bryta spuściła oczy, unikając spojrzenia pani Klaudyny.

– Herbert został w domu... Miał jeszcze dużo roboty...

Pani Steinbrecht przesunęła ręką po złocistych włosach Bryty i spojrzała na nią z uśmiechem. Z jakim trudem przechodziło to kłamstwo przez usta młodej kobiety!

– Hm, hm! Więc Herbert pracuje? Zapewne nie ma do tego wielkiej ochoty...

Bryta skierowała rozmowę na inne tory. Po chwili zjawiała się pani Stange, niosąc herbatę. Młoda kobieta, siląc się na wesołość, nawiązała z gospodynią żartobliwą rozmowę. Potem, gdy została sam na sam z matką, starała się również utrzymać ten swobodny ton.

Nagle pani Klaudyna powstała z miejsca, a pociągając za sobą młodą kobietę, posadziła ją obok siebie na kanapie. Ujawszy jej ręce w swoje dłonie, rzekła:

- Nie udawaj, kochanie! Mnie przecież nie zwiedzisz. Czytam w twoich oczach rozmaite rzeczy, które nie mają nic wspólnego z tą wymuszoną wesołością. Zapewne pogniewałaś się z twoim mężem? Dąsasz się, że pracuje, zamiast spędzać czas w twoim towarzystwie? A może przybiegłaś tu do mnie, żeby go za to ukarać?

Bryta zmartwiała z przerażenia. Przełękła się, że matka zauważyła zmianę, jaka zaszła w jej usposobieniu.

- Nie, mamusiu... doprawdy, nic podobnego... - wyjąkała.

Pani Klaudyna pocałowała ją w czoło.

- Na szczęście nie umiesz kłamać - rzekła spokojnie.

Twarz Bryty pokryła się ciemnym rumieńcem.

- Ależ, mamusiu!... Kochana mamusiu!...

- Zostaw, dziecko... Znam cię na wylot... Czytam w twojej duszy, jak w otwartej książce...

Bryta bezradnie zacisnęła ręce. Oczy jej zawisły na twarzy pani Klaudyny. Malowało się w nich pełne udręki zapytanie. Potem rzekła stłumionym głosem: ?

- Mamusiu... jeżeli możesz... to... to nie pytaj mnie o nic... Błagam cię o to...

Pani Klaudyna wyprostowała się i rzekła.

- Nie córeczko, nie będę cię pytała. Pragnę ci natomiast coś opowiedzieć. Czy wiesz kto mieszkał dawniej, przed wieloma laty w willi „Klaudyna”?

Bryta spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Ty... i mój ojciec... - odparła niepewnie.

Pani Klaudyna skinęła głową.

- Tak, mieszkała tam młoda, szalona kobieta, która własnymi rękami zburzyła swoje szczęście. Dopóty dręczyła swego męża nieufnością i brakiem wiary, aż w końcu nie mógł znieść takiego życia i opuścił ją na zawsze – powiedziała z naciskiem.

Bryta zbladła i opuściła głowę.

- Mamo, ach, mammo! Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pragnę ci zwrócić uwagę, że mieszka tam teraz znowu młoda, nierozsądna kobieta, która znajduje się na najlepszej drodze aby popełnić ten sam błąd, co ja...

Teraz Bryta zaczerwieniła się. Zerwała się z kanapy, mając zamiar odejść. Pani Klaudyna jednak zatrzymała młodą kobietę.

- Zostaniesz i wysłuchasz mnie do końca – rozkazała surowo.

Bryta posłusznie usiadła.

- Jakaś ty dziwna, mammo! Co ci się stało? Czego chcesz ode mnie?

- Pragnę cię przestrzec, żebyś nie zatruwała sobie życia nieufnością...

Bryta drżąc na całym ciele, padła jej w ramiona.

- Więc wiesz? Więc wiesz, co się stało?

- Tak! Wiem, że chcesz sobie złamać życie bezpodstawnym podejrzeniem.

- Ach, gdyby ono było bezpodstawne! – jęknęła Bryta.

Pani Klaudyna przytuliła ją do siebie.

- Jest najzupełniej pozbawione podstaw, wiem o tym drogie dziecko. Chwała Bogu, że znam dobrze całą sprawę i że mogę ci wrócić utraconą wiarę. Strzeż się, kochanie, nie dawaj do siebie tak szybko przystępu rozmaitym poszlakom. Gdy raz przestaniesz ufać, nie odzyskasz tak prędko spokoju. Brak zaufania zabija wszystko, co jest dobre i szlachetne w sercu ludzkim.

Bryta podniosła oczy.

- Mam wrażenie, że naprawdę wiesz wszystko... Powinnaś jednak wiedzieć w takim razie, że miałam wszelkie powody, aby stracić zaufanie...

- Czy dlatego, że pewien niegodziwy człowiek, powodowany ohydną chęcią zemsty, powiedział ci coś złego o twoim mężu? Więc tak prędko mu uwierzyłaś?

Młoda kobieta potrząsnęła głową.

- O, nie! Nigdy bym mu nie uwierzyła... Nie uwierzyłabym nikomu na świecie, oprócz Herberta... Przecież pytałam go sama, a on... Nie zapierał się zupełnie, nie powiedział słowa na swoje usprawiedliwienie... Ale skąd ty wiesz o wszystkim, mamó?

- Od Herberta!

- Od niego? Kiedyż on ci to zdążył opowiedzieć?

- Dziś w południe. Szukał cię tutaj.

- Więc odważył się na to?

- To samo powinno ci już starczyć za dowód jego niewinności. Krzywdzisz go tym podejrzeniem, moja droga.

Bryta, ruchem pełnym rozpacz, schwyciła się za głowę.

- Przecież on sam przyznał się do tego!

- Do czego? Przypomnij sobie, Bryto. Zadałaś mu pewne pytanie, na które odpowiedział zgodnie z prawdą. Gdy jednak pragnął ci wyjaśnić, że mimo wszystko nie ciąży na nim wina, ty uciekłaś i zamknęłaś się w swoim pokoju.

- Wstydził się zapewne, chciał mnie zasypać wybiegami... Nie zniosłabym tego...

- Herbert nie miał do tego najmniejszego powodu. Zapytałaś go, czy w dniu waszych zaręczyn wiedział, o tym, że zostaniesz moją spadkobierczynią.

- Tak, tak... I nikomu więcej, za wyjątkiem Herberta, nie uwierzyłabym, że tak było.

Pani Klaudyna pogładziła rozpalone policzki Bryty.

- O, dziecko moje! Gdybym to ja w swoim czasie znalazła także kogoś, kto by potrafił rozwiązać wszystkie wątpliwości, tak jak ja uczynię to z twoimi...

- Mateńko, najdroższa mateńko... O, gdybyś mogła to uczynić! Przecież Herbert sam się przyznał i potwierdził moje pytanie...

- Przyznał, że w dniu waszych zaręczyn wiedział o tym, że odziedzicysz majątek – tak, musiał na to dać twierdzącą odpowiedź. Gdybyś jednak jeszcze chwilę poczekała, to byłby ci powiedział, że dopiero po rozstaniu się z tobą, poszedł do stryja, który mu zakomunikował tę nowinę. Pan Frensen doniósł o tym Herbertowi, gdy był już z tobą po słowie.

Młoda kobieta zadrżała, w jej brązowych aksamitnych oczach zaświtał promyk nadziei. Blask ten jednak po chwili przygasł.

- Nazajutrz po naszych zaręczynach, rozmawiałam z Herbertem... Mówiłam mu jak mi przykro, że z mego powodu będzie się musiał ograniczać w środkach... Przynależało mi, że będę pracować i oszczędzać, że potrafię prowadzić bardzo skromnie gospodarstwo... Herbert słuchał, lecz ani jednym słówkiem nie zaprzeczył. Dlaczego nie powiedział mi wtedy całej prawdy?

Pani Klaudyna pokiwała głową.

- Widzisz, moje dziecko, jak to jedna wątpliwość rodzi drugą. Na szczęście mogę ci i to wyjaśnić. Herbert nie powiedział ci prawdy, gdyż ja wyraźnie nie życzyłam sobie tego. Wiadomość o twoim bogactwie sprawiła mu ogromną przykrość, bolał ogromnie nad tym i z trudnością pogodził się z losem. Pragnął przecież, żebyś wszystko otrzymała z jego rąk. Ach, ty głuptasku, jak mogłaś wątpić w tego człowieka? Czy wiesz, jak on cierpiał, gdy musiał się wyrzec myśli, że zbuduje dla ciebie miłe, skromne gniazdeczko? Marzył przecież o tym od dawna... Herbert zwierzył mi się ze swojej miłości, gdy nie miałam jeszcze zamiaru uczynić cię moją spadkobierczynią. Ja jedna byłam jego powiernicą... Oczekiwał niecierpliwie na lepsze warunki, a gdy tylko otrzymał awans, natychmiast poprosił o twoją rękę... W kilka godzin później dowiedział się od stryja o moich zamiarach. Stryj prosił go o zachowanie jak najściślejszej dyskrecji. Gdy Herbert przyszedł do mnie, błagał, abym pozwoliła ci wszystko powiedzieć. Ja jednak nie zgodziłam się... Pragnęłam, żebyś mnie pokochała szczerze i bezinteresownie, nie dlatego, że zostaniesz moją spadkobierczynią... Nakazałam Herbertowi milczenie. Aby go uspokoić, powiedziałam mu, że dawno zamierzałam zapisać mu pewną kwotę, nawet w tym wypadku, gdyby nie został twoim mężem. Te pieniądze dałam mu na razie tytułem pożyczki, a odsetki przeznaczyłam dla ciebie na prowa-

dzenie domu. Wtedy dopiero oswoił się trochę z myślą, że ma poślubić bogatą pannę. Nie uważał tego jednak za szczęście, jedynie wielka miłość do ciebie załagodziła nieco uczucie upokorzenia, jakiego doznawał. Teraz wiesz już wszystko, kochanie moje. Pewnie widzisz tę całą sprawę w innym świetle, prawda, Bryto?

Bryta rzuciła się jej na szyję, wylewając gorące łzy szczęścia.

- Mamo, mateńko najdroższa, ukochana! Ach, co by to było, gdybym ciebie nie miała! Wszystko, wszystko mam ci do zawdzięczenia, nawet najwyższe szczęście!

Pani Klaudyna ucałowała ją serdecznie. Wilgotnymi od łez oczami spoglądała w jej twarz, z której znikł wyraz cierpienia.

- Otrzyj oczy, kochanie, i idź do swego męża, który zapewne nie może pracować w tym nastroju. Zapamiętaj sobie dobrze tę nauczkę, ufaj mu i wierz. Jest to człowiek nieskazitelnie uczciwy i szlachetny, a przy tym kocha cię bez granic.

Bryta zerwała się z miejsca i przycisnęła rękę do serca.

- Ach! - rzekła głosem, w którym brzmiała radość zmieszana z lękiem - zdaje się, że mój mąż bardzo się na mnie gniewa. Przez cały dzień nie powiedział mi jednego miłego słówka. Był taki spokojny, opanowany, oficjalny... Co prawda, to zasłużyłam na to, gniew jego jest zupełnie słuszny...

Pani Klaudyna zaśmiała się wesoło.

- Przypuszczam, że nie będzie się gniewał długo. Okaż mu należytą skruchę, a przebaczy ci z pewnością. To ja przecież namówiłam go, żeby dziś przez całe popołudnie trzymał tak krótko swoją żoneczkę. Nie chciał się na to zgodzić, aż wreszcie udało mi się go przekonać. Należała ci się kara.

Bryta uścisnęła tak mocno panią Klaudynę, że starsza pani, śmiejąc się, zaczęła prosić zmiłowania.

- Idź już sobie, ty kozaczku, bo mnie jeszcze udusisz. A jutro rano przyjdź do mnie z radosną twarzą i jasnymi oczami.

Młoda kobieta raz jeszcze ucałowała panią Klaudynę tak gorąco, aż jej zabrakło tchu, po czym wybiegła jak wicher z pokoju.

Pędziła pod górę, jakby ją unosiły skrzydła, aż wreszcie stanęła zdyszana przed bramą willi „Klaudyna”. Zauważyła, że w gabinecie Herberta pali się jeszcze światło. Natychmiast podążyła do męża.

Herbert, poważny i zatroskany, siedział przy swoim biurku. Bryta podbiegła do niego i padła przed nim na kolana, zarzucając mu ręce na szyję.

– Herbercie, jedyny, ukochany! Czy możesz mi przebaczyć? Czy potrafisz mi zapomnieć, że zwątpiłam w ciebie? – zawołała.

Wtedy jego poważne oblicze zajaśniało niewysłowionym szczęściem. Przyciągnął Brytę ku sobie, a posadziwszy ją na kolanach, przycisnął ją mocno do serca.

– Ukochana! Więc znów jesteś moja? Czy zniknęły już twoje wątpliwości? Popatrz na mnie, jedyna moja! Czy wierzysz, że jesteś moim najdroższym skarbem? Słodka, niegodziwa kobieto, jakże dręczyłaś nas oboje!

Obsypywał ją pocałunkami, ona zaś, drżąc jak ptak, tuliła się do męża.

– Te dwa dni były straszne, mój najdroższy – szepnęła.

Herbert pełnym miłości ruchem przygarnął Brytę do siebie.

– Teraz chyba przestaniesz raz na zawsze wątpić w moją miłość! To uczucie – to moja świętość! Jest tak wielkie, tak wzniosłe, że nikomu nie wolno brutalną ręką dotknąć tej struny w mej duszy.

Kocham cię i wierzę ci bez zastrzeżeń. Pragnę gorąco, abys i ty mnie ufała.

– Uczynię to z pewnością, mój drogi, jedyny. Podczas tych okropnych godzin pozbyłam się wszelkich podejrzeń i wyleczyłam z nieufności. Nie gniewaj się już na mnie...

Ucałował jej oczy.

– Gniewać się? Ani przez chwilę nie doznałem uczucia gniewu. Przecież wszystkie pozory mówiły przeciwko mnie. Nie dziwię się wcale twemu postępowaniu. Teo na pewno umiejętnie dobierał słowa, aby mnie oczernić i poniżyć w twoich oczach. Wszak prawda, że to on posiał zatrute ziarno?

Bryta, pełna trwogi, zarzuciła mężowi ręce na szyję.

- Nie mówmy i nie myślmj już o tym. Proszę cię, wyrzeknij się odwetu!

- Dobrze, moja najmilsza! Muszę oszczędzać Teodora, choćby przez wzgląd na ciocię i stryja. A przy tym on sam jest przekonany o prawdzie swoich słów. Chciał się po prostu zemścić, że go ubiegłem i porwałem mu „złotą rybkę”. Mimo to mam zamiar dać mu nauczkę. Widziałem przecież, jak cierpiałaś z jego powodu.

- Zapomnijmy o tym, mój jedyny!

Pokrywał pocałunkami jej usta i oczy. Potem spytał pieszczotliwie:

- Co uczyniła nasza droga matka, aby rozproszyć wszystkie wątpliwości?

Bryta zaczęła mu opowiadać szczegóły rozmowy z panią Klaudyną, przy czym Herbert co chwila przerywał żonie, obsypując ją pieszczotami. Gdy wreszcie skończyła opowieść, zwrócił się do niej wesoło:

- Wiesz, kochanie, uważam, że wszystko się dobrze złożyło. Teraz żaden cień nie padnie już na naszą miłość. Prawdę mówiąc, gnębiła mnie zawsze myśl, że jestem wobec ciebie pod pewnym względem nieszczerzy. Na szczęście ta sprawa także została już wyjaśniona.

Nazajutrz Herbert napisał do Teodora list następującej treści:

Drogi Kuzynie!

Jesteś zbyt wrażliwy na punkcie honoru, toteż pragnę usunąć wszelkie Twoje wątpliwości. Donoszę ci przeto, że na próżno usiłowałeś zburzyć moje szczęście. Być może, iż nie zwracałbym się do Ciebie w tak spokojnym tonie, gdybym nie wiedział, że uważasz mnie naprawdę za łowcę posagowego. Pozwolisz, że sprostuję to błędne mniemanie. Zaręczyłem się z Brytą tego dnia w godzinach popołudniowych, a dopiero wieczorem w Twojej obecności dowiedziałem się, że otrzyma ona wielki spadek. Gdyś tego wieczoru wyszedł, zawiadomiłem stryja i ciocię o naszych zaręczynach, jako o rzeczy dokonanej. Na szczęście mam świadka w osobie pani Steinbrecht, która od dawna była moją powiernicą. Pani Klaudyna wiedziała, że czekam jedynie na awans, żeby potem ożenić się z Brytą, z „ubogą” Brytą Lossen. Tej pomyslniej okoliczności mam jedynie do zawdzięczenia, że Twoje ostrzeżenie nie odniosło skutku, że w moje pożycie

małżeńskie nie wkradł się żaden rozdźwięk. Mogłeś mnie unieszczęśliwić na całe życie...

Biorąc to pod uwagę, proszę Cię usilnie, abyś odwiedzał nas tylko wtedy, gdy będzie to konieczne ze względu na ciocię i stryja. Pragnąc ci podziękować za Twe szlachetne zamiary, załączam przy niniejszym liście wiadomy weksel. Możesz go już zniszczyć – chciałbym bowiem w mej pamięci zatrzeć to przykre wspomnienie.

Taka jest moja zemsta.

Twój kuzyn Herbert

Po przeczytaniu tego listu, Teo Frensen zaczerwienił się mocno. Zapalił natychmiast świecę i w jej płomieniu zniszczył sfałszowany weksel.

Herbert i Bryta pochłonięci swą miłością, zapomnieli zupełnie, że Teo usiłował ich powaśnić. Pożycie tych dwojga ludzi było pogodne i pełne harmonii, gdyż nic nie mogło już zachwiać ich wzajemnego zaufania.

Pani Klaudyna radowała się szczerze szczęściem młodej pary. Dożyła późnej starości i stała się kochającą i tkliwą babunią dla dzieci Herberta i Bryty. Uwielbiała swoje wnuczeta, chłopczyka, który nazywał się Henryk i dziewczynkę o imieniu Klaudyna. U schyłku życia zaznała jeszcze wiele pociechy, która wynagrodziła jej cierpienia doznane za młodu i pogodziła się z utratą własnego szczęścia.

KONIEC